

IAN FLEMING

DOKTOR NO

(Przełożył Hieronim Mistrzycki)

ROZDZIAŁ 1

SŁYSZĘ CIĘ GŁOŚNO I WYRAŹNIE

Punktualnie o szóstej słońce, rzuciwszy ostatni żółty poblask, zaszło za Blue Mountains. Fala fioletowego cienia spłynęła na Richmond Road, a w pięknych, okalających ją ogrodach rozległo się cykanie świerszczy i kumkanie żab nadrzewnych.

Nie licząc odgłosów przyrody, na całej długości szerokiej, pustej ulicy panowała cisza. Bogaci właściciele obszernych, położonych w głębi domów - dyrektorowie banków, menedżerowie firm i wyżsi urzędnicy państwowi - wrócili z pracy już o piątej i właśnie rozmawiali ze swoimi żonami o tym, co wydarzyło im się w ciągu dnia. Mogli też brać prysznic albo zmieniać ubranie. Za pół godziny ulica ponownie zatętni życiem, wypełni się podążającymi na koktajle i przyjęcia, na razie jednak najwspanialszy kilometr "Alei Bogatych", jak nazywano ją wśród ludzi interesu w Kingston, był tylko pustą sceną, nad którą unosiło się pełne napięcia oczekiwanie i ciężki zapach zakwitłych w nocy jaśminów.

Richmond Road to "najlepsza" ulica na całej Jamajce. To jej Park Avenue, jej Kensington Park Gardens, jej Avenue D'lana. Tu, w tych obszernych, staroświeckich domach, z których każdy otoczony jest jedno- lub dwuakrowym, aż do przesady wystrzyżonym trawnikiem, gdzie rosną najwspanialsze kwiaty i drzewa z ogrodu botanicznego w Hope, tu mieszka "najlepsze" towarzystwo. Długa, prosta ulica jest cicha i spokojna, daleko stąd do gorącego, wulgarnego śródmieścia Kingston, gdzie robią pieniądze jej mieszkańcy. Z drugiej strony, za zamykającym ją skrzyżowaniem, leżą tereny należące do King's House, tam mieszka gubernator i głównodowodzący sił zbrojnych. Na Jamajce żadna ulica nie mogłaby się kończyć w lepszym miejscu.

Tuż przed skrzyżowaniem, po wschodniej stronie stoi posesja opatrzona numerem jeden. Zajmuje ją obszerny piętrowy budynek, z szerokimi, pomalowanymi na białą werandami na obu kondygnacjach. Wysypana żwirem ścieżka prowadzi ku obramowanemu kolumnami wejściu wzdłuż trawników i kortów tenisowych, na których jak co wieczór ustawiono spryskiwacze. Ten budynek to towarzyska Mekka mieszkańców Kingston. Mieści się tu Queen's Club, od pięćdziesięciu lat chępiący się swym znaczeniem i liczbą odrzuconych kandydatów.

Takie uparte odsuwanie się od ludzi nie rokuje dziś na Jamajce niczego dobrego. Ktoregoś dnia ktoś powybija w Queen's Club wszystkie szyby, a może nawet spali go do samych fundamentów. Na razie jednak przyjemnie jest się tu znaleźć, kiedy przebywa się na tropikalnej wyspie - lokal jest dobrze prowadzony, ma niezłą obsługę, najwykwintniejszą kuchnię i najlepiej zaopatrzoną piwnicę w całych Karaibach.

O tej porze dnia, jak prawie każdego wieczoru, przed klubem można było dostrzec te same cztery samochody. Należały do czterech brydźystów, którzy zbierali się tu

punktualnie o piątej i grali aż do północy. Według ich przyjazdu można było nieomal nastawiać zegarki. Należały, patrząc w kolejności, w jakiej stały przy krawężniku - do dowódcy Karaibskich Sił Obrony, do czołowego w Kingston obrońcy w sprawach kryminalnych i do profesora matematyki na miejscowym uniwersytecie. Ostatni w rządzie stał czarny sunbeam alpine emerytowanego komandora Królewskiej Marynarki Wojennej Johna Strangwaysa, pełniącego obecnie funkcję inspektora regionalnego na Karaiby, albo wyrażając się mniej dyskretnie, lokalnego przedstawiciela brytyjskiej Secret Service.

Nie minął jeszcze kwadrans po szóstej, kiedy cisza Richmond Road została lekko zakłócona. Zza rogu wyszli trzej ślepi żebracy i posuwali się powoli chodnikiem w kierunku czterech zaparkowanych samochodów. Byli to Chig-ioes - Chinonegrzy. Zwaliści mężczyźni, szli jednak mocno pochyleni, powlócząc nogami i stukając o krawężnik białymi laskami. Szli razem. Pierwszy z nich nosił niebieskie okulary i prawdopodobnie widział lepiej od innych. W lewej ręce, przy zakrzywieniu laski trzymał blaszaną puszkę. Na jego ramieniu spoczywała prawa ręka drugiego, a na ramieniu drugiego prawa ręka trzeciego. Drugi i trzeci mieli zamknięte oczy. Wszyscy trzej odziani byli w lachmany, na głowach mieli brudne czapki baseballowe z długimi daszkami. Nie odzywali się do siebie i kiedy tak szli powoli ocienionym chodnikiem ku stojącym samochodom słychać było tylko ciche postukiwanie ich lasek.

Trzej ślepcy nie wzbudziłoby zdziwienia w Kingston, na którego ulicach można zobaczyć dużo kalek, ale tutaj, na tej spokojnej, zamożnej, pustej ulicy robili przykre wrażenie. Mogło budzić zdziwienie i to, że wszyscy byli Chinonegrami. To nie jest częsta mieszanka.

W salonie opalona ręka sięgnęła na środek stołu i zgarnęła ostatnią lewę. Z cichym trzaskiem karty dołączyły do innych.

- Sto punktów - powiedział Strangways - i dziewięćdziesiąt pod kreską. - Spojrzał na zegarek i wstał. - Za dwadzieścia minut jestem powrotem. Ty rozdajesz, Bili. Zamów coś do picia. Dla mnie to co zwykle. I nie staraj się podłożyć mi kart, kiedy mnie nie będzie. Zawsze to poznaję.

Bili Templar, dowódca korpusu, zaśmiał się krótko. Uderzył w dzwonek stojący z boku i zgarnął karty do siebie.

- Pośpiesz się, do diabła. Zawsze pozwalasz kartom stygnąć, kiedy partner jest przy forsie.

Strangways był już za drzwiami. Trzej mężczyźni z rezygnacją oparli się o krzesła. Wszedł kolorowy kelner. Zamówili u niego drinki. Dla Strangwaysa whisky z wodą. Ta irytująca przerwa miała miejsce każdego wieczoru, kwadrans po szóstej, mniej więcej w połowie drugiego robra. Dokładnie o tej porze Strangways, nawet w połowie rozgrywki, musiał wyjść do swego "biura" i "zatelefonować". Wszystkich to drażniło. Ale Strangways był niezastąpiony w ich czwórce i przyzwyczaili się do tego. Nigdy nie zostało wyjaśnione do kogo "telefonował" i nikt o to nie pytał. Praca Strangwaysa należała do tych, o których się nie mówi i to wystarczało za wyjaśnienie. Rzadko nie było go dłużej niż dwadzieścia minut i do zwyczaju należało, że za swą nieobecność płacił kolejką drinków.

Drinki właśnie nadeszły i trzej mężczyźni zaczęli rozmawiać o wyścigach.

W rzeczywistości był to najważniejszy moment w rozkładzie dnia Strangwaysa, pora na obowiązkowy kontakt radiowy z potężnym nadajnikiem umocowanym na dachu budynku w Regent's Park, gdzie mieści się kwatera główna brytyjskiej Secret Service. Codziennie o godzinie osiemnastej trzydzięci czasu lokalnego, jeśli poprzedniego dnia nie uprzedził, że nie będzie go w eterze - bo ma na przykład jakaś sprawę na innej

wyspie wchodzącej w skład jego obszaru albo jest obłożnie chory - powinien przekazać swój raport dzienny i przyjąć wyznaczone dla siebie instrukcje. Jeśli nie uda mu się zgłosić w eterze dokładnie o szóstej trzydziści, następne wezwanie, "niebieskie", nadaje się o siódmej, na koniec zaś wezwanie "czerwone" o siódmej trzydziści. Jeśli i to pozostanie bez odpowiedzi, ogłasza się "pogotowie" i sekcja III, sprawująca nad nim kontrolę w Londynie, natychmiast przystępuje do akcji, starając się odkryć, co mu się przydarzyło. Nawet wezwanie "niebieskie" wiąże się z przykrymi konsekwencjami dla agenta, chyba że jego przedstawione na piśmie usprawiedliwienie okaże się możliwe do zaakceptowania. Program nadawanych na cały świat seansów łączności londyńskiego radia jest napięty do ostatecznych granic i jego naruszenie, nawet przez jedno dodatkowe wezwanie, grozi niebezpiecznymi zakłóceniami. Strangways nigdy nie zhańbił się "niebieskim" wezwaniem, nie mówiąc już o "czerwonym" i pewien był, o ile można być pewnym czegokolwiek na tym świecie., że mu się to nigdy nie przydarzy. Każdego wieczoru, dokładnie o szóstej piętnaście, opuszczał Queen's Club, wsiadał do samochodu i w ciągu dziesięciu minut pokonywał odległość dzielącą go od położonego na pierwszych wzniesieniach Blue Mountains zgrabnego bungalowu, z którego roztaczał się bajeczny widok na port w Kingston. O szóstej dwadzieścia pięć przechodził korytarzem do biura mieszczącego się z tyłu bungalowu. Otwierał kluczem drzwi i zamykał je z powrotem za sobą. Panna Trueblood już na niego czekała. Uchodziła za jego sekretarkę, w rzeczywistości była jego numerem drugim, a wcześniej komendantem Kobiecej Pomocniczej Służby Królewskiej Marynarki Wojennej. Siedziała przy radiostacji w pomieszczeniu przypominającym szafę na akta. Na uszach miała słuchawki i właśnie starała się nawiązać kontakt, wystukując na częstotliwości 14 MHz jego znak rozpoznawczy - WXN. Na jej zgrabnych kolanach spoczywała kartka papieru. Strangways siadał obok niej na krześle, zakładał drugą parę słuchawek i dokładnie o szóstej dwadzieścia osiem przejmował radio czekając na nagłą ciszę w eterze, która oznaczała, że WWW w Londynie za chwilę wywoła jego stację. Była to żelazna rutyna i Strangways bezwzględnie jej przestrzegał. Niestety, ściśle trzymanie się harmonogramu, może okazać się zgubne, jeśli dowie się o nim przeciwnik. Strangways, wysoki szczupły mężczyzna, z czarną przepaską na prawym oku i o wyglądzie starego wilka morskiego, który dopiero co zszedł z kapitańskiego mostku, szybko przemierzył wyłożony mahoniową boazerią hali Queen's Club, pchnął lekkie drzwi obciążone moskitierą i zbiegł po trzech schodkach na ścieżkę. W tym momencie czuł tylko zmysłową przyjemność, którą dawało czyste, świeże wieczorne powietrze i przypomnienie finezji, z jaką udało mu się rozegrać trzy piki. Oczywiście, była poza tym ta sprawa, a właściwie dziwna i skomplikowana afera, którą M dość nonszalancko podrzucił mu dwa tygodnie wcześniej. Ale i ona szła dobrze. Przypadkowy trop prowadzący do chińskiej dzielnicy okazał się obiecujący. Pojawiły się punkty zaczepienia - właściwie na razie tylko słaby ich cień - ale jeśli rzecz się skryształizuje, myślał Strangways idąc wysypaną żwirem ścieżką, a potem chodnikiem Richmond Road, może się okazać, że zaangażował się w coś naprawdę bardzo dziwnego. Strangways wzruszył ramionami. Oczywiście nic takiego się nie stanie. W jego zawodzie fantazje nigdy nie zamieniały się w rzeczywistość. Wyolbrzymiona przez rozpaloną wyobraźnię i typową dla Chińczyków histerię sprawa znajdzie z pewnością jakieś banalne rozwiązanie. Inna część umysłu Strangwaysa automatycznie zarejestrowała obecność trzech ślepców. Powoli zbliżali się do niego stukając swymi laskami. Byli około dwudziestu metrów od niego. Obliczył, że miną go sekundę lub dwie przed tym, nim dojdzie do samochodu. Powodowany wstydem i zarazem wdzięcznością wobec losu, że obdarzył go dobrym zdrowiem, Strangways wymacał w kieszeni monetę. Paznokciem sprawdził jej kant,

upewniając się, że to dwa szylingi, a nie jeden pens. Wyjął ją. Teraz zrównał się z żebrakami. Dziwne, wszyscy byli Chinonegrami! Bardzo dziwne! Strangways wyciągnął rękę. Moneta zadzwoniła wpadając do blaszanej puszki.

- Niech pana Bóg błogosławi, panie - powiedział pierwszy z żebraków.

- Niech pana Bóg błogosławi - powtórzyli dwaj pozostali.

Strangways trzymał w ręku kluczyki od samochodu. Mgliście zarejestrował chwilę ciszy, kiedy przestały stukać laski. Za późno.

Kiedy minął ostatniego mężczyznę, wszyscy trzej obrócili się. Dwaj stojący z tyłu dali krok w bok, żeby mieć przed sobą wolne pole do strzału. Trzy rewolwery, zakończone niezgrabnymi, przypominającymi pęta kielbasy tłumikami, wysunęły się z futerałów ukrytych pod lachmanami. Z nienaganną precyzją trzej mężczyźni wycelowali w trzy różne punkty kręgosłupa Strangwaysa - jeden między obojczykami, drugi w krzyż, trzeci w miednicę.

Trzy ciężkie kasznięcia zwały się prawie w jedno. Ciało Strangwaysa rzucone zostało w przód, tak jakby ktoś je kopnął. Leżało teraz w całkowitym bezruchu, w małym obłoku kurzu, który uniósł się z trotuaru.

Była szósta siedemnaście. Zza rogu wypadł z piskiem opon obdrapany karawan z czterema czarnymi chorągiewkami powiewającymi z każdej strony dachu. Wjechał na Richmond Road zbliżając się do stojących na chodniku mężczyzn. Zdołali oni właśnie podnieść ciało Strangwaysa, kiedy karawan z poślizgiem zatrzymał się tuż przy nich. Dwuskrzydłowe przesuwane drzwi z tyłu były otwarte. Otwarta była również leżąca w środku prosta sosnowa trumna. Trzech mężczyzn wsunęło ciało przez drzwi i umieściło w trumnie. Wskoczyli do środka. Na trumnę nałożyli pokrywę, przesuwane drzwi zostały zamknięte. Trzej Chinonegrzy zajęli trzy z czterech krzesełek umieszczonych w rogach trumny. Bez pośpiechu wsunęli pod nie białe laski: Za nimi wisiały obszerne płaszcze z czarnej alpaki. Narzucili je na swoje lachmany. Potem zdjęli baseballowe czapki, sięgnęli pod krzeselka, wyciągnęli stamtąd czarne cylindry i założyli na głowy. Kierowca, który również był Chinonegrem, nerwowo oglądał się przez ramię.

- Ruszaj, człowieku. Ruszaj! - powiedział największy z zabójców. Spojrzał na fluoryzującą tarczę swojego zegarka. Pokazywała szóstą dwadzieścia. Tylko trzy minuty na całą robotę. Zabity na czas.

Karawan statecznie zawrócił i niezbyt, szybko ruszył ku skrzyżowaniu. Tam skręcił w prawo i nie przekraczając czterdziestu kilometrów na godzinę, z dystynkcją oddalił się wiodącą w kierunku wzgórz drogą. Czarne chorągiewki przypominały o wiezionym przezeń bolesnym bagażu, a trzej żalobnicy siedzieli prosto jak świece z rękoma skrzyżowanymi z szacunkiem na piersiach.

- WXN wzywa WWW... WXN wzywa WWW... WXN... WXN... WXN... Środkowy palec prawej ręki Mary Trueblood miękko i elegancko uderzał o klawisz. Spojrzała na zegarek. Szósta dwadzieścia osiem. Już od minuty powinien tu być. Mary Trueblood uśmiechnęła się na myśl o małym sunbeamie z otwartym dachem, który mknął drogą w jej kierunku. Teraz, zaraz, usłyszy szybkie kroki, szcęk klucza w zamku i on usiądzie koło niej. Uśmiechnie się przepraszając sięgając do słuchawki. "Przepraszam, Mary. Przeklęty samochód nie chciał zapalić." Albo: "Myślałby kto, że ta zaszara policja zna już na pamięć moje numery. Zatrzymali mnie przy Halfway Tree." Mary Trueblood zdjęła drugą parę słuchawek z wieszaka i położyła je na krześle obok, żeby zaoszczędzić dla niego choć pół sekundy.

- WXN wzywa WWW... WXN wzywa WWW... - Przesunęła pokrętło o włos i spróbowała znowu. Zegarek wskazywał szóstą dwadzieścia dziewięć. Zaczęła się niepokoić. W ciągu kilku sekund Londyn może zacząć nadawać. Boże, pomyślała nagle,

powinnam coś zrobić, jeśli Strangways nie zjawi się na czas. Potwierdzenie odbioru i udawanie Strangwaysa nie miało sensu - było niebezpieczne. Wywiad radiowy prowadził nasłuch transmisji - tak jak czynił to zawsze, w wypadku każdego agenta. Urządzenia, które mierzą najdrobniejsze szczegóły uderzeń, charakterystycznych dla każdego operatora, natychmiast odkrywają, że to nie Strangways obsługuje nadajnik. W cichym pokoju na najwyższym piętrze kwatery głównej pokazano kiedyś Mary Trueblood setki czujników. Widziała, jak sprawne ręce rejestrowały siłę każdego uderzenia, szybkość podawania kolejnych grup szyfrów, omyłki przy poszczególnych literach. Oficer prowadzący wyjaśnił jej to wszystko pięć lat temu, kiedy przydzielono ją do stacji na Karaibach: w jaki sposób włączy się brzęczyk i kontakt zostanie automatycznie przerwany, jeśli niewłaściwy operator pojawi się w eterze. Było to podstawowe zabezpieczenie, na wypadek, gdyby nadajnik wpadł w ręce przeciwnika. A jeżeli agent został ujęty i torturami zmuszony do nawiązania kontaktu z Londynem, mógł, o włos tylko zmieniając sposób, w jaki uderza w klawisz, przekazać wiadomość o swoim aresztowaniu tak samo wyraźnie, jak gdyby nadawał bez szyfru.

Zaraz odezwie się Londyn! Słyszała ciszę w eterze, która zawsze poprzedzała wywołanie stacji. Mary Trueblood spojrzała na zegarek. Szósta trzydzieści. Katastrofa! Ale teraz, nareszcie, słychać było kroki dochodzące z hallu. Dzięki Bogu. Za sekundę wejdzie tutaj. Ona musi go ochronić. Podjęła desperacką decyzję. Zaryzykuje i podtrzyma łączność. - WWW wzywa WXN... WWW wzywa WXN... Czy mnie słyszysz?... Czy mnie słyszysz?... - Sygnał z Londynu nadchodził z mocą, szukając stacji na Jamajce. Kroki słychać było przy samych drzwiach.

Spokojnie i pewnie nadawała odpowiedź:

- Słyszę cię głośno i wyraźnie... Słyszę cię głośno i wyraźnie... Słyszę cię...

Usłyszała wybuch. Coś uderzyło ją w kostkę. Spojrzała w dół. To był zamek od drzwi. Mary Trueblood gwałtownie odwróciła się na krześle. W drzwiach stał mężczyzna. To nie był Strangways. Stał tam wielki Murzyn o żółtawym odcieniu skóry i skośnych oczach. W ręku miał pistolet zakończony grubym czarnym cylindrem.

Mary Trueblood otworzyła usta do krzyku.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko. Powoli, z upodobaniem podniósł broń i trzy razy przeszył jej lewą pierś kulami.

Dziewczyna osunęła się bokiem z krzesła. Z jej złotych włosów zsunęły się na podłogę słuchawki. Może przez sekundę rozbrzmiewało w pokoju ciche stukanie dochodzące z Londynu. Potem urwało się. Brzęczyk zainstalowany na biurku oficera dyżurnego w sekcji wywiadu radiowego zasygnalizował, że coś złego stało się z WXN.

Zabójca wyszedł z pokoju. Wrócił niosąc pudełko z kolorową nalepką PRESTO FIRE i duży worek po cukrze, na którym widniał napis TATE & LYLE. Pudełko postawił na podłodze. Zbliżył się do ciała, nałożył worek na głowę i nie patyczkując się naciągnął go aż po kostki. Z worka wystawały stopy. Zgiął je i wpakował do środka. Zaciągnął worek do hallu i zawrócił. Tak jak mu powiedziano, w rogu pokoju stał otwarty sejf, a wyjęte z niego książki szyfrów leżały na biurku, gotowe do użycia przy przyjmowaniu komunikatu z Londynu. Mężczyzna rzucił je i pozostałe papiery, które znalazł w sejfie, na środek pokoju. Zerwał firanki i położył je na stos. Na górze postawił kilka krzeseł. Otworzył pudełko z zapalnikami PRESTO, wyjął garść, wsadził w sam środek stosu i zapalił. Potem przeszedł do hallu i zapalił takie same ogniska w odpowiednich punktach. Zeschnięte drewniane meble szybko się zajęły i płomienie zaczęły lizać boazerię.

Mężczyzna podszedł do drzwi wejściowych i otworzył je. Przez hibiskusowy żywopłot widział błyszczący zarys karawanu. Nie było słychać niczego poza cykaniem świerszczy i miękkiem warkotem samochodowego silnika. Po lewej i prawej stronie ulicy nikt nie dawał znaku życia. Mężczyzna cofnął się do wypełnionego dymem hallu, z łatwością

zarzucił sobie worek na plecy i znowu pojawił się na zewnątrz, zostawiając drzwi otwarte, żeby był przeciąg. Szybko przeszedł ścieżką na ulicę. Drzwi z tyłu karawanu czekały otwarte. Podał worek do środka i patrzył, jak dwaj pozostali mężczyźni upychają go w trumnie na zwłokach Strangwaysa. Potem wskoczył do środka, zasunął drzwi, usiadł na krzeselku i założył swój czarny cylinder.

Kiedy w oknach na piętrze bungalowu pokazały się pierwsze płomienie, karawan zjechał ostrożnie z chodnika i skierował się w stronę sztucznego jeziora Mona. Tam obciążona trumna zsunęła się do wody znikając w głębokim na sto metrów grobowcu. W ciągu czterdziestu pięciu minut wszelki ślad po personelu i archiwach karaibskiej stacji Secret Service został starty z powierzchni ziemi.

ROZDZIAŁ 2 WYBÓR BRONI

Trzy tygodnie później w Londynie, marzec nadszedł niczym rozwścieczony grzechotnik. Dnia pierwszego marca, grad i marznąca mżawka, pędzone wichurą dochodzącą do ośmiu stopni w skali Bouforta, od świtu chłostały miasto. Zbiedzeni ludzie z twarzami ściętymi zimnem przemykali do pracy w płaszczach nieprzemakalnych, których mokre brzegi pętały się między nogami.

Dzień nastał paskudny i wszyscy byli co do tego zgodni - nawet M, który rzadko przyznawał, że coś takiego jak pogoda w ogóle istnieje. Kiedy stary rolls royce silver wraith na cywilnych numerach zatrzymał się przy wysokim budynku w Regent's Park i M, sztywny jak zawsze, wysiadł na chodnik, grad uderzył go w twarz niczym podmuch pistoletowego wystrzału. Zamiast szybko schronić się w budynku, z namaszczeniem obszedł dookoła samochód i zbliżył się do szyby od strony kierowcy.

- Nie będę dziś potrzebował wozu, Smith. Zabierz go i jedź do domu. Wieczorem pojedę metrem. To nie jest pogoda na samochód. Jest gorzej niż podczas konwojów na Atlantyku.

Były mechanik okrętowy Smith wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Tak, jest sir. Dziękuję.

Patrzył, jak wyprostowana sylwetka starszego pana okrąża maskę rollsa, przecina chodnik i znika w budynku. Prawdziwa stara szkoła. Zawsze na uwadze będzie miał przede wszystkim dobro człowieka. Smith wrzucił jedynekę i ruszył wlepiając oczy w zalewaną potokami wody szybę. Ze świecą dziś szukać takich ludzi.

M wjechał windą na ósme piętro i przeszedł korytarzem do swego gabinetu. Gruby dywan tłumil jego kroki. Zamknął za sobą drzwi, zdjął płaszcz, szalik i powiesił je na wieszaku. Wyjął dużą błękitną jedwabną chustkę i mocno wytarł nią twarz. Dziwne, ale za nic nie zrobiłby tego w obecności portierów albo windziarza. Siadł za biurkiem i pochylił się nad interkomem.

- Jestem, panno Moneypenny. Proszę o materiały z nasłuchów i to wszystko, co ma pani dla mnie poza tym. Potem proszę połączyć mnie z sir Jamesem Molonym. Robi teraz właśnie obchód w szpitalu St. Mary. Proszę powiedzieć szefowi personelu, że za pół godziny chcę się widzieć z 007. I proszę o teczkę Strangwaysa. - M poczekał na metaliczne "Tak, sir" i puścił przycisk.

Odchylił się do tyłu, sięgnął po fajkę i zamyślony zaczął ją napelniać. Nie podniósł wzroku, kiedy weszła sekretarka niosąc stos papierów. Zignorował nawet pół tuzina raportów z napisem "Bardzo pilne" leżących na szczycie teczki z nasłuchami. Gdyby były naprawdę ważne, zawiadomiono by go w nocy.

Na interkomie zamrugnęło żółte światelko. M podniósł czarną słuchawkę jednego z czterech telefonów.

- Czy to pan, sir James? Może mi pan poświęcić pięć minut?

- Dla pana nawet sześć - zachichotał po drugiej stronie sławny neurolog. - Chce pan, żebym wystawił zaświadczenie jednemu z ministrów Jej Królewskiej Wysokości?

- Nie dzisiaj - M zmarszczył brwi poirytowany. Stary marynarz traktował rząd z szacunkiem. - Chodzi o jednego z moich ludzi. Zajmowaliście się nim. Nie będę wymieniał nazwiska, jesteśmy na miejskiej linii. Dowiedziałem się, że pozwolił mu pan wczoraj wyjść. Czy można mu powierzyć kolejne zadanie?

Po drugiej stronie nastąpiła pauza. Po chwili sir James odezwał się wyważonym głosem profesjonalisty.

- Fizycznie zdrow jak ryba. Noga się zagoiła. Nie powinno być żadnych komplikacji. Tak, jest w porządku. - Następna pauza. - Jest tylko jedna sprawa, M. Pracujecie w dużym napięciu, sam pan wie. Nie oszczędza pan swoich ludzi. Czy na początek nie mógłby pan mu dać czegoś lepszego? Z tego, co mi mówił, miał ciężkie życie przez ostatnie kilka lat.

- Za to mu płacę - burknął M. - Jeśli nie nadaje się do roboty, wkrótce się o tym przekonamy. Nie będzie pierwszym, który się załamał. Z tego, co pan mówi, wynika, że jest w doskonałej formie. Nie wygląda na to, żeby doznał trwałego uszczerbku. Podsyłałem panu już nieraz pacjentów bardziej przepuszczonych przez porządny magiel.

- Oczywiście, jeśli tak pan stawia sprawę. Ale ból to dziwna rzecz. Bardzo mało o nim wiemy. Nie potrafimy go zmierzyć, wyliczyć różnicy w cierpieniu między rodzącą kobietą a mężczyzną, który ma atak kamicy nerkowej. Dzięki Bogu, wygląda na to, że ciało ma krótką pamięć. Ale tego pańskiego człowieka naprawdę bolało. Niech pan sobie nie myśli, że ponieważ akurat nic nie zostało złamane...

- Tak, tak. - Bond popełnił błąd i odcierpiał za to. M w żadnym wypadku nie lubił pouczeń, jak ma postępować ze swoimi agentami, nawet jeśli wychodziły z ust lekarza o światowej renomie. W głosie sir Jamesa Molony'ego czuć było nutę krytycyzmu.

- Słyszał pan kiedyś o facecie, noszącym nazwisko Steincrohn, doktor Peter Steincrohn?

- spytał nagle M.

- Nie, a któż to taki?

- Amerykański doktor. Napisał książkę. Moi ludzie w Waszyngtonie przysłali ją do naszej biblioteki. Opowiada o tym, ile może znieść ludzkie ciało. Daje listę części, bez których może się obejść przeciętny człowiek. Prawdę mówiąc, zrobiłem sobie kopię tej listy, do użytku w przyszłości. Przeczytać panu? - M pogrzebał w kieszeni marynarki i wyłożył przed sobą na biurko kilka listów i kartek papieru. Lewą ręką wybrał jedną z nich i rozprostował. Cisza po drugiej stronie nie wytrąciła go z równowagi. - Hallo, sir James! Już mam, oto lista: woreczek żółciowy, śledziona, migdałki, wyrostek robaczkowy, jedna z dwóch nerek, jedno z dwóch płuc, dwa i pół z pięciu albo sześciu litrów krwi, dwie piąte wątroby, większość żołądka, ponad metr z siedmiu metrów jelit, połowa mózgu. - M przerwał. Kiedy po drugiej stronie trwało milczenie, zapytał. - I co pan na to, sir James?

W słuchawce rozległo się pełne niesmaku prychnięcie.

- Dziwię się, że nie dołączył do tej listy nogi albo ręki, albo wszystkich kończyn na raz. Nie bardzo rozumiem, co pan się stara udowodnić.

M zaśmiał się sucho.

- Nie staram się niczego udowodnić, sir James. Po prostu zainteresowała mnie ta lista. Chcę tylko powiedzieć, że w porównaniu z tego rodzaju uszczerbkiem na zdrowiu moi ludzie nie przeszli niczego strasznego. Ale - dorzucił łagodniej - nie kłóćmy się o to. Prawdę mówiąc, właśnie zamierzałem powierzyć naszemu wspólnemu znajomemu jakąś lepszą misję. Coś jest nie w porządku na Jamajce. - M spojrzał na zalewane potokami

wody okno. - Można to potraktować bardziej jako wczasy czy coś w tym rodzaju. Ulotniło się razem dwoje moich ludzi, mężczyzna i dziewczyna. Albo tak to tylko wygląda. Nasz przyjaciel może przez jakiś czas popracować jako detektyw... i cieszyć się słońcem. Co pan na to?

- Drugi bilet dla mnie. Sam bym tam chętnie popracował, zwłaszcza w taki dzień jak dzisiaj.

Sir James Molony zdecydowany był jednak do końca przedstawić swój punkt widzenia. Delikatnie powracał do sprawy.

- Niech pan nie myśli, że chcę się wtrącać, M, ale są granice ludzkiej odwagi. Wiem, że musi pan traktować tych ludzi jak materiał, który i tak się kiedyś zużyje, ale nie chciałby pan chyba, żeby stało się to w nieodpowiednim momencie. Ten, którego tutaj miałem, jest twardy. Powiedziałbym, że będzie pan miał z niego jeszcze dużo pożytku. Ale wie pan, co o odwadze miał do powiedzenia Morgan w tej swojej książce.

- Nie pamiętam.

- Mówi, że odwaga to kapitał, który topnieje, w miarę jak powiększają się wydatki. Zgadzam się z nim. Chcę tylko nadmienić, że ten właśnie człowiek wygląda, jakby miał nieliczne wydatki od czasu, gdy zaczęła się wojna. Nie powiedziałbym, że się splukał do dna, jeszcze nie, ale są jednak pewne granice.

- No właśnie. - M postanowił, że dosyć już tego dobrego. Z każdym trzeba się pieścić w dzisiejszych czasach. - Dlatego właśnie wysyłam go za granicę. Wakacje na Jamajce. Proszę się nie martwić, sir James. Będę o niego dbał. Przy okazji, odkrył pan może, czym nafaszerowała go ta Rosjanka?

- Mam odpowiedź od wczoraj. - Sir James Molony także chętnie przystał na zmianę tematu. Stary M był równie przykry jak dzisiejsza pogoda. Czy istnieje szansa, żeby ta jego gruba czaszka, jak na własny użytek myślał o M, dopuściła do siebie myśl, którą chciał jej przekazać? - Badania zabrały nam trzy miesiące. Odkrył to pewien bystry facet ze szkoły medycyny tropikalnej. Trucizna nazywa się fugu. Japończycy używają jej w celach samobójczych. Uzyskuje się ją z organów płciowych japońskiej ryby-kuli. Może pan być pewien, że Rosjanie zawsze wymyślą coś, o czym nikt nigdy nie słyszał. Równie dobrze mogli użyć kurary. Ma bardzo podobny efekt, paraliżuje centralny układ nerwowy. Naukowa nazwa fugu brzmi tetrodotoksyna. To straszny środek, błyskawicznie działający. Jedna porcja, podobna do tej, jaką dostał pański człowiek, i w ciągu kilku sekund następuje paraliż mięśni notorycznych i oddechowych. Z początku facet widzi wszystko podwójnie, za chwilę nie może otworzyć oczu. Potem nie może przelykać. Głowa mu opada i nie może jej podnieść. Umiera z powodu paraliżu dróg oddechowych.

- Miał szczęście, że z tego wyszedł.

- To cud. Zawdzięcza to wyłącznie Francuzowi, który z nim był. Ułożył pańskiego człowieka na podłodze i robił mu sztuczne oddychanie, jak topielcowi. W jakiś sposób utrzymywał działanie płuc aż do nadejścia lekarza. Na szczęście lekarz pracował jakiś czas w Ameryce Południowej. Uznał, że to kurara, i zastosował odpowiednie środki. Szansa i tak była jedna na milion. Tak przy okazji, co się stało z tą Rosjanką?

- Nie żyje - odpowiedział krótko M - cóż, serdeczne dzięki, sir James. I proszę się nie martwić o swojego pacjenta. Dopilnuję, żeby się nie przemęczał. Do widzenia.

M odwiesił słuchawkę. Jego twarz była chłodna i pusta. Przysunął do siebie materiały z nasłuchów i szybko je przerzucił. Na niektórych z nich porobił notatki. Raz czy dwa musiał zatelefonować do którejś z sekcji. Kiedy skończył, wrzucił akta do kosza z napisem "zalatwione", sięgnął po fajkę i pudełko z tytoniem zrobione z łuski czternastofuntowego pocisku. Nie leżało przed nim nic oprócz żółtej aktówki z czerwoną gwiazdą oznaczającą "ściśle tajne". Przez jej środek ukosem napisał ktoś dużymi

literami: STACJA NA KARAIBACH, pod spodem zaś pochyłym pismem: Strangways i Trueblood.

Na interkomie zamrugało światełko. M nacisnął guzik.

- Tak?

- 007 jest tutaj, sir.

- Wpuść go. I powiedz zbrojmistrzowi, żeby przyszedł tutaj za pięć minut.

M oparł się o krzesło. Wziął fajkę do ust i zaczął ją zapalać. Przez dym obserwował drzwi prowadzące do biura swojej sekretarki. Oczy miał jasne i badawcze.

James Bond wszedł i zamknął za sobą drzwi. Zbliżył się do krzesła stojącego po drugiej stronie biurka i usiadł.

- Witaj, 007.

- Dzień dobry, sir.

W pokoju panowała cisza, dobiegało tylko ciche pykanie fajki. Wyglądało na to, że trzeba będzie do niej użyć wielu zapalek. Za dwoma szerokimi oknami szumiał deszcz ze śniegiem.

Wszystko było dokładnie jak we wspomnieniu; nosił je w sobie, przerzucany ze szpitala do szpitala, podczas długich tygodni rekonwalescencji i ciężkich ćwiczeń, dzięki którym z powrotem dochodził do formy. To, że siedział tutaj, w tym pokoju, naprzeciwko M, było symbolem wymarzonej normalności, oznaczało dla niego powrót do życia. Przez chmurę dymu patrzył w bystre szare oczy. Obserwowały go. Co go czeka? Roztrząsanie katastrofy, jaką była jego ostatnia akcja? Natychmiastowe przesunięcie do którejś z sekcji krajowych, do papierkowej roboty, czy może nowa wspaniała misja, którą M trzymał specjalnie dla niego w zamrażarce, czekając, aż wróci do formy?

M rzucił zapalki na obite czerwoną skórą biurko. Odchylił się do tyłu i założył ręce za głowę.

- Jak się czujesz? Zadowolony jesteś z powrotu?

- Bardzo, sir. I czuję się świetnie.

- Jakież końcowe wnioski w związku z ostatnią sprawą? Nie zawracałem ci tym głowy, dopóki nie wydobrzałeś. Słyszałeś, że zarządziłem śledztwo. Zdaje się, że szef personelu odebrał od ciebie zeznania. Chciałbyś coś do nich dodać?

Głos M brzmiał zimno, jak głos człowieka interesu. Bond nie lubił tego. Czekало go coś nieprzyjemnego.

- Nie, sir - powiedział. - To była fuszerka. Czuję się winny, że dałem się podejść tej kobiecie. To nie powinno się zdarzyć.

M zdjął dłonie z karku, powoli pochylił się do przodu i oparł je przed sobą na biurku. Oczy miał twarde.

- Właśnie - powiedział aksamitnym, złowróżbnym głosem. - Zaciął ci się pistolet. Ta twoja beretta z zamocowanym tłumikiem. Coś tu jest nie w porządku, 007. Nie możesz sobie pozwolić na tego rodzaju potknięcia, jeśli chcesz nadal nosić numer 00. A może wolisz z tym skończyć i wrócić do normalnych obowiązków?

Bond stęzał. Spojrzał na M z urazą. Podwójne zero przed numerem agenta, prawo do zabijania w imieniu Secret Service, stanowiło wielki honor. Ciężko nań zapracował. Dlatego powierzano mu tylko niebezpieczne misje i tylko takie dawały mu satysfakcję.

- Nie, sir.

- W takim razie musimy zmienić twój ekwipunek. To jeden z wniosków, do których doszła komisja śledcza. Zgadzam się z nim. Rozumiesz?

- Jestem przyzwyczajony do tej broni - z uporem stwierdził Bond. - Lubię z nią pracować. To, co się zdarzyło, mogło się przytrafić każdemu. I z każdym rodzajem broni.

- Nie zgadzam się. Nie zgadza się również komisja śledcza.

Sprawa jest więc przesądzona. Jedyne pytanie brzmi: czego będziesz używał w zamian. - M nachylił się nad interkomem. - Czy jest już zbrojmistrz? Proszę go wpuścić.

M wyprostował się.

- Może o tym nie wiesz, 007, ale major Boothroyd jest najlepszym na świecie ekspertem w dziedzinie broni krótkiej. Nie byłoby go tutaj, gdyby nim nie był. Posłuchamy, co ma nam do powiedzenia.

Drzwi otworzyły się. Do środka wszedł niski szczupły mężczyzna o rudawych włosach. Podeszedł do biurka i stanął obok siedzącego na krześle Bonda. Bond spojrzał mu w twarz. Wcześniej nie widywał często tego człowieka, pamiętał jednak jego szeroko otwarte szare oczy, które zdawały się nigdy nie mrugać. Rzuciwszy krótkie, niezobowiązujące spojrzenie na Bonda, mężczyzna stał rozluźniony, patrząc na M.

- Dzień dobry, sir - powiedział płaskim, pozbawionym emocji głosem.

- Dzień dobry, majorze. Chcę zadać kilka pytań - głos M był obojętny. - Przede wszystkim, co sądzisz o beretce, kaliber 25?

- Pistolet dla pań, sir.

M z ironią podniósł brwi patrząc na Bonda. Ten uśmiechnął się niewyraźnie.

- Naprawdę! Dlaczego tak sądzisz?

- Mała siła rażenia. Ale jest łatwy w działaniu. Ładnie wygląda, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. To działa na kobiety.

- A jak zachowuje się z tłumikiem?

- Jeszcze mniejsza siła rażenia. A w ogóle to nie lubię tłumików. Są ciężkie i zaplątują się w ubraniu, kiedy trzeba się spieszyć. Nikomu nie polecałbym takiej kombinacji, sir.

Zwłaszcza jeśli chodzi o poważne spotkanie.

- Co ty na to, 007? - miodowym głosem spytał M.

Bond wzruszył ramionami.

- Nie zgadzam się. Posługiwałem się beretta, kaliber 25 od piętnastu lat. Nigdy dotychczas się nie zaciął i nigdy z niego nie chybiłem. Jak na jeden pistolet to całkiem niezłe. Jestem do niego po prostu przyzwyczajony i mówię o tym bez ogródek. Kiedy trzeba, używam większej broni, na przykład colta, kaliber 45, z długą lufą. Ale do pracy z bliska i z ukrycia wolę berettę. - Bond przerwał. Czuł, że w jakimś punkcie powinien ustąpić. - Zgadzam się co do tłumików, sir. Są z nimi kłopoty. Ale czasami trzeba ich użyć.

- Co się wtedy dzieje, to mogliśmy zauważyć - sucho stwierdził M. - A w sprawie zmiany broni, to tylko kwestia wprawy. Wkrótce przyzwyczaisz się do nowej. - Teraz M pozwolił, by w jego głosie pojawił się cień sympatii. - Przykro mi, 007, ale już zdecydowaliśmy. Wstań na chwilę. Chcę, żeby major przyjrzał się, jak jesteś zbudowany.

Bond wstał i obaj mężczyźni zmierzli się wzrokiem. Ich oczy patrzyły na siebie bez sympatii. Spojrzenie Bonda zdradzało irytację. Spojrzenie majora Boothroyda było obojętne, kliniczne. Obszedł Bonda naokoło.

- Przepraszam - powiedział i pomacał jego bicepsy i mięśnie przedramienia. Potem stanął przed nim i zapytał:

- Czy mogę obejrzeć pańską broń?

Ręka Bonda wolno powędrowała pod marynarkę. Podał majorowi berettę z uciętą lufą. Boothroyd zbadał pistolet i zważył go na dłoni. Potem odłożył na biurko.

- A kabura?

Bond zdjął marynarkę i ściągnął irchowy futerał razem z uprzężą. Włożył marynarkę z powrotem.

Przyjrząwszy się z bliska brzegom kabury, pewnie po to, żeby sprawdzić, czy nie noszą śladów jakichś zadrapań, Boothroyd szyderczym ruchem rzucił ją na biurko obok pistoletu.

- Myślę, że możemy wprowadzić tutaj kilka poprawek - to był ton, którym odezwał się do Bonda jego pierwszy drogi krawiec.

Bond usiadł. Przestał gapić się nieuprzejmie w sufit. Kamiennym wzrokiem spoglądał na M.

- Co byś zarekomendował?

Major Boothroyd tym razem odezwał się głosem znawcy.

- Muszę przyznać - zaczął skromnie - że poddałem testom większość istniejących modeli krótkiej broni automatycznej. Pięć tysięcy strzałów na odległość dwudziestu pięciu metrów każdy. Z nich wszystkich wybrałbym walthera PPK, kaliber 7,65 mm. Zajmuje co prawda dopiero czwarte miejsce za japońskim M14, rosyjskim tokarewem i sauerem M38. Ale lubię jego lekkie pociągnięcie za cyngiel, a przedłużony magazynek zapewnia uchwyt, który powinien zadowolić Bonda. To prawdziwa broń powstrzymująca.

Oczywiście to kaliber 32 w porównaniu z 25 beretty, ale nie polecałbym nic lżejszego.

Poza tym amunicję do walthera można dostać na całym świecie. To daje mu przewagę nad pistoletem japońskim i rosyjskim.

- Co ty na to? - zwrócił się M do Bonda.

- To dobra broń - przyznał Bond. - Trochę mniej zgrabna od beretty. Jak mam, według majora, ją nosić?

- W kaburze Bernsa-Martina, model potrójny - odparł major Boothroyd. - Najlepiej nosi się ją wewnątrz spodni, przy pasku. Ale dobrze sprawuje się i pod ramieniem.

Zrobiona jest ze sztywnej skóry służącej do wyrobu siodeł. Trzyma broń za pomocą specjalnej sprężyny. Dzięki czemu można ją wysunąć szybciej niż z tego - wskazał na biurko. - Dośnięcie przeciwnika z odległości sześciu metrów nie powinno trwać dłużej niż trzy piąte sekundy.

- W takim razie sprawa załatwiona - w głosie M nie było miejsca na odwołania. - A jeśli chodzi o coś większego?

- Jest tylko jeden model, który się nadaje, sir - odparł powściągliwie major Boothroyd - smith & wesson centennial airweight. Rewolwer. Kaliber 38. Bez iglicy, nie ma obawy, że zaczepi się o ubranie. Długość całkowita szesnaście centymetrów, wazy niecałe czterdzieści deko. Żeby nie zwiększać wagi, w magazynku jest miejsce tylko na pięć naboń. Ale zanim wszystkie go opuszczą - major Boothroyd pozwolił sobie na lodowaty uśmiech - ktoś na pewno pożegna się z życiem. Używa się do niego specjalnej amunicji s&w, kaliber 38. Naprawdę bardzo celne pociski. Przy standardowym ładowaniu nabój osiąga przy wyjściu z lufy prędkość 260 metrów na sekundę i energię pięciuset czterdziestu dżuli. Są modele o różnej długości lufy: dziewięć centymetrów, dwanaście...

- W porządku, w porządku - w głosie M wzbierała irytacja. Wierzę ci na słowo. Jeśli mówisz, że jest najlepszy, to tak musi być. Mamy więc walthera i smith & wessona. Prześlij oba 007. I załatw mu strzelnicę, żeby mógł poćwiczyć. Początek dzisiaj. Za tydzień powinien być ekspertem, jeśli chodzi o tę broń. W porządku? W takim razie dziękuję bardzo, majorze. Nie będę cię zatrzymywał.

- Dziękuję, sir - powiedział major Boothroyd. Odwrócił się na pięcie i wyprostowany wymaszerował z pokoju.

Na moment zapadła cisza. W okna uderzały igielki marznącej mżawki. M obrócił krzesło i wpatrywał się w zalane wodą szyby. Bond wykorzystał sposobność, żeby rzucić okiem na zegarek. Dziesiąta. Spojrzał na leżący na biurku pistolet i futerał. Pomyślał o piętnastoletnim małżeństwie, które połączyło go z tym brzydkim kawalkiem metalu. Pamiętał chwile, kiedy jego jedno jedyne słowo ocalało mu życie - i chwile, kiedy

wystarczała sama tylko jego obecność. Myślał o dniach, kiedy dosłownie ubierał się wystrzałowo: rozkładał pistolet na części, oliwił je, ostrożnie umieszczał naboje w magazynku, raz czy dwa sprawdzał jego działanie, wyrzucając kule na narzutę łóżka gdzieś w jakimś hotelowym pokoju, gdzieś w jakimś punkcie globu. Potem ostatnie przetarcie suchą szmatką, pistolet ładuje w futerał, chwila przed lustrem, żeby sprawdzić, czy nic nie widać; i już jest się za drzwiami w drodze na rendezvous, które skończy się światłem albo ciemnością. Ile razy ocalił mu życie? Ile podpisał wyroków śmierci? Bonda ogarnął irracjonalny smutek. Jak można do tego stopnia przywiązać się do martwego przedmiotu, na dodatek brzydkiego i stanowiącego broń, musiał to przyznać, o klasę gorszą od pistoletów wybranych przez zbrojmistrza. A jednak przywiązał się i M miał teraz zamiar z tym skończyć.

M przekręcił krzesło z powrotem i spojrzał mu prosto w twarz.

- Przykro mi, James - powiedział, ale w jego głosie nie było współczucia. - Wiem, jak polubiłeś ten kawał żelaza. Obawiam się jednak, że musisz się z nim rozstać. Nigdy nie dawaj broni szansy po raz drugi... tak samo jak człowiekowi. Nie mogę pozwolić sobie na ryzyko, gdy idzie o ludzi z sekcji opatrzonej podwójnym zerem. Muszą być odpowiednio wyposażeni. Rozumiesz? W twojej pracy pistolet jest ważniejszy od ręki.

- Wiem, sir - Bond uśmiechnął się słabo. - Nie zamierzam się sprzeciwiać. Po prostu przykro mi się z nim rozstawać.

- W takim razie w porządku. Nie będziemy więcej o tym mówić.

Mam dla ciebie inną wiadomość. Szykuje się robota. Na Jamajce. Kłopoty z personelem. Przynajmniej tak to na pierwszy rzut oka wygląda. Rutynowe śledztwo i raport. Słońce dobrze ci zrobi i możesz wprawić się w strzelaniu z nowej broni, próbując jej na żółwiach czy na czymkolwiek innym, co się tam porusza. Możesz potraktować to jak krótkie wakacje. Zadowolony?

Daje mi to po mojej ostatniej wpadce - pomyślał Bond. Uważa, że go zawiodłem. Nie ufa mi już w sprawach poważnych. Chce mnie sprawdzić. Dobrze, niech sprawdza!

- Wygląda to raczej na relaksową propozycję, sir. Ostatnio relaksu miałem nawet trochę zbyt wiele. Ale jeśli sprawa musi zostać załatwiona... Jeśli pan tak uważa, sir...

- Tak - powiedział M. - Tak właśnie uważam.

ROZDZIAŁ 3

WAKACYJNA MISJA

Ściemniało się. Niebo na zewnątrz zaciągnęło się chmurami. M sięgnął ręką do stojącej na biurku lampy z zielonym abażurem. Żółty krąg światła zalał środek pokoju, połyskując na kwistoczerwonym skórzanym blacie biurka.

M przyciągnął do siebie pokazną stertę dokumentów, którą Bond dopiero teraz zauważył. Do czego zmierza Strangways? Kto to jest Trueblood?

M nacisnął przycisk na biurku. - Chcę włączyć do tej sprawy szefa personelu - powiedział. - Znam jej zarys, ale on może dostarczyć szczegółów. Obawiam się, że to raczej nudna historyjka.

Do pokoju wszedł szef personelu. Był pułkownikiem saperów, w wieku Bonda, ale nie kończąca się harówka i ciężar odpowiedzialności przyprószyły mu skronie przedwczesną siwizną. Przed nerwowym załamaniem uchroniły go tylko tężyzna fizyczna i poczucie humoru. Był najlepszym przyjacielem Bonda w centrali. Uśmiechnęli się do siebie.

- Proszę siadać. Przekazałem 007 sprawę Strangwaysa. Zanim wyślę tam nowego rezydenta, chcę, żeby uprzątnął ten bałagan. Do tej chwili 007 będzie szefem placówki. Powinien wyjechać w ciągu tygodnia. Proszę to załatwić z Departamentem Kolonii i

gubernatorem, dobrze? Możemy teraz przejść do sprawy. - Odwrócił się do Bonda. - Chyba znasz Strangwaysa, 007? Wiem, że współpracowałeś z nim pięć lat temu podczas tej afery skarbowej. Co o nim sądzisz?

- Fajny gość. Trochę nerwowy. Ale teraz powinien być już nieco rozluźniony. Pięć lat w tropikach to kawał czasu.

M zignorował komentarz. - A numer dwa w placówce, ta dziewczyna Trueblood, Mary Trueblood. Spotkałeś ją kiedyś?

- Nie, sir.

- Ma dobry przebieg służby. Była oficerem w W.R.N.S, a potem przeszła do nas. W tajnych aktach nic na nią nie mamy. Sądząc z fotografii ładna kobieta. To prawdopodobnie tłumaczy wszystko. Nie uważasz, że Strangways był trochę kobieciarzem?

- Można by tak powiedzieć - ostrożnie przyznał Bond, nie chcąc obciążać eleganckiego przystojniaka. - Ale co się z nim stało, sir?

- Tego właśnie chcemy się dowiedzieć - powiedział M. - Nie ma ich, zniknęli jak kamfora. Wyjechali tego samego wieczoru, trzy tygodnie temu. Pozostawili po sobie doszczętnie spalony bungalow Strangwaysa: radio, książki kodowe, akta. Wszystko z wyjątkiem kilku zwęglonych kawałków papieru. Dziewczyna zostawiła swoje rzeczy w nienaruszonym stanie. Musiała wyjechać, tak jak stała. Nawet jej paszport został w pokoju. Ale dla Strangwaysa to nie problem, mógł wystawić im nowe: miał ich pod dostatkiem in blanco. Odpowiadał za kontrolę paszportową na wyspie. Mogł odlecieć gdziekolwiek: na Florydę, do Ameryki Południowej lub na inną wyspę w jego rejonie. Policja wciąż sprawdza listę pasażerów. Na razie nic nie wykryto, ale mogli przycząć się na dzień lub dwa, a dopiero potem zwać. Dziewczyna mogła przefarbować włosy i tak dalej. W tej części świata służby bezpieczeństwa na lotnisku nie prezentują się najlepiej. Czyż nie tak, pułkowniku?

- Tak, sir - powiedział z powątpiewaniem w głosie zapytany.

- Ale wciąż nie rozumiem ostatniego seansu łączności. - Zwrócił się do Bonda. - Właśnie nawiązali rutynową łączność o osiemnastej trzydziści, według czasu Jamajki. Ktoś - kontrola łączności radiowej twierdzi, że to dziewczyna - potwierdził nasze WWW i nagle wyłączył się. Chcieliśmy ponownie nawiązać łączność, ale po drugiej stronie działo się najwyraźniej coś podejrzanego i rozłączyliśmy się. Na "czerwone" i "niebieskie" wezwanie nie było odpowiedzi. Tak to wyglądało. Następnego dnia sekcja III wysłała tam z Waszyngtonu agenta 258. Do tego czasu dochodzenie przejęła policja, a gubernator zaczął wyciszać sprawę. Dla niego wszystko było jasne. Strang-waysowi zdarzały się tam niekiedy kłopoty z kobietami. Nawet go rozumiem. To spokojna placówka. Nie ma tam wiele do roboty. Gubernator dość pochopnie wyrobił sobie pogląd na sprawę. A w ślad za nim miejscowa policja. Znają się tylko na seksie i walce na maczety. 258 podczas tygodniowego pobytu nie znalazł żadnych dowodów podważających oficjalną wersję. Zgodnie z tym wysłał raport i kazaliśmy mu wrócić do Waszyngtonu. Potem policja prowadziła śledztwo raczej bez efektów i do niczego nie doszła. - Szef przerwał i przeprasząco spojrział na M. - Wiem, że skłania się pan ku wersji gubernatora, sir, ale nie daje mi spokoju ta łączność radiowa. To nie pasuje mi do schematu uciekającej pary kochanków. Przyjaciele Strangwaysa z klubu twierdzą, że zachowywał się jak co dzień. Wszedł w środku robra; zawsze tak robił, kiedy zbliżała się godzina nawiązania łączności, oznajmiając, że wraca za dwadzieścia minut. Postawił partnerom kolejkę, też tak jak zawsze, i dokładnie o osiemnastej piętnaście opuścił klub, ściśle według schematu. A potem rozpląnął się w powietrzu. Nawet samochód zostawił przed klubem. Teraz: jeżeli miał zamiar zwać z dziewczyną, to dlaczego zrobił to podczas brydża, wiedząc, że pozostali gracze będą na niego czekać? Dlaczego nie uciekł

rano lub jeszcze lepiej późno w nocy, po seansie łączności radiowej i uporządkowaniu swoich spraw? To się nie trzyma kupy.

M chrząknął z rezerwą. - Ludzie... hmm... zakochani popełniają głupstwa - powiedział opryskliwie. - Niekiedy zachowują się jak szaleni. A zresztą czy mamy inne wyjaśnienie? Absolutnie żadnych śladów nieczystej gry: nie ma motywu. To spokojna placówka.

Każdego miesiąca ta sama procedura: od czasu do czasu jakiś komunista z Kuby usiłuje dostać się na wyspy, oszust z Anglii, który sądzi, że z powodu oddalenia Jamajki od Londynu może się tu schronić. Nie sądzę, żeby przez te parę lat, kiedy był tam ostatnio 007, Strangways prowadził jakąś większą sprawę. - Zwrócił się do Bonda.

- Jaki jest twój pogląd, po tym, co usłyszałeś? Niewiele mamy już do dodania.

- Nie mogę po prostu uwierzyć, by Strangways tak stracił głowę - powiedział pewnym głosem Bond. - Miewał romase, nie przeczę, ale nie uważam go za człowieka, który miesza interesy z przyjemnościami. Poświęcił całe swoje życie służbie i nigdy by jej nie opuścił. Jestem w stanie sobie wyobrazić, że zwalnia się ze służby, a po przybyciu następców wyjeżdża razem z dziewczyną. Ale nie uwierzę, że mógłby zostawić nas tak na lodzie. Z tego, co usłyszałem o dziewczynie, w takim samym stopniu odnosi się to i do niej. Oficerowie W.R.N.S nie dostają pomieszania zmysłów.

- Dziękuję, 007 - powiedział opanowanym głosem M. - Też to wziąłem pod uwagę. Nie wyciągamy pochopnych wniosków, zanim rozważymy wszystkie możliwości. Może ty masz w zanadrzu inne rozwiązanie.

M odchylił się na krześle i czekał. Sięgnął po fajkę i zaczął ją nabijać. Ta sprawa nudziła go. Nie lubił rozwiązywania personalnych problemów, a już na pewno nie tak powikłanych. Świat roi się od innych wydarzeń i trzeba było się z nimi uporać.

Przydzielił Bondowi to prościutkie zadanie, żeby agent mógł dobrze wypocząć podczas rozwiązywania sprawy na Jamajce. Włożył cybuch fajki do ust i sięgnął po zapalki. - No i co?

Bond nie miał zamiaru dać się zbić z tropu. Lubił Strangwaysa i był pod wrażeniem argumentów szefa personelu.

- No cóż, sir. Na przykład interesuje mnie to, nad jaką sprawą ostatnio pracował Strangways? Czy przesłał jakiś raport albo czy sekcja III zleciła mu jakieś zadanie? Cokolwiek w ciągu ostatnich kilku miesięcy?

- Nic - zdecydowanie powiedział M i wyciągnąwszy fajkę z ust wycelował ją w szefa personelu. - Mam rację?

- Tak, sir - odpowiedział zapytany. - Z wyjątkiem tej cholernej afery z ptakami.

- A, to - lekceważąco powiedział M. - Jakaś bzdura z zoo lub coś w tym stylu. Tę robotę zepchnął na nas Departament Kolonii. To było jakieś sześć tygodni temu, prawda?

- Tak, sir. Ale nie chodziło o zoo, lecz o pewną amerykańską organizację, Towarzystwo Ornitologiczne Audubona, którego celem jest ochrona rzadkich gatunków ptaków przed wyginięciem lub coś takiego. Ci ludzie dostali się do naszego ambasadora w Waszyngtonie. Ministerstwo Spraw Zagranicznych odesłało ich do Departamentu Kolonii, a ci zepchnęli sprawę na nas. Wygląda na to, że wiele mogą w Ameryce. Spowodowali nawet, przesunięcie rejonu eksplozji atomowych na zachodnie wybrzeże, ponieważ przeszkadzały w zakładaniu gniazd ptaków.

M zachnął się. - Chodziło o jakiegoś cholernego amerykańskiego żurawia! Czytałem o tym w gazetach.

- Może mi pan o tym opowie? - nalegał Bond. - Czego chcieli od nas ludzie z Towarzystwa Audubona?

M niecierpliwie machnął fajką. Wziął do ręki akta Strangwaysa i popchnął je w stronę szefa personelu. - Ty mu powiedz - rzekł zmęczonym głosem. - Tam jest wszystko.

Szef personelu wziął akta i zaczął je kartkować. Znalazł stronę, której szukał. Podczas gdy zapoznawał się z trzema kartkami maszynopisu, oznaczonego, jak zauważył Bond, biało-niebieskim symbolem Departamentu Kolonii, w pokoju panowała cisza. Bond siedział w bezruchu, starając się nie zwracać uwagi na narastające zniecierpliwienie M, które promieniowało z drugiej strony biurka.

Szef personelu z kłaśnięciem zamknął akta. - Przesłaliśmy tę sprawę Strangwaysowi dwudziestego stycznia. - Potwierdził odbiór, ale potem nie przekazał żadnych informacji. - Szef personelu usiadł wygodnie w krześle i spojrzał na Bonda. - Chodzi tu o ptaka o nazwie warzęcha różowa. Mam tu jego kolorową fotografię. Wygląda jak różowy bocian z ohydny płaskim dziobem, którego używa do wyszukiwania pożywienia w błocie. Nie tak dawno temu ptaki te były już prawie na wymarciu. Tuż przed wojną na świecie żyło ich tylko kilka setek, głównie na Florydzie i jej okolicach. Wtedy ktoś odkrył, że ich kolonia gnieździ się na wyspie Crab Key, leżącej pomiędzy Jamajką a Kubą. To terytorium brytyjskie podlegające Jamajce. Niegdyś wydobywano tam guano, ale jego jakość była zbyt niska, by opłacała się eksploatacja. Kiedy dokonano odkrycia kolonii ptaków, wyspa była nie zamieszkała od pięćdziesięciu lat. Ludzie z Towarzystwa Audubona przyjechali na wyspę i w rezultacie wydzierżawili jakiś zakątek na rezerwat dla warzęch. Pozostawili na wyspie dwóch strażników i przekonali towarzystwa lotnicze, by zaprzętały lotów nad wyspą, bo to przeszkadza ptakom. Kolonia ptaków rozkwitła i według ostatnich obliczeń, było ich około pięciu tysięcy. Potem wybuchła wojna. Ceny guana poszły w górę i jakiś sprytny facet wpadł na pomysł, żeby kupić wyspę i wznowić wydobywanie. Przeprowadził rozmowy z rządem Jamajki i nabył ją za dziesięć tysięcy funtów. W umowie zawarto klauzulę zabraniającą zakłócania spokoju rezerwatu. To działo się w 1943 roku. Facet sprowadził na wyspę dużo taniej siły roboczej i wkrótce wydobywanie zaczęło przynosić dochód. Tak było do niedawna, a teraz kiedy ceny na guano spadły, właściciel z trudem pewnie wiąże koniec z końcem.

- Kim jest ten człowiek?

- Chińczyk, a właściwie w połowie Chińczyk, a w połowie Niemiec. Nazywa się doktor No. Doktor Julius No.

- No? Pisane jak "Tak"?

- Właśnie.

- Co o nim wiemy?

- Niewiele, poza tym, że to odludek. Od chwili podpisania umowy z rządem Jamajki nikt go nie widział. Z wyspą nie ma połączenia. Jest jego własnością i nie życzy sobie przybyszów. Powiada, że to przeszkadza ptakom produkującym guano. Brzmi to rozsądnie. Nic się nie działo, aż do momentu kiedy tuż przed Bożym Narodzeniem do północnego wybrzeża Jamajki dopłynęło canoe z jednym ze strażników wynajętych przez Towarzystwo Audubona. To był mieszkaniec Barbadosu, dobry, solidny facet. Doznał okropnych poparzeń i po kilku dniach zmarł. Przed śmiercią opowiedział zwiariowaną historię o zięjącym ogniem smoku, który napadł na ich obóz. Smok zabił jego towarzysza, spalił obozowisko i z rykiem wjechawszy do rezerwatu miotał ogień na ptaki, rozpędzając je na wszystkie strony. Mimo ciężkich oparzeń facet uciekł na wybrzeże, ukradł canoe i po całonocnym wiosłowaniu dopłynął na Jamajkę. Biedak, najwyraźniej zwiariował. Na tym sprawa się zakończyła. Przekazano jeszcze tylko rutynowy raport do Towarzystwa Audubona. Raport ich nie usatysfakcjonował i wysłali dwie grube ryby z Towarzystwa beechcraftem z Miami, żeby na miejscu zbadać sprawę. Na wyspie jest polowe lotnisko, z którego dla zapewnienia dostaw korzysta grumman - wodolot tego Chińczyka...

M przerwał cierpko. - Wszyscy ci ludzie mają chyba za dużo pieniędzy, żeby je wyrzucać na te przeklęte ptaki.

Bond i szef personelu wymienili uśmiechy. M od lat już próbował wydębić od skarbu państwa awionetkę by wyposażyć stację na Karaibach.

- Beechcraft rozbił się podczas lądowania - ciągnął szef personelu - obaj ludzie z Towarzystwa Audubona zginęli. To doprowadziło Towarzystwo do furii. Pociągnęli za sznurki i doktorowi No złożył wizytę niszczyciel ze szkolnej eskadry floty Stanów Zjednoczonych. Tak wpływowi są ci ludzie. Wygląda na to, że mają niezłe lobby w Waszyngtonie. Kapitan niszczyciela doniósł, że został bardzo uprzejmie przyjęty przez doktora No, ale nie dopuszczono go w rejon wydobycia guano. Pokazano mu lotnisko polowe, gdzie zbadał szczątki samolotu. Beechcraft poszedł w drzazgi, ale kapitan nie zauważył niczego podejrzanego. Prawdopodobnie podszedł zbyt szybko do lądowania. Ciała dwóch ludzi z Towarzystwa i pilota poddano z całym szacunkiem zabiegom konserwującym i w eleganckich trumnach przekazano z całą pompą na pokład niszczyciela. Kapitan był pod wrażeniem kurtuazji doktora No. Kiedy wyraził życzenie obejrzenia obozu strażników, pokazano mu zgliszcza. Doktor No twierdził, że strażnicy doznali pomieszania zmysłów z powodu upału i samotności, a przynajmniej przytrafiło się to jednemu z nich, temu co podpalił obóz, w którym spłonął jego kolega. Po zobaczeniu tych przez Boga i ludzi zapomnianych bagien, wśród których strażnicy spędzili przynajmniej dziesięć lat, wersja doktora No zaczęła go przekonywać. Nie pozostało już nic do oglądania i kapitan został uprzejmie odprowadzony na pokład niszczyciela, który zaraz odbił od brzegu.

- Szef personelu rozłożył ręce. - To byłoby wszystko. Poza jednym: kapitan wspomniał w raporcie, że dostrzegł tylko małe stadko warzęch różowych. Towarzystwo Audubona najbardziej wyprowadziły z równowagi szkody wśród ptaków. Od tej pory zadręczają nas ciągle o przeprowadzenie śledztwa w tej sprawie. Oczywiście ani w Departamencie Kolonii, ani na Jamajce nikt się do tego nie palił. I w końcu cała ta bajeczka wylądowała na naszych barkach.

- Szef personelu energicznie wzruszył ramionami. - No i w ten sposób ten plik papierów, a przynajmniej lwia jego część, spadła na Strangwaysa.

M spojrzał ponuro na Bonda. - Rozumiesz, co mam na myśli, 007? To coś w rodzaju mrzonki, którą zajmują się stowarzyszenia starszych pań. W pewnym momencie ludzie zaczynają o coś dbać: o kościoły, stare domy, niszczące obrazy, zawsze z tego powodu powstaje zamieszanie. Sęk w tym, że ci ludzie naprawdę chodzą wokół tych spraw. Wciągają w to polityków. I zawsze mają sterty pieniędzy. Jeden Bóg wie skąd. Myślę, że od innych starszych pań. I przychodzi taki moment, w którym ktoś chce, żeby już był z tym spokój. Tak jak w tym przypadku. Ten kłopot zwalili na mnie, bo chodzi o terytorium brytyjskie. Ale i o prywatną własność. Nikt nie ma zamiaru oficjalnie wkraczać. I co ja niby mam zrobić? Wysłać tam łódź podwodną? Po co? Żeby się dowiedzieć, co przytrafiło się stadku różowych bocianów - prychnął M. - Chciałeś się dowiedzieć, czym ostatnio zajmował się Strangways, to już wiesz. - M wojowniczo pochylił się do przodu. - Jakież pytania? Mam przed sobą pracowity dzień.

Bond nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Te pojawiające się czasami wybuchy gniewu M były wprost urocze. Nic go tak nie wyprowadzało z równowagi jak próba zmarnowania czasu, energii i szczupłych funduszy Secret Service. Bond podniósł się. Chciałbym wziąć te akta - powiedział uspokajająco. - W tej sprawie zastanawia fakt, że z powodu tych ptaków, pośrednio lub bezpośrednio, zginęły cztery osoby. A może jeszcze dwie: Strangways i Trueblood. Przyznaję, że brzmi to absurdalnie, ale nie mamy innego punktu zaczepienia.

- Weź już te papiery, weź - niecierpliwie powiedział M.

- Pośpiesz się i nie przeciągaj swoich wakacji. Może tego nie zauważyłeś, ale resztę świata ogarnął niezły bałagan.

Bond wziął akta. To samo chciał zrobić z beretką i kaburą.

- Nie - warknął M. - Zostaw to. A następnym razem, kiedy cię zobaczę, masz mieć opanowane te dwa nowe rodzaje broni.

Bond spojrział w oczy M. Po raz pierwszy w życiu nienawidził tego człowieka. Doskonale wiedział, dlaczego M zachowuje się tak szorstko i podle. To opóźniona kara za to, że podczas ostatniego zadania niemal dał się zabić. Do tego dołączał się fakt, że opuszcza podły klimat, by plawić się w słońcu. M nie znosił wyczynku swoich ludzi. Bond był pewny, że zlecił mu tę łatwą misję, żeby go upokorzyć. Stary skurwiel.

- Będę o tym pamiętał, sir - powiedział kipiąc gniewem Bond. Odwrócił się i wyszedł z pokoju.

ROZDZIAŁ 4

KOMITET POWITALNY

Sześćdziesiąt osiem ton masy spoczynkowej super constellation z hukiem przeleciało ponad zielono-brązową szachownicą Kuby i mając do celu tylko sto pięćdziesiąt kilometrów, rozpoczęło obniżanie pułapu, kierując się na Jamajkę.

Bond przyglądał się wyspie na horyzoncie, przypominającej skorupę żółwia. Morze pod spodem zmieniło kolor z granatowego nad Rowem Kubańskim, na błękit i biel w okolicach przybrzeżnych mielizn. Lecieli ponad oblepionym hotelami dla milionerów północnym wybrzeżem i wysokim łańcuchem górskim. Na stokach w przesiekach dżungli ukazywały się, niczym szachownica niewielkie półka uprawne. Zachodzące słońce połyskiwało złościście, odbijając się od błyszczących gąsienic bystrych rzek i strumieni. "Xaymaca" - tak ten rejon nazywali Indianie Arawak - "krajna wzgórz i rzek". Bond napawał się pięknem jednej z najżyźniejszych wysp na świecie. Po drugiej stronie gór zalegał ciemnofioletowy cień. U podnóża gór pojawiły się światelka. Ulice Kingston migotały od nich, ale po drugiej stronie zatoki i na lotnisku jeszcze świeciło słońce, w którego blasku bezsilnie mrugała latarnia Port Royal. Constellation opadała w szerokim skręcie wychodzącym poza zatokę. Lekki wstrząs oznajmił, że wysunęło się trzykołowe podwozie i że golenie zaskoczyły. Z przenikliwym jękiem hydraulików z krawędzi spływu wysunęły się kłapy. Wielki samolot zawrócił w stronę lądu i przez moment kabinę zalewało złote słońce. Constellation zeszła poniżej poziomu Blue Mountains i obniżając lot podchodziła do pasa północ-południe. Mignęła pod spodem droga i druty telefoniczne. A potem pod brzuchem samolotu pojawił się betonowy pas oznaczony czarnymi smugami po kołach. Z lekkim podwójnym wstrząsem samolot idealnie wylądował. Rozległ się ryk, kiedy śmigła zmieniły kąt ustawienia. Samolot zaczął kołować w stronę białych zabudowań lotniska.

Lepkie palce upału musnęły twarz Bonda, kiedy wyszedł z samolotu i kierował się w stronę odprawy paszportowej i sanitarnej. Wiedział, że zanim upora się z formalnościami, będzie mokry od potu. Nie przejmował się tym. Po przenikliwym chłodzie Londynu aksamitna duchota upału nie sprawiała mu przykrości.

W paszporcie Bonda, w rubryce zawód widniało: "importer i eksporter"

- Jaka spółka?

- Uniwersal Export.

- Przyjechał pan w interesach czy na wypoczynek, sir?

- Na wypoczynek.

- Mam nadzieję, że będzie się pan dobrze bawił, sir. - Czarnoskóry oficer imigracyjny obojętnie podał paszport Bondowi.

- Dziękuję.

Bond przeszedł do sali odpraw celnych. Po drugiej stronie barierki od razu zobaczył wysokiego smagłego mężczyznę. Miał na sobie tę samą wypłowiałą koszulę i prawdopodobnie te same spodnie khaki, które nosił pięć lat temu, kiedy Bond spotkał go po raz pierwszy.

- Quarrel!

Wyspiarz z Kajmanów posłał mu zza barierki szeroki uśmiech. W starym karaibskim salucie podniósł dłoń na wysokość oczu. Co u pana słyhać, szefie?

- Wszystko w porządku - odpowiedział Bond. - Poczekaj, zaraz odprawia mi bagaż. Masz samochód?

- Jasne szefie.

Celnik, który tak jak większość bywalców znał Quarrela, postawił kredą znak na torbie Bonda, nawet nie zaglądając do środka. Bond wziął ją do ręki i przeszedł na drugą stronę barierki. Quarrel przejął od niego bagaż i wyciągnął do Bonda dłoń. 007 uściśnął ciepłe zrogowaciałe łapsko i zajrzał w ciemnoszare oczy - spadek po jakimś cromwellowskim żołnierzu lub piracie z czasów Morgana. - Nic się nie zmieniłeś - powiedział wzruszony. - Jak idą połowy zółwi?

- Nie najgorzej, szefie, ale i nie najlepiej. Tak jak zawsze. - Spojrzał krytycznie na Bonda. - Chorował pan czy co?

Bonda ogarnęło zdumienie. - Właściwie to tak. Ale już od tygodni jestem zdrow. Jak się domyśliłeś?

Quarrel zmieszał się. - Przepraszam, szefie - powiedział myśląc, że obraził Bonda. - Od naszego ostatniego spotkania ból wyżłobił panu więcej zmarszczek.

- Rozumiem. To nie było nic poważnego. Ale przy odrobinie twojego treningu mógłbym poprawić kondycję. Nie jestem w takiej formie, w jakiej chciałbym być.

- Jasne, szefie.

Kierowali się do wyjścia, gdy nagle ostro trzasnęła migawka i błysnął flesz. Ładna Chinka w jamajskim stroju odejmowała od oczu swój aparat speed graphic. Podeszła do nich i powiedziała ze sztucznym uśmiechem: - Dziękuję panom. Jestem z "Daily Gleaner" - zerknęła na trzymaną w rękę listę. - Pan Bond, prawda? Na jak długo zostanie pan u nas, panie Bond?

Pytanie zaskoczyło Bonda. Początek nie był najlepszy. - Jestem przejazdem - powiedział zwięźle. - Myślę, że wśród pasażerów znajdzie pani bardziej interesujące osoby.

- Nie. Na pewno nie, panie Bond. Wygląda pan na osobistość. W jakim hotelu pan się zatrzyma?

Cholera jasna, pomyślał Bond. - "Myrtle Bank" - powiedział i ruszył do przodu.

- Dziękuję panu - powiedziała dźwięcznym głosikiem dziewczyna. - Mam nadzieję, że będzie się panu u nas...

Znaleźli się na zewnątrz. - Czy widziałeś wcześniej tę dziewczynę na lotnisku? - zapytał Bond, kiedy szli w stronę parkingu.

Quarrel zastanowił się. - Chyba nie, szefie. Ale dla "Gleanera" pracuje wiele fotoreporterów.

Bond poczuł nieokreślony niepokój. Nie istniał żaden powód na świecie, żeby interesowała się nim prasa. Od jego ostatniej przygody na wyspie minęło pięć lat, a poza tym jego nazwisko nie pojawiło się w gazetach.

Podeszli do samochodu - czarnego sunbeama alpine. Bond przyjrzał mu się uważnie, a potem zerknął na tablicę rejestracyjną. Samochód Strangwaysa. Co u diabła? - Skąd wzięłeś ten samochód?

- Sekretarz powiedział, żebym go wziął, bo to jedyne wolne auto. Dlaczego pan pyta? Coś z nim nie w porządku?

- Nie, Quarrel. Wszystko w porządku - powiedział Bond z rezygnacją. - Jedźmy już. Bond zajął miejsce pasażera. Za wszystko sam ponosi winę. Było do przewidzenia, że przypadnie mu właśnie ten samochód. Teraz spoczęła na nim uwaga wszystkich ewentualnych zainteresowanych jego osobą i tym, co ma do zrobienia na Jamajce. Jechali obramowaną kaktusami drogą prowadzącą w stronę odległych światel Kingston. W zwykłych okolicznościach rozkoszowałby się pięknem tego świata: monotonnym cykaniem koników polnych, powiewami powietrza pełnego zapachów, gwiaździstym nieboskłonem, naszyjnikami różowych światel migocących po drugiej stronie zatoki, ale teraz przeklinał się w duchu za brak ostrożności, zdając sobie sprawę z popełnionych błędów. Błędem było wysłanie wiadomości przez Departament Kolonii do gubernatora. W depeszy poprosił, by sekretarz ściągnął Quarrela z Kajmanów na nieokreślony czas, z pensją dziesięciu funtów tygodniowo. Quarrel towarzyszył mu podczas ostatniej przygody na Jamajce. Mając wszystkie żeglarskie zalety wyspiarza z Kajmanów, był nieocenionym pomocnikiem i zarazem przepustką do niższych warstw kolorowej społeczności. Bez niego Bond nie miałby tam wstępu. Wszyscy kochali Quarrela - wspaniałego kompana. Bond zdawał sobie sprawę z tego, jak ważny jest jego udział w rozwikłaniu sprawy Strangwaysa - o ile to był sprawa, a nie skandal. Następnie Bond poprosił o zarezerwowanie pojedynczego pokoju z łazienką w hotelu "Blue Hills", wypożyczenia samochodu i o to, by Quarrel przyjechał po niego na lotnisko. Większość z tych posunięć była nie przemyślana. Dokładnie rzecz biorąc, Bond powinien pojechać do hotelu taksówką, a dopiero potem skontaktować się z Quarrelem. Wtedy zobaczyłby samochód i miałby możliwość jego zamiany.

Teraz jednak, pomyślał Bond, równie dobrze mógłbym ogłosić swoje przybycie i jego cel w "Gleanerze". Westchnął. Najgorsze pomyłki zdarzają się na początku zadania - są nie do naprawienia. Takie błędy ustawiają od razu na przegranej pozycji, a przeciwnik zdobywa pierwszego gema. Ale czy przeciwnik istnieje? Może jest zbyt ostrożny? Kierowany impulsem, Bond obejrzał się za siebie. Sto metrów w tyle dostrzegł dwa przygaszone światła pozycyjne. Większość Jawajczyków używała światel mijania. Bond odwrócił wzrok.

- Posłuchaj, Quarrel. Na końcu Palisadoes, tam gdzie droga rozdziela się na Kingston i Morant, skręć szybko na Morant, od razu się zatrzymaj i wyłącz światła. Rozumiesz? A teraz pędź jak diabli.

- Jasne, szefie - radośnie powiedział Quarrel i przycisnął pedał gazu do podłogi. Mały samochód wydał z siebie głęboki pomruk i mknąc białą drogą oderwał się od jadącego za nim pojazdu.

Znaleźli się na końcu prostego odcinka drogi. Na wysokości zatoki, która w tym miejscu wgryzała się w ląd, samochód poślizgiem wszedł w zakręt. Do skrzyżowania pozostało pięćset metrów. Bond obejrzał się. Ani śladu tamtego auta. Pojawił się drogowskaz przed skrzyżowaniem. Quarrel niczym rajdowiec zredukował bieg i gwałtownie wprowadził samochód w ciasny skręt, zjechał na pobocze i zgasił światła. Bond odwrócił się do tyłu i czekał. Od razu usłyszał ryk pędzącego wielkiego samochodu. Lśniące długie światła szukały ich w ciemnościach. Samochód przemknął obok i popędził w stronę Kingston. Bond zdołał dostrzec wielką amerykańską taksówkę. W środku nie było nikogo oprócz kierowcy. Samochód zniknął w ciemnościach.

Kurz powoli opadał. Siedzieli przez dziesięć minut w milczeniu. Potem Bond polecił Quarrelowi zawrócić i pojechać do Kingston.

- Myślę, że ten człowiek z taksówki interesuje się nami. Nikt nie robi kursu z lotniska na pusto. Za taki kawał drogi trzeba dobrze zapłacić. Teraz uważaj. Może się zorientować, że go nabraliśmy, i czekać na nas.

- Jasna sprawa, szefie - powiedział szczęśliwy Quarrel. Właśnie na takie życie miał nadzieję, kiedy otrzymał wiadomość od Bonda.

Wtopili się w strumień ruchu ulicznego Kingston - gąszcz autobusów, samochodów osobowych, ciągniętych przez konie wozów, obładowanych koszami osiołków z gór, ręcznych dwukółek z bajecznie kolorowymi napojami. W tym tłoku nie można było sprawdzić, czy ktoś ich śledzi. Skręcili w prawo i pod górę. Za nimi jechało wiele samochodów. Każdy z nich mógł być amerykańską taksówką. Przez kwadrans jechali w górę do Halfway Tree, a potem do Junction Road - głównej drogi prowadzącej przez wyspę. Wkrótce pojawił się neon w kształcie zielonej palmy i napis pod spodem: "Hotel Blue Hills". Wjechali na podjazd okolony elegancko przyciętymi zaroślami dzikiego wina.

Sto metrów dalej kierowca czarnej taksówki kiwnięciem dłoni zatrzymał jadące za nim samochody i zjechał na lewą stronę, by łamiąc przepisy drogowe zawrócić do Kingston. "Blue Hills" był wygodnym staromodnym hotelem z nowoczesnym wyposażeniem. Personel przywitał Bonda z szacunkiem, ponieważ rezerwacji dokonano z King's House. Po chwili był już w narożnym pokoju z balkonem wychodzącym na odległą zatokę Kingston. Z ulgą zdjął mokre od potu londyńskie ubranie i wszedł pod prysznic do kabiny ze szklanymi drzwiami. Włączył na maksimum strumień zimnej wody i stał pod nim pięć minut, które poświęcił na zmycie z włosów ostatnich śladów brudu wielkiego miasta. Potem włożył szorty z bawełny pochodzącej z Sea Island i odczuwając namacalną przyjemność kontaktu ciała z ciepłym łagodnym powietrzem, rozpakował swoje rzeczy i zadzwonił po kelnera.

Zamówił podwójny джин z tonikiem i cały limon. Kiedy kelner przyniósł drinka, przeciął owoc na pół, wrzucił zgniecione połówki do szklanki koktajlowej, wypełnionej niemal po brzegi kostkami lodu, i dołał toniku. Potem ze szklanką w ręce usiadł na balkonie i podziwiał wspaniały widok. Doszedł do wniosku, że rozkosznie jest być z daleka od centrali, Londynu, szpitali, tu i teraz, robiąc to, co robi, i mając świadomość - o czym przekonywały go wszystkie zmysły - że ma do czynienia z poważnym, trudnym zadaniem.

Siedział wygodnie przez chwilę, pozwalając dżinowi rozluźnić napięte ciało. Zamówił jeszcze jednego drinka i wypił do dna. Było piętnaście po siódmej. Quarrel miał podjechać o wpół do ósmej, żeby razem z nim zjeść kolację. Na prośbę Bonda Quarrel sam miał dokonać wyboru lokalu. Po chwili zmieszania Quarrel powiedział, że kiedy ma ochotę zabawić się w Kingston, wybiera się do "Wesołego Statku" - nocnego lokalu w portowej dzielnicy.

- To żadna pierwsza klasa, szefie - powiedział przepraszająco. - Ale jedzenie, drinki i muzyka są w porządku i mam tam dobrego kumpla. Do niego należy lokal. Faceta nazywają "Hośmiornica", bo kiedyś walczył z wielką hośmiornicą.

Bond uśmiechnął się słysząc jak Quarrel, podobnie jak większość mieszkańców Karaibów, dodaje głoskę "h", tam gdzie nie potrzeba, i nie wymawia jej tam, gdzie była konieczna. Wrócił do pokoju i włożył granatowy garnitur z tropiku, białą bawełnianą koszulę bez rękawów i czarny krawat z włóczki. Stojąc przed lustrem sprawdził, czy walther nie wystaje mu spod pachy, zszedł na dół i wszedł do samochodu.

Zjechali powoli w dół do Kingston w łagodnym, pełnym śpiewnych głosów zmierzchu. Skręcili w lewo drogą biegnącą wzdłuż zatoki. Minęli kilka eleganckich restauracji i nocnych klubów, rozbrzmiewających pulsującym, brzękliwym rytmem calypso.

Pojawiła się dzielnica domków, przechodząca w skupisko sklepów dla uboższej ludności granicząc ze slamsami. W miejscu, gdzie droga zaczęła oddalać się od morza, widniał błyszczący złoty neon w kształcie hiszpańskiego galeonu ponad zielonym napisem: "Wesoły Statek". Zatrzymali się na parkingu i Quarrel wprowadził Bonda do małego

ogrodu z trawnikiem, na którym rosły drzewa palmowe. Ogród kończył się na morskiej plaży. Stoliki były ustawione pod palmami. Na środku widniał betonowy pusty krąg taneczny, obok którego trio muzyków calypso, w obszytych cekinami szkarłatnych koszulach, łagodnie improwizowało na temat "Zabierz ją na Jamajkę, skąd pochodzi rum".

Tylko połowa stolików była zajęta, w większości przez kolorowych. Gdzieś siedzieli angielscy i amerykańscy marynarze ze swoimi dziewczynami. Od jednego ze stolików odszedł niesamowicie gruby Murzyn i zbliżył się do nowych gości.

- Cześć, panie Q. Dawno cię nie widziałem. Miły stoliczek dla dwóch?

- Racja, Hościornico. I żeby było bliżej do kuchni niż do orkiestry.

Wielki mężczyzna zachichotał, poprowadził ich w stronę morza i posadził przy ustronnym stoliku pod palmą rosnącą obok restauracji.

Bond zamówił dżin z tonikiem i limoną, a Quarrel piwo. Przestudiowali menu i zdecydowali się na piezzonego homara, a następnie na krwisty befsztyk z tutejszymi warzywami.

Podano drinki w zroszonych szklankach. Ten drobny szczegół przypomniał Bondowi o jego innych pobytach w tropikalnym klimacie. Kilka metrów dalej fale z sykiem wczolgiwały się na zbity piasek plaży. Trio zaczęło grać Kitch. Liście palm nad ich głowami uderzały o siebie, poruszane przez nocną bryzę. Gdzieś w głębi ogrodu zachichotała jaszczurka. Bond uświadomił sobie, że jeszcze wczoraj był w Londynie.

- Podoba mi się tutaj - powiedział.

- Hościornica to mój dobry kumpel - powiedział zadowolony Quarrel. - Wie o wszystkim, co dzieje się w Kingston, na wypadek gdyby miał pan jakieś pytania.

Pochodzi z Kajmanów. Mielśmy kiedyś do spółki kuter rybacki. Pewnego dnia wybrał się na Crab Key, po jaja gap. Popłynął na rafy, żeby wybrać ich więcej, i ta wielka hościornicą dorwała go. W tych wodach żyją raczej małe sztuki, ale obok Crab, tam gdzie jest najbardziej głęboka woda, w rejonie na obrzeżu Rowu Kubańskiego pojawiają się większe. Hościornica przeżył ciężkie chwile z tym zwierzakiem. Zanim się wyrwał, załatwiła mu jedno płuco. Po tym wszystkim bał się już pływać, sprzedał mi swój udział w łodzi i przyjechał do Kingston. To się działo tuż przed wojną. Teraz jest bogaczem, a ja wciąż łowię. - Quarrel roześmiał się na ten figiel losu.

- Crab Key - powiedział Bond. - Co to za miejsce?

Quarrel spojrzał na niego ostrym wzrokiem. - To pechowe miejsce, szefie - powiedział krótko. - Pewien Chińczyk kupił je podczas wojny i sprowadził ludzi, żeby wydobywać ptasie nieczystości. Nie pozwala tam nikomu przyplwać ani odpływać. Omijamy tę wyspę z daleka.

- Dlaczego?

- Ma tam kupę strażników. I broń, karabiny maszynowe. Radar. I samolot zwiadowczy. Moi kumple kiedyś tam popłynęli i nikt już ich nie widział. Ten Chińczyk cholernie dba o to, żeby nikt mu się tam nie kręcił. Tak mówiąc prawdę, szefie - powiedział wstydliwie Quarrel - boję się Crab Key jak cholera.

- Proszę, proszę - powiedział w zamyśleniu Bond.

Podano kolację. Zamówili jeszcze jedną kolejkę i zabrali się do jedzenia. Podczas posiłku Bond naszkicował Quarrelowi zarys sprawy Strangwaysa. Quarrel słuchał uważnie, od czasu do czasu zadając pytania. Zainteresowały go zwłaszcza ptaki na Crab Key, historia opowiedziana przez strażnika z rezerwatu i katastrofa samolotu. W końcu odsunął od siebie talerz. Wierzchem dłoni otarł usta, wyjął papierosa, zapalił i pochylił się nad stołem.

- Szefie - powiedział cicho. - To nie ma znaczenia, czy chodziło o ptaki, motyle, czy pszczoły. Jeżeli żyją na Crab Key i komandor wpakował w to swój nos, to może się pan

założyć o ostatniego dolara, że już po nim. Po nim i po jego dziewczynie. Chińczyk załatwił go jak amen w pacierzu.

Bond uważnie spojrzał w natarczywe szare oczy. - Skąd ta pewność?

Quarrel rozłożył ręce. Dla niego było proste. - Ten Chińczyk nie lubi intruzów. Kocha samotność. Wiem, że zabił moich kumpli, żeby ludzie trzymali się z daleka od Crab. To potężny człowiek. Zabije każdego, kto stanie mu na drodze.

- Dlaczego?

- Nie wiem dokładnie, szefie - powiedział obojętnie Quarrel. - Na tym świecie ludzie mają różne pragnienia. A jeżeli mają jakieś pragnienia, to je realizują.

Bond kątem oka dostrzegł blask światła. Szybko się odwrócił. W cieniu obok stała Chinka z lotniska. Miała na sobie obcisłą suknię z czarnej satyny, rozciętą z boku, niemal do wysokości biodra. W rękę trzymała leicę z doczepionym fleszem. Drugą dłonią wyjmowała ze skórzanej torebki żarówkę do lampy błyskowej. Włożyła oprawkę żarówki do ust, żeby wilgoć poprawiła przewodnictwo, i wkręciła ją w reflektor flesza.

- Łap ją - pośpiesznie powiedział Bond.

Dwoma susami Quarrel był już przy dziewczynie. Wyciągnął do niej dłoń. - Dobry wieczór, panienko - powiedział łagodnie.

Dziewczyna uśmiechnęła się, opuściła leicę umocowaną na cienkim pasku zawieszonym na szyi i podała dłoń Quarrelowi. Ten okręcił się wokół niej niczym tancerz z baletu i dłoń dziewczyny znalazła się za jej plecami, a ona sama w uchwycie zgiętego ramienia mężczyzny.

Spojrzała na niego z gniewem. - Przestań. To boli.

Quarrel uśmiechnął się patrząc na błyszczące ciemne oczy w twarzy przypominającej kształtem migdał. Kapitan chciałby się z nami napić drinka - powiedział uspokajającym tonem i doprowadził dziewczynę do stolika. Przyciągnął sobie stopą krzesło i zmusił dziewczynę, by usiadła obok niego, nie zwalniając uchwytu dłoni trzymającej nadgarstek za jej plecami. Siedzieli sztywno wyprostowani, niczym para skłóconych kochanków.

Bond przyjrzał się ładnej, zagniewanej twarzyczce. - Dobry wieczór. Co tu robisz? Dlaczego chcesz mi zrobić jeszcze jedno zdjęcie?

- Robię reportaże z nocnych lokali - powiedziała z przekonaniem, wyginając usta o wykroju przypominającym łuk Kupidyna. - Pierwsze zdjęcie, które panu zrobiłam, nie wyszło. Niech pan każe temu człowiekowi mnie puścić.

- A więc pracujesz dla "Gleanera"? Jak się nazywasz?

- Nie powiem.

Bond spojrzał na Quarrela i znacząco podniósł brew.

Wyspiarz z Kajmanów zmrużył oczy. Jego ręka za plecami dziewczyny rozpoczęła powolny skręt. Dziewczyna wyla się jak piskorz, z zębami zaciśniętymi na dolnej wardze, Quarrel nie przestawał wykręcać jej ramienia.

- Auu - jęknęła i sapnęła: - Powiem. - Quarrel zwolnił uchwyt. Dziewczyna spojrzała wściekle na Bonda. - Annabel Chung.

- Zawołaj Hośmiornicę - polecił Bond Quarrelowi.

Wolną ręką Quarrel wziął widelec i zadzwonił o szklankę. Wielki Murzyn pośpieszył do stolika.

Bond spojrzał na niego. - Widziałeś kiedyś tę dziewczynę?

- Tak, szefie. Czasem tu przychodzi. Przeszkadza wam? Mam ją wyprowadzić?

- Nie. Lubimy ją - uprzejmie odpowiedział Bond. - Chce mi zrobić portret w studiu, a nie wiem, czy się oplaca. Mógłbyś zadzwonić do "Gleanera" i zapytać, czy mają tam fotoreporterkę o nazwisku Annabel Chung? Jeżeli tam pracuje, powinna się znać na robocie.

- Już się robi, szefie. - Murzyn odszedł w pośpiechu.

Bond uśmiechnął się do dziewczyny. - Dlaczego nie poprosiłaś tego człowieka o pomoc?
Chung spojrzała na niego spod oka.

- Przykro mi, że muszę wywierać nacisk - ciągnął Bond - ale mój szef sekcji eksportowej w Londynie powiedział mi, że w Kingston roi się od podejrzanych typów. Jestem pewny, że nie ciebie miał na myśli, ale naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego tak koniecznie potrzebne jest ci moje zdjęcie. Powiedz dlaczego.

- Już powiedziałam - ponuro odpowiedziała dziewczyna. - To moja praca.

Bond zaczął ją wypytywać. Odmawiała odpowiedzi.

Pojawił się Hościornica. - Zgadza się. Annabel Chung. Wolny strzelec. Powiedzieli, że robi dobre zdjęcia. Będzie pan z niej zadowolony. - Obdarował Bonda pobłażliwym spojrzeniem. Portret w studiu! Raczej już w łóżku.

- Dzięki powiedział Bond. Murzyn odszedł. Bond zwrócił się do dziewczyny. - Wolny strzelec - powiedział miękko. - To w dalszym ciągu nie tłumaczy, dlaczego chciałaś moje zdjęcie. - Jego twarz przybrała surowy wyraz. - Gadaj!

- Nie - posępnie odpowiedziała dziewczyna.

- W porządku, Quarrel. Możesz kontynuować. - Bond odchylił się do tyłu. Instynkt podpowiadał mu, że zadał pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów. Jeżeli udałoby mu się wydobyć odpowiedź od dziewczyny, oszczędziłby sobie tygodni pracy.

Prawe ramię Quarrela zaczęło opuszczać się w dół. Dziewczyna rzuciła się w jego stronę, żeby zwolnić uchwyt, ale odepchnął ją wolną dłonią. Głowa Chinki z wysiłkiem odwróciła się do Quarrela. Nagle splunęła mu w oczy. Quarrel wykrzywił się w uśmiechu i wykręcił jej ramię jeszcze mocniej. Stopy dziewczyny zaczęły dziko kopać pod stołem. Z sykiem powiedziała kilka słów po chińsku. Pot zaperlił się na jej czole.

- Powiedz - łagodnie zwrócił się do niej Bond. - Wystarczy, że powiesz, a ból zniknie.

Zostaniemy przyjaciółmi i napijemy się razem. - Zaczął się niepokoić. W każdej chwili Quarrel mógł złamać jej rękę.

- Odwal się. - Nagle lewa dłoń dziewczyny poszybowała w stronę twarzy Quarrela. Bond nie zdążył jej zatrzymać. Coś błysnęło i rozległ się ostry trzask. Bond chwycił ramię dziewczyny i odciągnął je do tyłu. Po policzku Quarrela spływała krew. Na stole połyskiwały odłamki szkła i metalu. Dziewczyna rozbila żarówkę o twarz Quarrela, Jeżeli trafiłaby w oko, mógłby stracić wzrok.

Quarrel podniósł wolną dłoń do policzka. Petem przesunął ją przed oczy i spojrzał na krew. - Aha! - W jego głosie był tylko zachwyt i rozkosz kocura. - Nic nie wydobydziemy z tej dziewczyny, szefie - powiedział spokojnie. - To twarda sztuka. Mam jej złamać ramię?

- Na Boga, nie. - Bond zwolnił uchwyt. - Puść ją. - Był zły na siebie, że zadał ból dziewczynie i nic nie osiągnął. Ale czegoś jednak się dowiedział. Ktokolwiek był jej szefem, trzymał swoich ludzi żelazną ręką.

Quarrel wysunął ramię dziewczyny z za jej pleców, lecz nie zwolnił uchwytu.

Rozprostował jej dłoń i spojrzał na Chinkę. W oczach rozbłysło mu okrucieństwo. - Oznaczyłaś mnie, panienko. Teraz ja zrobię to samo z tobą. - Kciukiem i palcem wskazującym chwycił ją za wżgórek Wenus - miękki romboidalny mięsień dłoni, poniżej kciuka. Zaczął zaciskać palce. Bond widział jak pobielaly mu kostki dłoni. Dziewczyna zaskowyczała. Zaczęła bić go po ręce, a potem po twarzy. Quarrel tylko roześmiał się, wzmagając uścisk, i nagle puścił jej dłoń, Dziewczyna zerwała się na równe nogi i odskoczyła od stolika trzymając posiniaczoną dłoń przy ustach. Opuściła rękę i syknęła wściekle: - Już on was dopadnie skurwysyny. - Potem z dyndającą na pasku leicą uciekła między drzewa.

Quarrel roześmiał się krótko, wziął serwetkę, wytarł policzek, wyrzucił ją na ziemię i sięgnął po drugą. - Wzgórek Wenus będzie ją bolał jeszcze długo po tym, jak zagoi się moja twarz. Jest to ciekawe miejsce u kobiety, a jeżeli tak pulchne jak u tej dziewczyny, to pewnie, że jest dobra w łóżku. Wiedział pan o tym, szefie?

- Nie odparł Bond. - To dla mnie nowość.

- To pewna sprawa. Z tej części dłoni można wszystko wyczytać. A o nią niech się pan nie martwi - dodał widząc mieszane uczucia, malujące się na twarzy Bonda. - Nic jej nie będzie. Ma tylko wielkiego siniaka. Bracie, jaki to był pulchniutki wzgórek! Muszę jeszcze spotkać się z tą dziewczyną, żeby się przekonać, czy moja teoria jest prawdziwa. Orkiestra zaczęła grać Nie dotykaj mnie, pomidorze.

- Wiesz co, Quarrel, już najwyższy czas, żebyś się ożenił i ustatkował. Lepiej zostaw tę dziewczynę w spokoju, bo dostaniesz nożem między zębra. A teraz płacimy i zabieramy się stąd. W Londynie, gdzie byłem jeszcze wczoraj, jest teraz trzecia nad ranem. Muszę się położyć. A ty jutro zaczniesz ze mną trening. Sądzę, że będę go potrzebował. I pora, żebyś przykleił sobie plaster na policzku. Dziewczyna wypisała ci na nim swoje nazwisko i adres.

Quarrel zamruczał na wspomnienie Chinki.

- To było twarde dziewczę - powiedział z łagodnym zadowoleniem. Wziął do ręki widelec i zadzwonił nim o szklankę.

ROZDZIAŁ 5 FAKTY I LICZBY

- On was dopadnie... on was dopadnie... on was dopadnie, skurwysyny.

Słowa te jeszcze nazajutrz dźwięczały Bondowi w głowie, gdy siedział na balkonie, zajadając pyszne śniadanie i podziwiając bujność ogrodów, ciągnących się aż do Kingston, położonego o ponad siedem kilometrów niżej niż hotel.

Nabrał już pewności, że Strangways i dziewczyna zostali zabici. Ktoś, kto koniecznie chciał zapobiec temu, by dalej wniknęli w jego spawy, zabił tych dwoje niszcząc zarazem notatki, zawierające wyniki ich badań. Człowiek ten wiedział też albo podejrzewał, że Secret Service zacznie dociekać, czemu Strangways zniknął. Ów tajemniczy ktoś odkrył, że właśnie Bondowi zlecono to zadanie. Potrzebne mu było zdjęcie Bonda oraz informacja o tym, gdzie agent przebywa. Nieznajomy na pewno nie spuści Bonda z oka, bo będzie chciał się upewnić, czy ten natrafi na którąś z poszlak, mogących wyjaśnić zagadkę śmierci Strangwaysa. Gdyby tak się stało, Bond także musiałby zostać usunięty. Padłby ofiarą wypadku samochodowego lub bójki ulicznej, albo zginąłby inną śmiercią, sprawiającą równie niewinne wrażenie. Bond zastanawiał się, co tamten powie na to, w jaki sposób on i Quarrel obeszlą się z małą Chung. Taki sygnał powinien mu wystarczyć, o ile Bond nie przecenia jego bezwzględności. Postępek taki dowodzi bowiem, że Bond coś zwał. Może Strangways przed śmiercią wysłał do Londynu wstępny raport. Może ktoś się wygadał. Przeciwnik byłby głupcem, gdyby ryzykował. Jeśli ma głowę na karku, po tym, co spotkało małą Chung, niezwłocznie rozprawi się z Bondem, a może także z Quarrelem.

Zapalił pierwszego porannego papierosa (był to zarazem jego pierwszy papieros royal blend od pięciu lat) i z rozkosznym sykiem wypuścił dym między zębami. Nazywało się to "uznanie dla wroga". A kim był wróg?

No cóż: istniał tylko jeden kandydat, a i to niezbyt rzeczywisty: doktor No, doktor Julius No, syn Niemca i Chinki, właściciel wyspy Crab Key, który dorobił się majątku dzięki pokładowi guano. W archiwum nie było żadnych materiałów, dotyczących tego osobnika, a sygnał przesłany do FBI również nie dał żadnych wyników. Afera z

różowymi warzęczami, oraz kłopoty, które sprawiało Towarzystwo Audubona, też nie miały najmniejszego znaczenia - tyle, że jak powiedział M mnóstwo staruszek okropnie się podnieciło z powodu jakichś tam różowych bocianów. A jednak przez te bociany cztery osoby poniosły śmierć. Z punktu widzenia Bonda najbardziej znamienne było to, że Quarrel boi się doktora No i jego wyspy. Rzecz doprawdy niezwykła. Wyspiarze z Kajmanów, a zwłaszcza Quarrel, nie tak łatwo dawali się nastraszyć. A gdzie doktor No nabawił się tej manii, która każe mu za wszelką cenę strzec swego odosobnienia? Czemu zadaje sobie tyle trudu, czemu ponosi aż takie wydatki, byle nikogo nie dopuścić na swą wyspę, obfitującą w guano? Guano, czyli ptasie łajno. Komu to świństwo potrzebne? Ile ono może być warte? O dziesiątej Bond miał się stawić u gubernatora. Kiedy już mu się pokaże, dopadnie sekretarza kolonii, żeby dowiedzieć się jak najwięcej o tym paskudztwie i o wyspie Crab Key, a w miarę możliwości także o doktorze No.

Dwukrotnie zastukano do drzwi. Bond wstał i otworzył je z klucza. Za drzwiami stał Quarrel. Jego policzek zdobił iście piracki krzyż, wykonany z plastra opatrunkowego.

- Dzień dobry, szefie. Kazał pan przyjść o wpół do dziewiątej.

- Tak jest. Wejdz, Quarrel. Czeka nas ruchliwy dzień. Jesteś po śniadaniu?

- Tak, dziękuję, szefie. Solona ryba, kasza z ziaren aki i kropla rumu.

- Wielki Boże - powiedział Bond. - Ostro zacząłeś od rana.

- Rum bardzo człowieka orzeźwia - niewzruszenie odparł Quarrel. Usiedli na balkonie.

Bond poczęstował Quarrela papierosem i sam też zapalił.

- No więc - powiedział. - Prawie cały dzień spędzę w King's House, a może wstąpię także do Instytutu Jamajskiego. Nie jesteś mi potrzebny aż do jutra rana, ale będziesz miał parę spraw do załatwienia na mieście. W porządku?

- Jasne, szefie. Jak pan każe.

- Po pierwsze, nasz samochód już podpadł. Musimy się go pozbyć. Idź do Motta albo do jakiejś innej firmy, która wynajmuje samochody, i wybierz najnowsze, najlepsze małe auto, z jak najmniejszym przebiegiem. Mają się w nim mieścić co najmniej cztery osoby. Wynajmij je na miesiąc. Rozumiesz? Potem przejdź się po nabrzeżu i znajdź dwóch facetów, w miarę możliwości przypominających wyglądem ciebie i mnie. Jeden z nich musi umieć prowadzić wóz. Kup im ubrania podobne do naszych, żeby przynajmniej od pasa w górę nie różnili się zbyt od nas. I takie kapelusze, jakie my nosimy. Powiedz im, że jutro rano mają odprowadzić samochód do Montego, trasą przez Spanish Town i Ocho Rios, i zostawić w garażu Levy'ego. Zadzwoń do niego i uprzedź, żeby się nie zdziwił. Niech przechowa dla nas ten wóz. Jasne?

Quarrel uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Chce pan kogoś wyprowadzić w pole?

- Zgadza się. Dostaną po dziesięć funtów na głowę. Przedstaw mnie jako bogatego Amerykanina, który życzy sobie, by dwaj przyzwoicie prezentujący się faceci odprowadzili jego auto do Montego Bay. Niech myślą, że jestem trochę zwariowany. Mają się tu stawić jutro o szóstej rano. Ty też tu przyjedziesz, tym wynajętym samochodem. Dopilnuj, żeby wyglądali mniej więcej tak jak my, i wyślij ich sunbeamem. Dach ma być spuszczone. Jasne?

- W porządku, szefie.

- Co się dzieje z naszym dawnym domem na północnym wybrzeżu, w Beau Desert nad Zatoką Morgana? Nie wiesz, czy jest wynajęty?

- Naprawdę nie umiem powiedzieć, szefie. Stoi daleko od miejsc, które lubią turyści, a właściciel wiele żąda.

- No to idź do firmy Graham Associates i spróbuj wynająć go na miesiąc, a jak się nie uda, to jakiś inny bungalow w tamtej okolicy. Niech kosztuje, ile chce. Powiedz, że to dla bogatego Amerykanina, dla pana Jamesa. Weź klucze, zapłać z góry, i powiedz, że ja

sam potwierdzą listownie. Jeśli zechcą poznać więcej szczegółów, mogę do nich zadzwonić. - Sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyjął gruby plik banknotów. Połowę wręczył Quarrelowi. - Masz tu dwieście funtów. Powinno wystarczyć. Daj znać, gdybyś potrzebował więcej. Wiesz, gdzie mnie szukać.

- Dziękuję, szefie - powiedział Quarrel, którego na widok ogromnej sumy ogarnął nabożny lęk. Wetknął pieniądze za pazuchę niebieskiej koszuli i zapiął się pod samą szyję.

- Coś jeszcze?

- To już wszystko, ale musisz bardzo uważać, czy nikt cię nie śledzi. Zostaw samochód gdzieś na mieście i chodź wszędzie piechotą. A szczególnie wystrzegaj się Chińczyków, gdyby się koło ciebie kręcili. - Bond wstał. Podeszli do drzwi. - Zobaczymy się jutro rano kwadrans po szóstej. Pojedziemy na północne wybrzeże. Zdaje się, że przez jakiś czas tam będzie nasza baza.

Quarrel skinął głową. Na jego twarzy malował się zagadkowy wyraz.

- Tak jest, szefie - powiedział, po czym odszedł korytarzem.

W pół godziny później Bond zszedł na dół i pojechał taksówką do King's House. Nie wpisał się do księgi gubernatora, wyłożonej w chłodnym hallu. Przetrzymano go kwadrans w poczekalni, żeby zrozumiał, że nie jest nikim ważnym. Następnie pojawił się sekretarz, który zaprowadził go do gabinetu gubernatora na pierwszym piętrze.

Był to duży, chłodny pokój, przesiąknięty wonią cygar. Urzędnik pełniący obowiązki gubernatora, ubrany w kremowy garnitur z szantungu, nie pasującą do garnituru koszulę ze stojącym kołnierzykiem i muszką w grochy, siedział za wielkim, mahoniowym biurkiem, na którym nie było nic prócz egzemplarzy pism "Daily Gleaner" i "Times Weekly" oraz wazy z kwiatami róży chińskiej. Dłonie położył płasko na blacie. Mógł mieć około sześćdziesiątki. Jego czerwone oblicze zdradzało wybuchowy temperament. Z bystrych, niebieskich oczu wзираła gorycz. Na widok Bonda nie uśmiechnął się ani nie wstał.

- Dzień dobry, panie... hmmm, Bond - powiedział. - Proszę, niech pan siada.

Bond usiadł na krześle po przeciwnej stronie biurka.

- Dzień dobry, ekscelencjo - rzekł, po czym zamilkł, czekając na dalszy rozwój wydarzeń. Przyjaciel z Biura Kolonialnego uprzedził go, że zostanie przyjęty oziębło.

- Gubernator dobiega wieku emerytalnego - powiedział przyjaciel.

- Tę posadę objął tylko tymczasowo. Po awansie sir Hugh'a Foota musieliśmy natychmiast znaleźć kogoś, kto pełniłby obowiązki gubernatora. Foot świetnie sobie radził. Ten nawet nie próbuje mu dorównać. Wie, że będzie piastował to stanowisko jedynie przez parę miesięcy, póki nie znajdziemy kogoś na miejsce Foota. Został pominięty przy obsadzaniu urzędu gubernatora generalnego Rodezji. Teraz chce już tylko przejść na emeryturę i dostać posadę dyrektora w którymś z urzędów miejskich Londynu. Zamieszanie na Jamajce to ostatnia rzecz, jaka mu się marzy. Próbuje więc ukręcić kark tej pańskiej sprawie Strangwaysa. Nie chce, żeby pan dalej myszkował. Gubernator odchrząknął. Wyczuł, że Bond nie należy do służalców.

- Chciał się pan ze mną widzieć? - spytał.

- Tylko po to, żeby się panu przedstawić - odparł Bond spokojnie.

- Prowadzę sprawę Strangwaysa. Zdaje się, że sekretarz stanu zawiadomił pana o tym. - W ten sposób Bond dał gubernatorowi do zrozumienia, że ma potężnych mocodawców. Nie lubił, kiedy próbowano miażdżyć jego samego albo całą Secret Service.

- Coś takiego sobie przypominam. W czym mogę być pomocny? Z punktu widzenia naszego urzędu sprawa została zamknięta.

- W jakim sensie "zamknięta", ekscelencjo?

- Nie ulega wątpliwości, że Strangways przepisał się z tą dziewczyną - szorstko oświadczył gubernator. - Nawet w swoich najlepszych okresach bywał niezrównoważony. Niektórzy z pańskich... hmm, kolegów najwidoczniej nie umieją trzymać się z dala od kobiet. - Gubernator dał tym samym niedwuznacznie do zrozumienia, że to, co powiedział, dotyczy także Bonda. - Już nieraz musieliśmy tuszować rozmaite skandale, w które się wplątywał. Naszej kolonii nie wychodzi to na dobre, panie... hmm, Bond. Mam nadzieję, że pańscy mocodawcy przyślą na miejsce Strangwaysa kogoś bardziej odpowiedniego. O ile - dodał oziębło - inspektor regionalny w ogóle jest tu potrzebny. Jeśli o mnie idzie, w pełni ufam naszej policji.

Bond uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Poinformuję zwierzchników, jakie są pańskie poglądy - powiedział. - Spodziewam się, że mój szef zechce je omówić z ministrem obrony i z sekretarzem stanu. Oczywiście jeśli zechciałby pan wziąć na siebie te dodatkowe obowiązki, oszczędziłoby to pracy mojemu wydziałowi. Nie wątpię, że tutejsza policja świetnie sobie radzi.

Gubernator przyjrzał mu się podejrzliwie. Uznał, że może warto trochę ostrożniej obchodzić się z tym człowiekiem.

- Rozmawiamy nieoficjalnie, panie Bond - powiedział. - Kiedy ostatecznie zdecyduję, jakie są moje poglądy, sam o nich powiadomię sekretarza stanu. Tymczasem spytam, czy chciałby pan rozmawiać z kimś spośród mojego personelu?

- Chętnie zamieniłbym parę słów z sekretarzem kolonii.

- Doprawdy? A czemuż to?

- Na wyspie Crab Key nie wszystko jest w porządku. Sprawa ma coś wspólnego z rezerwatem ptaków, a przekazało nam ją Biuro Kolonialne. Mój szef kazał mi się nią zająć, skoro już jestem na miejscu.

Gubernator odetchnął z ulgą.

- Oczywiście, oczywiście. Dopilnuję, żeby Pleydell-Smith natychmiast pena przyjął. Więc pańskim zdaniem możemy pozwolić, żeby sprawę Strangwaysa zostawić własnemu biegowi? Proszę się nie niepokoić, zaraz ktoś tu przyjdzie. - Zadzwoił. Wszedł sekretarz. - Ten pan chciałby się widzieć z sekretarzem kolonii. Proszę go zaprowadzić. Sam zadzwonię i poproszę, żeby Pleydell-Smith znalazł chwilę czasu. - Wstał i podszedł do Bonda, omijając biurko. - A więc do zobaczenia, panie Bond. Ogromnie się cieszę, że tak świetnie się rozumiemy. Crab Key, powiada pan? Nigdy tam nie byłem, ale jestem pewien, że trud podróży opłaciliby się sownie.

Bond uściśnął dłoń gubernatorowi.

- To właśnie miałem na myśli. Do widzenia, ekscelencjo.

- Do widzenia, do widzenia. - Dygnitarz obserwował plecy Bonda, który wychodził już za próg. Po chwili wrócił za biurko. Minę miał zadowoloną.

- Taki młokos, a już podskakuje - rzekł, zwracając się do czterech ścian. Usiadł i kategorycznym tonem powiedział przez telefon kilka słów do sekretarza kolonii.

Następnie sięgnął po "Times Weekly" i zaczął czytać notowania giełdowe.

Sekretarz kolonii był człowiekiem dość młodym. Włosy miał w nieładzie, oczy żywe, chłopięce. Należał do tych nerwowych fajczarzy, którzy nieustannie klepią się po kieszeniach, szukając zapalek, potem potrząsają pudełkiem, żeby sprawdzić, ile ich w nim zostało, albo wystukują popiół z fajki. W ciągu pierwszych dziesięciu minut spędzonych w towarzystwie Bonda sekretarz kilkakrotnie odprawił cały opisany rytuał, aż Bond jął się zastanawiać, czyjego rozmówca kiedykolwiek miewa okazję zaciągnąć się dymem.

Potrząsnąwszy energicznie ręką Bonda i niewyraźnym gestem wskazał mu krzesło, Pleydell-Smith zaczął spacerować po pokoju, drapiąc się w skroń cybuchem.

- Bond. Bond. Bond! Skąd ja znam to nazwisko. Chwileczkę. Tak, oczywiście! Cztery, może pięć lat temu. Właśnie przed paroma dniami znalazłem akta tamtej sprawy. Walaly się byle gdzie. Wspaniale się pan wtedy spisał. A to ci numer! Naprawdę życzylbym sobie, żeby pan jeszcze kiedy rozpałił tu i taki ogieniek. Wszystko by się trochę ożywiło. Oni tu ostatnio myślą tylko o federacji i o tym, jacy są niby cholernie ważni. Samostanowienie, dobre sobie! Nawet komunikacji autobusowej nie umieją porządnie zorganizować. No a problem rasowy! Przyjacielu, między Jamajczykami o prostych włosach a tymi, którym włosy się kręca, istnieje znacznie ostrzejszy konflikt rasowy niż między mną a moim czarnym kucharzem. Ale... - Pleydell-Smith spoczął wreszcie za biurkiem. Usiadł naprzeciw Bonda, przewiesiwszy nogę przez poręcz fotela. Sięgnąwszy po pudełko na tytoń, ozdobione herbem King's College z Cambridge, jął nabijać fajkę. - Nie chciałbym pana zanudzać tymi sprawami. Lepiej niech pan mnie zanudza. Jaki ma pan problem? Chętnie przyjdę z pomocą. Na pewno okaże się to znacznie ciekawsze niż te bzdury - machnąwszy ręką wskazał stos papierów, leżących na tacy ze świeżą korespondencją.

Bond uśmiechnął się do rozmówcy. Ten podobał mu się o wiele bardziej niż poprzedni. Okazało się więc, że w końcu znalazł sprzymierzeńca, i to w dodatku inteligentnego.

- No cóż - rzekł z powagą. - Prowadzę sprawę Strangwaysa. Ale przede wszystkim chciałbym zadać panu pytanie, które może zabrzmieć dość dziwnie. Jak właściwie doszło do tego, że zobaczył pan akta mojej starej sprawy? Powiedział pan, że walaly się byle gdzie. Jak do tego doszło? Czy ktoś zażądał, żeby wydano mu je z archiwum? Nie chciałbym popełnić niedyskrecji, więc proszę nie odpowiadać, jeśli nie ma pan ochoty. Jestem po prostu dociekliwy.

Pleydell-Smith spojrział na niego spod oka.

- Dociekliwość należy chyba do pańskich umiejętności zawodowych - rzekł z zadumą, patrząc w sufit. - Teraz sobie przypominam, że znalazłem tę teczkę na biurku mojej sekretarki. To nowa pracowniczka. Wyjaśniła, że chciała zorientować się w dawniejszych sprawach. Podkreślałam - sekretarz kolonii starał się czym prędzej usprawiedliwić postępek dziewczyny. - Podkreślałam, że na jej biurku leżało mnóstwo innych teczek. Po prostu ta akurat zwróciła moją uwagę.

- Ach, rozumiem. Więc tak do tego doszło. - Bond uśmiechnął się przepaszająco. - Zechce pan wybaczyć, ale wygląda na to, że rozmaite osoby dosyć się interesują moim pobytem na Jamajce. Właściwie chciałem z panem porozmawiać o wyspie Crab Key. Proszę mi powiedzieć wszystko, co panu o niej wiadomo, i o tym Chińczyku, doktorze No, który ją kupił. I o handlu guanem. Obawiam się, że to nieco wygórowane żądania, ale przyda mi się każdy strzęp informacji.

Pleydell-Smith parsknął śmiechem, nadal ściskając fajkę w zębach. Nagłym ruchem wyjął cybuch z ust i zaczął mówić, równocześnie ugniatając pudełkiem zapalnik żarzący się tytoń.

- Już mi to guano nosem wychodzi - powiedział. - Mógłbym panu o nim opowiadać godzinami. Zaczęło się to jeszcze w konsulacie, zanim przeniosłem się do Biura Kolonialnego. Najpierw dostałem posadę w Peru. Miewałem tam często do czynienia z osobami, które administrują tym całym handlem. Firma nazywa się Compania Administradora del Guano. Mili ludzie.

- Fajka wreszcie się zapaliła. Pleydell-Smith rzucił zapalnik na biurko. - A co do reszty informacji, wystarczy po prostu ściągnąć tu akta. - Zadzwoił. Po chwili za plecami Bonda otworzyły się drzwi. - Panno Taro, proszę teczkę Crab Key. Interesują mnie papiery dotyczące sprzedaży wyspy, a także akta tego strażnika z rezerwatu, który pojawił się przed Bożym Narodzeniem. Panna Longfellow wie, gdzie leżą.

- Tak jest - odpowiedział cichy głos. Bond usłyszał, że drzwi się zamykają.

- Wracając do sprawy guano - Pleydell-Smith przechylił się do tyłu wraz z fotelem. Bond przygotował się wewnętrznie na to, że czeka go chwila nudy. - Jak pan wie, guano to ptasie łajno. Wydalają je tylnym końcem dwa gatunki ptaków: głuptak i kormoran peruwiański. Guano z Crab Key pochodzi wyłącznie od kormoranów, znanych także jako kormorany zielone. Są takie same jak te, które występują w Anglii. Kormoran to istna maszyna do przerobu ryb na guano. Główny pokarm tych ptaków to anchois. Żeby panu uzmysłwić, ile kormoran potrafi zjeść, powiem, że w jednym żołądku można znaleźć nawet i siedemdziesiąt okazów tych rybek! Wyjął fajkę z ust i teatralnym gestem wymierzył ją w Bond'a. - Cała ludność Peru zjada cztery tysiące ton ryb rocznie, natomiast tamtejsze ptaki morskie pożerają aż pięćset tysięcy ton!

Bond zesznurował usta, żeby pokazać, jak wielkie zrobiło to na nim wrażenie.

- Coś takiego - powiedział.

- Otóż - ciągnął sekretarz kolonii. - Każdy kormoran, a są ich setki tysięcy, codziennie zjada około pół kilograma ryb i wydalą odrobinę kału, który zostaje na guanerze - tak bowiem nazywa się wyspa, gdzie znajdują się pokłady guano.

- Czemu kormorany nie robią tego w wodzie? - przerwał Bond.

- A wie pan, że nie wiem - Pleydell-Smith zaczął zastanawiać się nad usłyszanym pytaniem. - Nigdy nie przyszło mi to na myśl. W każdym razie nie robią tego w wodzie tylko na lądzie, i to od początku świata. W ten sposób powstały diabelnie wielkie pokłady ptasiego łajna - całe miliony ton, leżące na wyspach Pescadores i innych guanerach. Około roku 1850 ktoś odkrył, że jest to najlepszy nawóz naturalny na świecie - pełno w nim azotu, fosforu i czego pan tylko chce. Przez dwadzieścia lat albo i więcej statki przyływały do każdej guanery i łupily ile weszło. O tej epoce mówi się "saturnalia". Coś jakby Klondike. Ludzie walczyli między sobą o to paskudztwo, porywali sobie nawzajem statki, zabijali robotników, handlowali fałszywymi mapami niby to ukrytych guaner - działy się niewyobrażalne rzeczy, i to w ten sposób powstały fortuny.

- A co ma do tego Crab Key? - spytał Bond.

- Tutaj na północy była to jedyna guanera, która w ogóle nadawała się do eksploatacji. No i eksploatował ją Bóg wie kto. Ale tamtejszy nawóz zawierał mało związków azotu. Woda wokół Crab Key ma uboższy skład niż na południu wzdłuż Prądu Humboldta, więc i ryby zawierają mniej związków chemicznych, a zatem guano jest uboższe. Ilekroć cena dostatecznie podskakiwała, co jakiś czas wznawiano wydobywanie na Crab Key, ale kiedy Niemcy wynaleźli nawozy sztuczne, cały handel załamał się, a najbardziej ucierpiały złoża niskiej jakości, jak te na wyspie doktora No. Rząd Peru zorientował się tymczasem, że roztrwonił fortunę, zaczął więc zbierać do kupy resztki tego przemysłu i zabezpieczać guanery. Pokłady guano zostały upaństwowione, ptaki objęto ochroną, i w ten sposób zasoby zaczęły się odnawiać, ale szło to bardzo, bardzo wolno. Z czasem ludzie przekonali się, że niemiecki wynalazek też ma swoje wady, bo na przykład zuboża glebę, której guano w żaden sposób nie szkodzi, więc cena stopniowo wzrosła i przemysł jakoś dźwignął się z upadku. Teraz wszystko idzie jak najlepiej, tyle że Peru prawie całe wydobywanie zatrzymuje dla siebie, dla własnego rolnictwa. I w ten sposób wracamy do Crab Key.

- Aha.

- Tak - powiedział Pleydell-Smith. Poklepał się po kieszeniach, szukając zapalek, znalazł je na biurku, potrząsnął pudełkiem przy uchu i rozpoczął rytuał nabijania fajki. - Na początku wojny ten Chińczyk - nawiasem mówiąc, musi to być diabelny cwaniak - wpadł na pomysł, że ze starej guanery na Crab Key możnaby jeszcze wyciągnąć jakąś korzyść. Po tej stronie Atlantyku cena wynosiła około pięćdziesięciu dolarów za tonę. Chińczyk kupił od nas wyspę za jakieś dziesięć tysięcy funtów, o ile sobie przypominam: ściągnął

robotników i zaczął wydobyć. Nie przerwał go do tej pory. Musiał już chyba zrobić fortunę. Wysłał transporty bezpośrednio do Europy, ściślej mówiąc - do Antwerpii. Raz na miesiąc przyływa stamtąd statek. Zainstalował najnowocześniejsze kruszarki i separatory. Przypuszczam, że z robotników wyciska siódme poty. Nie ma innego wyjścia, jeżeli chce osiągnąć przyzwoity zysk. Zwłaszcza teraz. Podobno w zeszłym roku w Antwerpii płacono mu tylko trzydzieści osiem do czterdziestu dolarów za tonę. Bóg jeden wie, ile Chińczyk płaci robotnikom, żeby przy takiej cenie wyjść na swoje. Zrobił z wyspy prawie fortecę - coś jakby obóz przymusowej pracy. Nikt jeszcze się stamtąd nie wydostał. Krążą rozmaite dziwne pogłoski, ale jak dotąd nie było skarg. Oczywiście wyspa stanowi jego własność, więc wolno mu na niej robić wszystko, na co ma ochotę. Bond szukał jakiejś poszlaki.

- Czy naprawdę tak ważna jest dla niego ta wyspa? - spytał. - Jak pan sądzi, ile może być warta?

- Kormoran peruwiański to najcenniejszy ptak na świecie. Każda para daje rocznie guana za mniej więcej dwa dolary, a właściciel nie musi przy tym ponosić żadnych dodatkowych kosztów. Samica składa przeciętnie trzy jaja i wychowuje dwoje młodych. Powtarza się to dwa razy do roku. Załóżmy, że para kormoranów warta jest piętnaście dolarów i że na Crab Key przebywa sto tysięcy tych ptaków. W świetle starych danych, którymi dysponujemy, przypuszczalnie to wydaje się w miarę rozsądne. A więc ptaki te są w sumie warte półtora miliona dolarów. Niezły majątek. Dodajmy do tego cenę zainstalowanych urządzeń - powiedzmy, jeszcze jeden milion. W sumie daje to niczego sobie fortunę, ulokowaną w ohydnej wysepce. A skoro już o tym mowa - Pleydell-Smith nacisnął guzik dzwonka. - Co się dzieje z tymi aktami do cholery? Znajdzie pan w nich wszelkie bzdurne informacje, jakie mogą być panu potrzebne.

Za plecami Bonda znów otworzyły się drzwi.

- Doprawdy, panno Taro - rzekł Pleydell-Smith poirytowanym tonem. - Gdzie są te akta?

- Strasznie mi przykro - powiedział miękki głos. - Nigdzie nie możemy ich znaleźć.

- Jak to, nie możecie ich znaleźć? Kto miał je ostatnio w rękę?

- Komandor Strangways.

- Pamiętam doskonale, że sam odniósł je do mojego pokoju. Co się z nimi potem działo?

- Naprawdę nie umiem panu powiedzieć. - Głos dziewczyny brzmiał zupełnie beznamytnie. - Teczka leży na miejscu, ale jest pusta.

Bond obejrzał się, nie wstając z krzesła. Raz tylko zerknął na dziewczynę i zwrócił się z powrotem z stronę biurka. Uśmiechnął się ponuro. Wiedział już, gdzie podziały się dokumenty. Wiedział też, dlaczego akta jego starej sprawy znalazły się na biurku sekretarki. Odgadł, jakim sposobem z King's House wydostała się informacja o tym, co kryje się pod szyldem "James Bond, Przedsiębiorstwo Importu i Eksportu" - bo przecież nigdzie poza King's House nie wiedziano, czym się naprawdę zajmuje. Powściągliwa, zaradna sekretarka, nosząca okulary w rogowej oprawie, była tej samej narodowości, co doktor No i panna Annabel Chung.

ROZDZIAŁ 6

PALEC NA SPUŚCIE

Sekretarz kolonii zaprosił Bonda na lunch w Queen's Club. Siedząc w rogu eleganckiej, wykładanej mahoniową boazerią jadalni, pod której sufitem obracały się cztery ogromne wentylatory, wymieniali jamajskie plotki. Nim podano kawę, Pleydell-Smith zdążył zdradzić wiele faktów, ukrytych głęboko pod powierzchnią życia toczącego się na tej wyspie, znanej światu jako kraina kwitnąca i spokojna.

- Widzi pan, to jest tak. - Znów zaczął wyczyniać sztuczki z fajką. - Jawajczyk to dobrotliwy leniuch o dziecinnych cnotach i wadach. Mieszka na bardzo bogatej wyspie, ale sam się przez to nie bogaci. Raz, że nie umie, a dwa, że jest za leniwy. Brytyjczycy pojawiają się i znikają, zgarniając to, co samo pcha im się w ręce, ale od jakichś dwustu lat żaden Anglik nie zrobił na Jamajce majątku, bo Anglicy nie zatrzymują się tu na czas dostatecznie długi. Każdy wykrawa sobie tłusty kasek i odjeżdża. Najwięcej zyskali portugalscy Żydzi. Przybyli tu wraz z Anglikami i osiedlili się na stałe. Ale to wszystko snoby: zbyt wielką część swych fortun trwonią na budowanie wytwornych domów i wydawanie bali. To właśnie ich nazwiska pojawiają się w kronice towarzyskiej "Gleanera", kiedy turyści już wyjadą. Rum i tytoń to ich branże. Oni też są przedstawicielami wielkich firm brytyjskich - samochody, ubezpieczenia, te rzeczy. Zaraz za nimi plasują się Syryjczycy. Też są bardzo bogaci, ale nie mają takiej głowy do interesów. Do nich należy większość sklepów i niektóre spośród najlepszych hoteli. Na Syryjczyków lepiej nie stawiać: raz po raz robi im się zator w magazynach, więc co jakiś czas musza, sobie fundować mały pożar, żeby znów był ruch w interesie. Dalej - Hindusi, którzy tutaj, tak jak i wszędzie, sprzedają efektowne tkaniny i tym podobny towar. Nie warto sobie nimi zawracać głowy. I wreszcie Chińczycy - solidni, zwarci, dyskretni: najpotężniejsza klika na Jamajce. Do nich należą, piekarnie, pralnie i najlepsze sklepy spożywcze. Trzymają się we własnym kółku, strzegąc czystości rasy. - Pleydell-Smith roześmiał się. - Co nie znaczy, że nie biorą sobie czarnych dziewczyn, kiedy mają na nie ochotę. W Kingston na każdym kroku widuje się owoce takich związków. Mieszkańcy Murzynów i Chińczyków to twarda rasa, o której istnieniu mało kto pamięta. Oni gardzą Murzynami, a Chińczycy gardzą nimi. Pewnego dnia mogą narobić zamieszania. Po Chińczykach odziedziczyli część inteligencji, a po Murzynach większość wad. Policja ma z nimi masę kłopotów.

- Czy pańska sekretarka należy właśnie do tej rasy?

- Tak jest. Bystra dziewczyna. Świetna pracowniczka. Mam ją u siebie mniej więcej od pół roku. Biła na głowę wszystkie kandydatki, które zgłosiły się, kiedy zamieściliśmy ogłoszenie.

- Istotnie sprawia wrażenie bystrej - powiedział Bond obojętnym tonem. - Czy ci ludzie są w jakiś sposób zorganizowani? Czy społeczność mieszkańców rasy czarnej i żółtej ma jakiegoś przywódcę?

- Jeszcze nie. Ale pewnego dnia ktoś zdobędzie nad nimi władzę. Staną się wtedy bardzo przydatni jako grupa nacisku. - Pleydell-Smith zerknął na zegarek. - A skoro o tym mowa, na mnie już pora. Muszę zrobić piekło o te akta. Nie mam pojęcia, co się z nimi stało. Pamiętam z całą dokładnością... - Urwał. - Najgorsze, że tak mało mogłem panu powiedzieć o wyspie Crab Key i o tym tam doktorze. Ale zapewniam, że niewiele by się pan dowiedział z akt. Zdaje się, że doktor to miły gość, gładki w mowie. Bardzo rzeczowy. Aha, miał miejsce jeszcze ten spór z Towarzystwem Audubona. Pewnie zna pan całą tę sprawę. Co do samej wyspy, w aktach było tylko kilka sprawozdań pochodzących jeszcze sprzed wojny i wyniki ostatnich pomiarów urzędu kartografii. W sumie wyspa ta wygląda mi na jakąś cholerną dziurę, zapomnianą przez Boga i ludzi. Nic, tylko kilometry bagien porośniętych mangrowcami, a na jednym końcu ogromna góra ptasiego łajna. Ale pan zdaje się jechać do instytutu. Może bym pana tam zawiózł? Przedstawiłbym panu kogoś, kto prowadzi wydział kartograficzny.

W godzinę później Bond zaszył się w kącie posępnej sali i rozłożył na stole mapę wyspy Crab Key, sporządzoną przez urząd kartografii w roku 1910. Na papierze z nadrukiem instytutu naszkicował z grubsza zarys wyspy, na który potem naniósł co istotniejsze szczegóły.

Powierzchnia wyspy miała prawie osiemdziesiąt kilometrów kwadratowych. Od wschodu trzy czwarte tego obszaru zajmowały bagna i płytkie jezioro. Z jeziora wypływała rzeka o płaskich- brzegach, która zmierzała zygzakami do morza, by w samym środku południowego wybrzeża wpaść do piaszczystej zatoczki. Bond przypuszczał, że strażnicy, reprezentujący Towarzystwo Audubona, założyli obóz gdzieś w górnym biegu rzeki. Na zachodzie wznosiło się strome wzgórze, mające według danych kartograficznych tysiąc pięćset metrów wysokości. Od strony morza kończyło się ono urwiskiem. Ze wzgórza biegła linia przerywana, wiodąca do kwadracika w rogu mapy, w którym widniał napis: "Złóża guano. Ostatnio eksploatowane w roku 1880". Nie było śladu dróg czy choćby szlaków, ani też domów. Z mapy fizycznej wynikało, że wyspa przypomina kształtem piżmoszczura - płaski grzbiet, wznoszący się raptownie ku potylicy - płynącego na zachód. Leżała jakies czterdzieści pięć kilometrów na północ od Galina Point na północnym wybrzeżu Jamajki i dziewięćdziesiąt kilometrów na południe od Kuby.

Niewiele więcej dawało się wyczytać z mapy. Wyspę Crab Key niemal zewsząd otaczały płycizny. Tylko od strony północnego urwiska najmniejsza zanotowana głębokość wynosiła prawie dziewięćset metrów. Potem dno morskie zapadało się w Rów Kubański. Bond złożył mapę i oddał ją bibliotekarzowi.

Nagle ogarnęło go straszliwe znużenie. Zegarek wskazywał dopiero czwartą, ale w Kingston panował taki skwar, że Bondowi koszula przylgnęła do ciała. Wyszedł z instytutu, złapał taksówkę i wrócił do hotelu drogą wśród chłodnych wzgórz. Był dość zadowolony z przebiegu dnia, ale wiedział, że po tej stronie wyspy nic już nie osiągnie. Zamierzał spędzić spokojny wieczór w hotelu, aby rano wstać wcześniej i wyjechać. Podeszedł do biurka recepcjonistki, chcąc sprawdzić, czy nie ma jakiejś kartki od Quarrela.

- Żadnych wiadomości dla pana - powiedziała recepcjonistka. - Ale z King's House przysłano kosz owoców. Tuż po lunchu. Posłaniec zaniósł go do pańskiego pokoju.

- Jaki posłaniec?

- Kolorowy. Twierdził, że przysłano go z biura sekretarza.

- Dziękuję.

Wziął klucz i wszedł po schodach na pierwsze piętro. Sytuacja była tak nieprawdopodobna, że aż groteskowa. Z ręką na kolbie pistoletu ukrytego pod marynarką cicho podeszedł do drzwi. Przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi kopniakiem. Pokój zionął pustką. Bond zamknął drzwi za sobą i przekręcił klucz. Na toalecie stał duży ozdobny kosz z owocami. Były w nim mandarynki, grapefruity, różowe banany, owoce guanabana, sapoty, a nawet kilka cieplarnianych brzoskwiń o skórce bez meszku. Do szerokiej wstęgi spowijającej pałąk kosza przyczepiono kopertę. Bond wziął ją do ręki i obejrzał pod światło, a następnie otworzył. Na białym arkuszu kosztownego papieru listowego widniały słowa napisane na maszynie: "Z pozdrowieniami od jego ekscelencji gubernatora."

Bond prychnął. Przez chwilę stał, przyglądając się owocom. Pochylił się nad koszem i zaczął nasłuchiwać. Następnie ujął kosz za pałąk i wysypał zawartość na podłogę. Owoce potoczyły się, odskakując od maty z włókna kokosowego. Koszyk niczego prócz nich nie zawierał. Bond uśmiechnął się: trochę bawiło go to, że jest tak ostrożny. Jednakże pozostawała jeszcze jedna możliwość. Wziął do ręki brzoskwinie, po ten bowiem owoc człowiek łakomy sięgnąłby pewnie w pierwszej kolejności, i poszedł z nią do łazienki. Zostawił brzoskwinie w umywalce i cofnął się do sypialni. Otworzył szafę, przedtem starannie obejrzawszy zamek w drzwiach. Ostrożnie wyjął z szafy walizę i postawił ją na środku pokoju. Ukłął i zaczął oglądać ślady talku, którym przed wyjściem lekko posypał oba zamki walizki. Talk był rozmazany, a wokół dziurek od kluczyków widniały

maleńkie zadrapania. Bond przyglądał im się z kwaśną miną. Tamci okazali się jednak mniej ostrożni niż ci, z którymi chcąc nie chcąc miewał w życiu do czynienia. Otworzył zamki i ustawił walizę pionowo. W prawym przednim rogu wieka tkwiły cztery ćwieki miedziane o niewinnym wyglądzie. Gdy Bond podważył paznokciem najwyżej położony ćwiek, ten wysunął się z otworu. Agent chwycił go za lepek i w ten sposób wyciągnął z walizki gruby stalowy drut długości prawie metra, który następnie położył na podłodze. Drut ten przechodził przez metalowe pętelki wewnątrz wieka i uniemożliwiał otwarcie walizki. Bond uniósł wieko i sprawdził zawartość: nikt nie grzebać w środku. Z pudrka z różnymi przyborami wyjął lupę jubilerską, wrócił do łazienki i zaśwycił lampę nad lustrem. Umieścił lupę na kształt monokla w oczodole, ostrożnie wyjął brzoskwinę z umywalki i zaczął ją z wolna obracać między kciukiem a palcem wskazującym.

Nagle znieruchomiał. Spostrzegł maleńki otworek jak od ukłucia szpilki, którego brzegi leciutko już zbrązowiały. Znajdował się on w zagłębieniu owocu i widać go było tylko przez szkło powiększające. Bond delikatnie odłożył brzoskwinę do umywalki. Z zadumą spojrzął w oczy własnemu odbiciu.

A więc jednak wojna! No, no. Ciekawe. Poczul, że skóra poniżej żołądka lekko mu się napina. Posłał swemu odbiciu błady uśmiech. A więc nie zawiódł go instynkt, a i rozumowanie okazało się prawidłowe. Strangways i dziewczyna zostali zamordowani, a ich notatki zniszczono, ponieważ oboje zanadto deptali tamtym po piętach. Teraz Bond wkroczył na scenę, więc dzięki panie Taro na niego także się zasadzono. Jego tropem poszła panna Chung, a może i taksówkarz. Trop zaprowadził prześladowców do hotelu „Blue Hills”. Właśnie oddano pierwszy strzał. Po nim miały paść dalsze. Ale kto naciskał spust? Kto mierzył z taką dokładnością? Bond nie miał już żadnych wątpliwości. Dowody nie istniały, lecz on był pewien trafności swych domysłów.

Strzelano z daleka, bo aż z Crab Key, a tym, kto patrzył w celownik, był doktor No.

Bond wrócił do sypialni. Brał każdy owoc do ręki i kolejno zanosił do łazienki, zęby go obejrząc przez lupę. Wszystkie były ponakłuwane: otworek krył się już to w miejscu po szypulce, już to w jakimś naturalnym rowku. Bond zadzwonił na dół i poprosił, żeby przysłano mu pudło tekturowe, papier i sznurek. Starannie zapakował owoce, po czym zatelefonował do King's House. Powiedział, że chce rozmawiać z sekretarzem kolonii.

- To pan, Pleydell-Smith? Tu James Bond. Przepraszam, że zawracam panu głowę.

Mam mały problem. Czy jest w Kingston jakieś laboratorium? Rozumiem. Mam coś, co chciałbym oddać do analizy. Jeśli pošle to panu w paczce, czy byłby pan łaskaw przekazać ją temu specjalście? Nie chciałbym, żeby wiązano z tą sprawą moje nazwisko. Dobrze? Wytlumaczę to panu kiedy indziej. A gdy już pan otrzyma wyniki, czy mógłby pan mnie o nich zawiadomić zwięzłą depeszą? Zamierzam spędzić mniej więcej tydzień w Beau Desert nad Zatoką Morgana. Cieszyłbym się, gdyby pan i tę wiadomość zachował dla siebie. Przepraszam, że robię z tego taką cholerną tajemnicę. Kiedy się zobaczymy, wszystko panu wytlumaczę. Myślę, że sam pan to i owo zrozumie, przeczytawszy wyniki analizy. Aha, proszę uprzedzić laboratorium, że z tym materiałem należy obchodzić się ostrożnie. Są w nim ukryte rzeczy niewidoczne dla oka. Ogromnie panu dziękuję. Miałem szczęście, żeśmy się dziś rano poznali. Do widzenia.

Zaadresował paczkę, zszedł na dół i zapłacił taksówkarzowi, żeby ten natychmiast zawiózł ją do King's House. Była szósta. Bond wrócił do pokoju. Wziął prysznic, przebrał się i zamówił pierwszego drinka. Właśnie miał wyjść z nim na balkon, kiedy zadzwonił telefon. Mówił Quarrel.

- Wszystko załatwione, szefie.

- Wszystko? Wspaniale. Dom w porządku?

- Wszystko gra - powtórzył Quarrel wyważonym tonem. - Spotkamy się tak, jak pan kazał.

- Dobra - rzekł Bond. Imponowała mu zaradność Quarrela i jego poczucie pewności. Odłożył słuchawkę i wyszedł na balkon.

Akurat zachodziło słońce. Fala fioletowego cienia pelzła w dół ku miastu i zatoce. Kiedy dotrze do miasta, pomyślał, zapalą się światła. Stało się tak, jak przewidywał. Nad jego głową rozległ się huk silników samolotowych. Po chwili ukazał się i samolot: super constellation, ten sam, którym Bond przyleciał poprzedniego wieczoru. Agent patrzył, jak maszyna zatacza łuk nad pełnym morzem, by następnie skrócić w stronę lotniska Palisadoes. Jakąż drogę odbył od chwili, gdy przed zaledwie dwudziestoma czterema godzinami otworzyły się drzwi samolotu, a z głośnika popłynęły słowa:

- Wylądowaliśmy w Kingston na Jamajce. Pasażerowie proszeni są o pozostanie na miejscach, póki miejscowa służba zdrowia nie wyda odpowiednich zezwoleń.

Czy powinien zawiadomić M o tym, jak zmieniła się sytuacja? Czy powinien sporządzić raport dla gubernatora? Przywołał w pamięci obraz tego urzędnika zrezygnował z pomysłu. No dobrze, a M? Bond miał przecież swój własny szyfr. Bez trudu mógł przesłać wiadomość dla M za pośrednictwem Biura Kolonialnego. Ale o czym właściwie by go zawiadomił? O tym, że doktor No przysłał mu zatrute owoce? Nie był przecież nawet pewien, czy istotnie są zatrute, ani czy rzeczywiście przysłał je doktor No. Bond wyobrażał sobie, z jaką miną M czytałby depezę. Już widział, jak tamten naciska guzik interkomu:

- Z szefem personelu. Szefie, 007 sfiksował. Twierdzi, że ktoś próbuje go poczęstować zatrutym bananem. Facet stracił zimną krew. Za długo leżał w szpitalu. Lepiej go odwołajmy.

Bond uśmiechnął się do własnych myśli. Wstał i zadzwonił, zamawiając kolejnego drinka. Oczywiście reakcja M nie wyglądałaby dokładnie tak, jak ją sobie wyobraził. Jednakże... Nie. Zaczeka, aż będzie miał więcej dowodów. Jeśli nie wyśle wiadomości o tym, że grozi mu niebezpieczeństwo, a dojdzie do jakichś poważniejszych komplikacji, znajdzie się w kropce. Ale jego w tym głowa, żeby do komplikacji nie doszło.

Wypił drugiego drinka, obmyślając szczegóły planu. Następnie zszedł na dół i zjadł kolację w na wpół opustoszałej jadalni, czytając Przewodnik po Indiach Zachodnich. Nim wybiła dziewiąta, prawie spał. Wrócił do pokoju i spakował się, żeby rano mieć wszystko gotowe. Zadzwonił do recepcji i kazał się obudzić o wpół do szóstej.

Zarygłował drzwi od wewnątrz. Zamknął i również zarygłował żaluzje w oknach.

Czekała go w związku z tym noc w upale i zaduchu, ale nie było na to rady. Wślizgnął się nago pod bawelniane prześcieradło, przewrócił się na lewy bok i wsunął rękę pod poduszkę, ujmując kolbę leżącego pod nią walthera PPK. Zasnął w ciągu pięciu minut. Nagle zdał sobie sprawę, że jest trzecia nad ranem. Wiedział, która to godzina, bo miał pod samym nosem fosforyzującą tarczę zegarka. Leżał w zupełnym bezruchu. Z pokoju nie dochodził nawet najłżejszy szmer. Bond wytężył słuch. Na dworze też panowała śmiertelna cisza. Gdzieś w oddali zaszczekał pies. Przyłączyły się do niego następne, tworząc chór, który umilkł równie nagle, jak się uformował. Znowu wszystko ucichło. Księżyc świecący przez listwy żaluzji rzucił cienie, które niby czarne pręty znaczyły ściany nad łóżkiem. Wyglądało to tak, jakby Bond leżał w klatce. Co go właściwie zbudziło? Poruszył się lekko, zamierzając wstać.

Wtem znieruchomiał. Zmartwił tak, że żywy człowiek bardziej już zmartwieć nie może. Coś zawadziło o jego prawą kostkę, a teraz wspinało się po wewnętrznej stronie łydki. Czuł, jak przedziera się wśród włosów na nodze. Musiał to być jakiś owad. Ogromny, a zwłaszcza długi - na pewno miał jakieś czternaście, piętnaście centymetrów, czyli tyle co

dłoń Bonda. Mężczyzna czuł, że dziesiątki maleńkich nóżek lekko dotykają jego skóry. Co to mogło być za stworzenie?

Nagle do jego uszu dobiegł dźwięk, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie słyszał: to jego własne włosy drapały poduszkę.

Zanalizował ten odgłos. Niepodobieństwo! Po prostu niepodobieństwo! A jednak to prawda: włosy stawały mu dęba. Czuł nawet na skórze głowy chłodny powiew, gdyż powietrze miało teraz do niej łatwiejszy dostęp. Niebawem! Wręcz niebawem! Zawsze sądził, że to tylko przenośnia. Ale czemu, czemu właśnie on przeżywał coś takiego? Stworzenie, które przywarło do jego nogi, poruszyło się. Bond zdał sobie sprawę, że się boi, że jest wręcz przerażony. Sam instynkt, nim jeszcze przyszła odpowiedź z mózgu, podpowiedział mu, że ma na lydce stonogę.

Zastygł w bezruchu. Widział kiedyś stonogę z tropików w butelce spirytusu na półce w muzeum. Była jasnobraza, mocno spłaszczona, długości czternastu, piętnastu centymetrów - taka jak ta, która właśnie szła mu po nodze. Z boków tępo zakończonej głowy sterczały zakrzywione kolce, wydzielające jad. Napis na etykiecie oznajmiał, że trucizna ta ma działanie śmiertelne, jeśli dostanie się do tętnicy. Bond spojrzał wtedy z zaciekawieniem na ten kawałek epidermy, zwinięty w korkociąg, i poszedł dalej.

Stonoga wspięła się na wysokość kolana. Szła już po udzie. Pod żadnym pozorem nie wolno się ruszać, a nawet drgnąć! Cała świadomość Bonda spłynęła w dół, skupiając się wokół dwóch rzędów miękkich, pełzających nóżek, które właśnie dotarły do biodra. O Boże, skręcają w stronę krocza! Zacisnął zęby. A jeśli spodoba jej się to, że tak tam ciepło? Jeśli będzie próbowała wślizgnąć się w zakamarki? Jak on to wytrzyma? A jeśli stworzenie właśnie tam postanowi go ukąsić? Czuł jak stonoga myszkuje wśród pierwszych napotkanych włosków. Załaskotało. Bondowi zaczęła drgać skóra na brzuchu. W żaden sposób nie mógł nad tym odruchem zapanować. Teraz jednak stworzenie jęło skręcać ku górze, w stronę żołądka. Mocniej wczepiało się nóżkami, żeby się nie ześlizgnąć. Dotarło już do serca. Gdyby tam właśnie ukąsiło, na pewno by umarł. Stonoga w równomiernym tempie brnęła wśród rzadkich włosków na prawej piersi Bonda, zmierzając w stronę obojczyka. Nagle zatrzymała się. Co ona wyprawia? Czuł, że tępo zakończona głowa porusza się na boki, szukając czegoś po omacku. Ale czego? Czy między jego skórą a prześcieradłem jest dla niej dość luzu? A gdyby tak odrobinę unieść prześcieradło, żeby stonoga łatwiej mogła się przedostać? Nie. Nigdy w życiu! Stworzenie znieruchomiało u dołu tętnicy szyjnej. Może zaintrygował je ten mocny puls. Jezus Maria, gdyby człowiek umiał panować nad krążeniem krwi. Szlag by cię trafił! Bond usiłował nawiązać kontakt telepatyczny ze stonogą. To nic takiego. Ta pulsacja jest nieszkodliwa. Niczym ci nie grozi. No idźże wreszcie na świeże powietrze!

Potwór jak gdyby go usłyszał: ruszył wzwyż po szyi wszedł na podbródek, na którym przez noc zaczęła już odrastać szczecina. Dotarł do kącika ust. Łaskotanie było prawie nie do zniesienia. Stonoga wspinająca się po nosie. Bond czuł teraz cały jej ciężar i długość. Pomału zamknął oczy. Nóżki parami, raz prawa, raz lewa, przemaszerowały po jego prawej powiece. Kiedy stworzenie zejdzie mu z powieki, czy ma zaryzykować i spróbować je strząsnąć? Może dziesiątki nóżek ześlizgną się ze spoconej skóry? Nie, na miły Bóg! Rzędy ciepłych łapek ciągnęły się bez końca. Mógłby strząsnąć z siebie część, ale nie wszystkie.

Ogromny robal z niewiarygodnym rozmysłem wędrował Bondonowi po czole.

Zatrzymał się poniżej linii włosów. Do diabła, co ona teraz wyrabia? Czuł, że stonoga trąca pyszczkiem jego skórę. A więc pila! Spijała słone krople potu. Był tego pewien. Przez kilka minut prawie się nie ruszała. Zaczynał już słabnąć od tego ciągłego napięcia. Z całego jego ciała pot lał się strumieniami i spływał na prześcieradło. Jeszcze sekunda, a zaczną mu drzeć wszystkie kończyny. Czuł nadciągający dygot. Niebawem zacznie

trząść się w napadzie febrycznej trwogi. Czy zdoła nad tym zapanować? Leżał, oczekując ataku drgawek. Spośród wyszczerzonych zębów wydobywał się cichy oddech. Stonoga ruszyła dalej. Weszła w gąszcz włosów. Bond czuł, jak rozchylają się u nasady, gdy stworzenie przeciska się wśród nich. Czy jej się tam spodoba? Czy będzie miała ochotę zatrzymać się na dłużej? Jak stonogi układają się do snu? Zwijają się w kłębek, czy sypiają wyprostowane? Małeńkie wiję, które pamiętał z dzieciństwa - te, co zawsze umiały dostać się do pustej wanny przez rurę odpływową - skręcały się, kiedy człowiek ich dotknął. Stonoga dotarła do miejsca, gdzie głowa stykała się z poduszką. Pójdzie dalej, czy pozostanie w tym ciepłym lesie? Zatrzymała się. "precz! PRECZ!" krzyczał każdy nerw w ciele Bonda.

Stonoga drgnęła. Pomału zeszła na poduszkę.

Bond odczekał sekundę. Słyszał cichy chrobot nówek, idących dwuszeregiem po bawełnianej pościeli. Był to cichy dźwięk, przypominający skrobanie paznokciami. Z loskotem, od którego zadrżał cały pokój, Bond niczym ostrze noża sprężynowego wyskoczył z łóżka i wylądował na podłodze.

Natychmiast zerwał się na równe nogi i skoczył do drzwi. Zapalił światło. Uświadomił sobie, że wstrząsają nim drgawki, których nie jest w stanie opanować. Zataczając się zawrócił w stronę łóżka. Stonoga pelzła prosto przed siebie. Częściowo skryła się już za krawędzią poduszki. Bond w pierwszym odruchu chciał zrzucić poduszkę na podłogę. Zapanował jednak nad sobą. Począł, aż jego nerwy uspokoją się. Dopiero wtedy wolno, z rozmysłem uniósł poduszkę, trzymając ją za róg, wyszedł na środek pokoju i tam ją upuścił. Stonoga wyszła spod poduszki. Czym prędzej ruszyła zygzakami po macie. Bond właściwie przestał się nią interesować. Rozejrzał się za czymś, czym mógłby ją zabić. Wolnym krokiem poszedł po but, podniósł go z podłogi i wrócił na środek pokoju. Niebezpieczeństwo minęło. Bond zastanawiał się już, w jaki sposób stonoga dostała się do jego łóżka. Podniósł but i wolnym, prawie niedbałym ruchem zmiażdżył stworzenie. Usłyszał trzask pękającego pancerza.

Podniósł but.

Stonoga miotła się w agonii: czternaście centymetrów szarobrunatnej, lśniącej śmierci. Uderzył po raz drugi. Pękła. Wypłynęła z niej żółtawa maź.

Bond upuścił but i pobiegł do łazienki, gdzie dostał napadu gwałtownych torsji.

ROZDZIAŁ 7

NOCNA WYPRAWA

- Słuchaj, Quarrel - Bond gwałtownie wyminął autobus z napisem "Brunatny Bombowiec" nad przednią szybą. Autobus zjechał na bok i pognął w dół, w stronę Kingston, z przeraźliwym rykiem trzytonowego klaksonu, mającym podreperować nadwątlone ego kierowcy - co wiesz o stonogach?

- O stonogach, szefie? - Quarrel zerknął na niego kątem oka chcąc wybać, o co chodzi. Twarz Bonda była bez wyrazu. - No, te niektóre tutaj na Jamajce są naprawdę nieprzyjemne. Mają po trzynaście, nawet piętnaście centymetrów długości. Zabijają ludzi. Siedzą przeważnie w starych domach w Kingston. Lubią zmurszałe drewno i zapuszczone kąty. Wylazą głównie w nocy. Bo, co szefie? Widział pan taką?

Bond zignorował pytanie. Nie wspominał także nic o owocach. Quarrel był odważnym facetem, ale nie należało siał w nim ziarna niepokoju. - Czy można się na nie natknąć także w nowych domach? Znaleźć na przykład w bucie, w szufladzie, albo w łóżku?

- Co to, to nie - zaprotestował stanowczo Quarrel. - Chyba, żeby ją ktoś podrzucił. Te robale chowają się po dziurach i szczelinach. Nie lubią, czystych miejsc. Żyją w brudzie.

Można je znaleźć w dżungli, pod pniami drzew, pod kamieniami. Nigdy tam, gdzie jasno i czysto.

- Rozumiem. - Bond zmienił temat. - A czy tamci dwaj pojechali sunbeamem bez problemów?

- Jasna sprawa, szefie. Bardzo im się spodobała ta robota, i są bardzo do nas podobni. - Quarrel zachichotał. Spojrzał na Bonda i powiedział z wahaniem: - Ale to nie są tacy najporządniejsi obywatele, szefie. Musiałem szukać, gdzie się dało. Mnie zastępuje pewien żebrak, a za pana, szefie, robi taki jeden biały lachmyta od Betsy.

- Kto to jest Betsy?

- Właścicielka najparszywszego burdelu w mieście, szefie - Quarrel splunął wymownie przez okno. - Ten biały prowadzi jej rachunki. Bond roześmiał się.

- Byle umiał prowadzić auto. Mam nadzieję, że dotrą jakoś do Montego.

- Spokojna głowa, szefie - Quarrel wytłumaczył sobie na swój sposób obawy Bonda. - Zagroziłem im, że jak coś wykręcą, to powiem na policji, że ukradli samochód.

Minęli przełęcz Stony Hill, skąd Junction Road spływa pięćdziesięcioma serpentynami na północne wybrzeże. Bond zdjął nogę z gazu i mały austin A30 toczył się w dół na drugim biegu. Słońce wschodziło nad szczytem Blue Mountains rzucając migotliwe złociste snopy światła w głąb doliny. Na drodze było niewielu ludzi - tu i ówdzie jakiś wieśniak żujący śniadanie podczas marszu do swojego niewielkiego poletka na stromym zboczu wzgórza, z metrowej długości maczetą w prawej i laską trzciny cukrowej w lewej ręce albo kobieta sunąca powoli z zakrytym koszem warzyw lub owoców na targ do Stony Hill, niosąca na głowie buty, które włoży dopiero przed wioską. Był to pierwotny, pelen spokoju krajobraz, nie zmieniony, jeśli nie brać pod uwagę asfaltu, od przeszło dwustu lat. Bond czuł niemal zapach łajna zostawiony przez zaprzęg mulów, którym przybyłby tu z Port Royal na inspekcję garnizonu w Zatoce Morgana w tysiąc siedemset pięćdziesiątym roku. Quarrel przerwał te rozmyślenia.

- Szefie - powiedział przeproszającym tonem - pokornie proszę o wybaczenie, ale czy mógłby pan zdradzić, jakie są pana plany co do nas? Myślę i myślę, ale nie mogę rozgryźć o co chodzi.

- Ja sam jeszcze tego nie rozgryzłem. Quarrel. - Bond wrzucił czwarty bieg i zanurzył się w chłód wspaniałych alei Castleton Gardens. - Mówiłem ci, że przyjechałem, ponieważ komandor Strangways i jego sekretarka zniknęli. Większość ludzi uważa, że uciekli razem. Moim zdaniem zostali zamordowani.

- Ach tak? - rzekł Quarrel bez śladu emocji. - Kto mógł to zrobić?

- Doszedłem do wniosku, że miałaś rację. Myślę, że zlecił to doktor No, ten Chińczyk z Grab Key. Strangways zaczął wtykać nos w jego sprawy, miało to coś wspólnego z rezerwatem ptaków. Doktor No ma fioła na punkcie swojego życia prywatnego, sam mówię. Wygląda na to, że jest gotów zrobić wszystko, aby zostawiono jego twierdzę w spokoju. Oczywiście, to tylko domysły. Ale w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin zdarzyło się parę prawdziwych rzeczy i właśnie dlatego wysłałem naszego sunbeama do Montego, bo chciałem zostawić fałszywy ślad. I dlatego też jedziemy zaszyć się na parę dni w Beau Desert.

- A co potem, szefie?

- Przede wszystkim musisz doprowadzić mnie do szczytowej formy, tak jak wytrenowałaś mnie zeszłym razem, kiedy tu byłem. Pamiętasz?

- Jasne, szefie. Zrobi się.

- A potem pomyślałem, że moglibyśmy popłynąć i obejrzeć sobie Crab Key.

Quarrel gwizdnał. Ale nie zabrzmiało to najweselej.

- Tylko się rozejrzemy. Nie będziemy się zbliżać do drugiego krańca wyspy, gdzie mieszka doktor No. Chciałbym popatrzeć na ten rezerwat ptaków. Zobaczyć na własne

oczy, co się stało z obozem strażników. Jeśli coś się nam nie spodoba, odpłyniemy i wrócimy od frontu - z wojskiem do pomocy. Przeprowadzimy pełne dochodzenie. Ale nie możemy tego zrobić, dopóki nie mamy punktu zaczepienia. Co ty na to?

Quarrel sięgnął do kieszeni po papierosa. Długo i starannie go zapalał. Wypuścił nosem obłok dymu i patrzył, jak wylatuje przez okno. W końcu zebrał się na odwagę i rzekł:

- Szefie, trzeba być skończonym głupcem, żeby wdzierać się na tę wyspę. - Zamilkł. Nie było odpowiedzi. Zerknął w bok na nieruchomy profil. Powiedział ciszej, z pewnym zażenowaniem: - Jeszcze jedno, szefie. Mam rodzinę na Kajmanach. Czy nie mógłby pan ubezpieczyć mnie na życie, zanim wypłyniemy.

Bond spojrział z sympatią na ciemną, wyrazistą twarz towarzysza. Czoło przecinała mu głęboka bruzda troski.

- Oczywiście, Quarrel. Załatwię to jutro w Port Maria. Ubezpieczymy cię wysoko, powiedzmy na pięć tysięcy funtów. Zastanówmy się teraz, czym popłyniemy? Canoe?

- Chyba tak, szefie - głos Quarrela brzmiał niechętnie. - Musimy mieć spokojne morze i lekki wiatr. Dopłyniemy z nim do Noreasterly Trades. Noc musi być ciemna. Właśnie się zaczynają. Pod koniec tygodnia będzie druga kwadra. Gdzie pan chce przybić do brzegu, szefie?

- Na południowym wybrzeżu, w pobliżu ujścia rzeki. Potem pójdziemy pod prąd, do jeziora. Jestem pewien, że tam był obóz strażników. W ten sposób mieli dostęp do słodkiej wody i do ryb w morzu.

Quarrel chrząknął bez entuzjazmu.

- Jak długo tam zostaniemy, szefie? Nie możemy wziąć zbyt dużo jedzenia. Tylko chleb, ser, soloną wieprzowinę. Żadnego tytoniu, nie będziemy ryzykować z dymem i ogniem. To bardzo surowe okolice, szefie. Bagna i mangrowce.

Bond odpowiedział:

- Lepiej przygotujmy się na trzy dni. Pogoda może się załamać i zatrzymać nas tam na jedną czy drugą noc. Będą nam potrzebne dwa dobre noże myśliwskie. Wezmę też rewolwer. Nigdy nic nie wiadomo.

- To prawda - przyznał Quarrel z naciskiem. Po czym zapadł w ponure milczenie, które trwało całą drogę do Port Maria.

Przejechali przez miasteczko i wokół cypla do Zatoki Morgana. Było tu dokładnie tak, jak Bond zapamiętał: cukrowa głowa Isle of Surprise wynurzająca się ze spokojnej zatoki, liczne czołna leżące na brzegu obok hałd pustych muszli, daleki odgłos fal rozbijających się o rafę, która ongiś niemal stała się jego grobem. Z głową pełną wspomnień ruszył boczną drogą przez pola trzciny cukrowej, pośród których niczym zabłąkany galeon wznosiła się posępna ruina wielkiego dworu na plantacji Beau Desert. Podjechali do bramy wiodącej do bungalowu. Quarrel wysiadł i otworzył bramę, a Bond wprowadził samochód na podwórko za białym jednopiętrowym budynkiem. Było bardzo cicho i spokojnie. Bond okrążył dom i poszedł przez trawę na skraj morza. Tak, to wydarzyło się tutaj, pas głębokiej spokojnej wody - podwodny szlak, tędy przedostał się na Isle of Surprise. Czasem wracało to do niego w koszmarach sennych. Stał i patrzył, myśląc o Solitaire, dziewczynie, którą wówczas uratował, poranioną i zalaną krwią. Zaniósł ją wtedy do tego domu. Co się z nią później stało? Gdzie może być teraz? Odwrócił się gwałtownie i pomaszerował z powrotem, odpędzając od siebie zmory przeszłości.

Była ósma trzydzieści. Bond rozpakował swój niewielki bagaż, przebrał się w sandały i szorty. Wkrótce rozniósł się smakowity zapach kawy i skwierczącego bekonu. Zjedli śniadanie, podczas którego Bond ustalił rozkład swojego treningu: pobudka o siódmej, przepłynięcie pół kilometra, śniadanie, godzina opalania, bieg na odległość półtora

kilometra, znów pływanie, lunch, drzemka, opalanie, przepłynięcie półtora kilometra, gorąca kąpiel i masaż, kolacja i do łóżka przed dziewiątą.

Po śniadaniu przystąpił do wykonywania planu.

Nic nie zakłóciło monotonnej tygodniowej zaprawy oprócz krótkiej wzmianki w "Daily Gleaner" i telegramu od Pleydella-Smitha. "Gleaner" donosił, że samochód marki sunbeam talbot, o numerze rejestracyjnym H 2473, padł ofiarą tragicznego wypadku na "diabelskim torze", krętym odcinku drogi między Spanish Town i Ocho Rios na trasie Kingston-Montego. Gdy wyjeżdżał zza zakrętu, wpadła na niego pusta ciężarówka bez hamulców, której kierowcy się poszukuje. Oba pojazdy stoczyły się w przepaść.

Pasażerowie sunbeama, Ben Gibbons, zamieszkały na Harbour Street, i Josiah Smith, bez adresu, zginęli na miejscu. Niejaki pan Bond, angielski turysta, na którego nazwisko wynajęty był sunbeam, proszony jest o kontakt z najbliższym posterunkiem policji.

Bond spalił ten egzemplarz gazety. Nie chciał niepokoić Quarrela. W przeddzień wyprawy nadszedł telegram od Pleydella-Smitha:

KAŻDY OWOC ZAWIERAŁ DOŚĆ CYJANKU ŻEBY ZABIĆ KONIA STOP RADZĘ ZMIENIĆ DOSTAWCĘ WARZYW STOP POWODZENIA SMITH

Bond spalił także i ten telegram.

Quarrel wynajął canoe i spędzili trzy dni na pływaniu. Była to niezgrabna skorupka wydrążona z ogromnego pnia bawelnicy. Miała dwie wąskie ławki, parę topornych wiosel i mały żagiel z brudnego płótna. Żeglowała dość tępo. Quarrel był jednak zadowolony.

- Siedem, osiem godzin, szefie - powiedział. - A potem zrzucimy żagiel i popłyniemy na wiosłach. Mniejszy cel dla radaru.

Pogoda się utrzymywała. Radio Kingston nadawało dobre prognozy. Noce były czarne jak smoła. Obaj zaopatrzyli się w niezbędne rzeczy. Bond sprawił sobie tanie dżinsy z czarnego płótna, granatową koszulę i buty na sznurkowych podszewkach.

Nadszedł ostatni wieczór. Bond cieszył się, że wyruszają. W ciągu całego tygodnia tylko raz pojechał do miasta - zrobić zakupy i ubezpieczyć Quarrela - i teraz rwał się do czynu. Przyznawał, że ta przygoda go ekscytuje. Zawierała wszystkie niezbędne elementy: wysiłek fizyczny, tajemnicę i bezwzględny przeciwnik. Miał dobrego towarzysza. Walczył o słuszną sprawę. Mogła mu też przynieść satysfakcję w postaci rzucenia w twarz M owych "wakacji na słońcu". Wciąż go to jątrzyło. Nie lubił, żeby się z nim pieszczono.

Płynąca kula słońca z gracją zanurzyła się za horyzontem.

Bond poszedł do swojego pokoju, wyjął oba rewolwery i obejrzał je. Żaden z nich nie był z nim tak zrośnięty jak stara beretta, która stanowiła przedłużenie jego prawej ręki - ale już poznał je jako doskonałą broń. Nie mógł się zdecydować. Podnosił je kolejno, ważąc w dłoni. Lepszy będzie cięższy smith & wesson. Na Crab Key nie powinno być strzelaniny z bliska, o ile w ogóle będzie jakaś strzelanina. Jeśli już coś brać, to ciężką broń o dalekim zasięgu. Ten brutalny, toporny rewolwer ma przewagę dwudziestu pięciu metrów nad waltherem. Bond przypiął kaburę do dżinsów i wsunął w nią rewolwer. Do kieszeni wrzucił dwadzieścia dodatkowych naboń. Czy to nie nadmiar ostrożności dźwigać ze sobą całe to żelastwo na coś, co może okazać się zwykłym egzotycznym piknikiem.

Podszedł do lodówki, wyjął butelkę kanadyjskiej whisky, lód i wodę sodową, po czym, rozsiadłszy się w ogrodzie, patrzył jak gasną ostatnie płomienie zachodu słońca.

Za domu wypelzł cień, przesunął się po trawniku i objął go swym skrzydłem.

Cmentarny Wiatr, który wieje w nocy z głębi wyspy, szeleścił cicho w wierzchołkach palm. W zaroślach odezwało się kumkanie żab. Robaczki świętojańskie - "migotki", jak nazywał je Quarrel, zaczęły nadawać sobie seksualne sygnały błyskowym alfabetem

Morse'a. Przez chwilę sercem Bonda zawładnęła melancholia tropikalnego zmierzchu. Zajrzał do butelki. Wypił już jedną czwartą. Nalał sobie następną, potężną porcję i dodał lodu. Po co pije? Z powodu czterdziestu pięciu kilometrów czarnego morza, które miał tej nocy przebyć? Z powodu obawy przed nieznanym? Z powodu doktora No? Z plaży nadszedł Quarrel.

- Już czas, szefie.

Bond opróżnił szklanekę i poszedł za Kajmańczykiem do canoe. Kołysało się spokojnie na wodzie, z dziobem leżącym na piasku. Quarrel wskoczył na rufę, a Bond zajął miejsce między przednią ławką a dziobem. Żagiel, owinięty wokół krótkiego masztu, był za jego plecami. Bond odepchnął się wiosłem od brzegu, odwrócili się wolno i skierowali ku przerwie w spienionej bieli przyboju, wyznaczającej przejście wśród raf. Wiosłowali równo, bez wysiłku, obracając pióra wiosel przy ruchu w przód, bez wyjmowania ich z wody. Drobne fale rozbijały się cicho o dziób. Poza tym nie czynili żadnego hałasu. Było ciemno. Nikt ich nie widział. Prosto zeszli z łądu i ruszyli w morze.

Jedynym obowiązkiem Bonda było wiosłowanie, sterował Quarrel. W przejściu przez rafę trafili na wiry i kłębiące się prądy. Znaleźli się wśród ostrych odłamków rafy i gałązek koralowca, przypominających obnażone po dżiąsła kły. Bond czuł siłę pociągnięcia wiosła Quarrela na tej ciężkiej, chybotliwej i rozkołysanej łajbie. Sam wciąż uderzał wiosłem o skały, a raz nawet musiał się o nie wesprzeć, kiedy czółno najechało na niewidoczną masę gąbki koralowej. W końcu jednak przedostali się na drugą stronę i teraz głęboko pod łodzią widać było niebieskawe pasma piasku, a wokół oleistą czerń głębokiej wody.

- W porządku, szefie - powiedział cicho Quarrel.

Bond wrzucił do środka wiosło, podniósł się z kolana, na którym kłęczał, i usiadł opierając się o ławkę. Słyszał zgrzyt paznokci Quarrela o płótno rozwijanego żagla, a potem pojedynczy łopot, gdy żagiel złapał wiatr. Canoe wyprostowało się i popłynęło. Kołysało się lekko na falach. Spod dzioba dobiegał cichy szmer. Bryzg piany trafił Bonda w twarz. Było coraz chłodniej, a wkrótce zrobi się całkiem zimno. Bond podciągnął kolana i objął je rękami. Twarde drewno zaczynało już wrzynać mu się w siedzenie i plecy. Zrozumiał, że czeka go długa i męcząca noc.

W ciemności przed sobą ledwie widział linię horyzontu, a wyżej przepastną czerń, nad którą zaczynały się gwiazdy, najpierw pojedyncze, później przechodzące w gęsty, świetlisty dywan. Wysoko nad głową skrzyła się Droga Mleczna. Ile tych gwiazd? Bond spróbował policzyć te, które mieściły się na długości palca i wkrótce doszedł do ponad setki. Odbijały się w morzu niewyraźnym, szarym traktem i zachodziły łukiem nad topem masztu w kierunku czarnego konturu Jamajki. Bond obejrzał się. Za przygarbioną sylwetką Quarrela widniało w dali skupisko światel - zapewne Port Maria. Byli już w odległości trzech kilometrów od łądu. Wkrótce przepłyną jedną dziesiątą drogi, potem jedną czwartą, potem połowę. Jego kolej nadejdzie około północy. Bond westchnął, oparł głowę na zgiętych kolanach i zamknął oczy. Musiał zasnąć, ponieważ obudziło go dopiero stukanie wiosła o łódź. Podniósł rękę, pokazując że usłyszał, i zerknął na fluoryzujący cyferblat. Dwunasta piętnaście. Z trudem rozprostował nogi, odwrócił się i przeszedł przez ławkę.

Przepraszam, Quarrel - powiedział i jakoś dziwnie się poczuł na dźwięk własnego głosu.

- Powinieneś być obudzić mnie wcześniej.

- Nic nie szkodzi, szefie - odparł Quarrel z szarym błyskiem zębów. - Sen dobrze panu robi.

Wymienili się ostrożnie miejscami i Bond usiadł na rufie, biorąc wiosło. Żagiel był zaczepiony o zagięty gwóźdź, wbity obok. Trzepotał na wietrze. Bond skierował łódź na wiatr i odwracał powoli, aż Gwiazda Północy ukazała się dokładnie nad głową

siedzącego na dziobie Quarrela. Przez jakiś czas to może nawet być zabawne. Zajmie się jakąś robotą.

Noc mijala spokojnie, było tylko jakby ciemniej i bardziej pusto. Puls śpiącego morza bił wolniej. Grzbiety fal wydłużyły się, a doliny zrobiły głębsze. Przepływali właśnie przez fosforyzującą wstęgę, która migotała pod dziobem i opadała perlistą kaskadą po każdym uniesieniu wiosła. Jakże bezpieczna zdawała się ta wyprawa pośród nocy w śmiesznej, prymitywnej, małej łódeczce. Jakże łagodne i ciche potrafi być morze. Stadko latających ryb rozcięło toń przed dziobem i rozprysnęło się niczym szrapnel. Niektóre szybowały przez jakiś czas obok canoe, lecąc niekiedy aż dwadzieścia metrów, nim zanurkowały w grzbiecie fali. Czy gonila je jakaś większa ryba, czy same uważały canoe za rybę, czy po prostu się bawiły? Bond pomyślał o tym, co dzieje się setki metrów pod łódką, wyobraził sobie ogromne ryby, rekiny, barakudy, tarpony i płaszczki krążące spokojnie wśród ławic sardynek, makreli i bonito, a jeszcze dużo niżej, w szarym półmroku głębin fosforyzujące, galaretowate, bezkostne stwory, których nikt nigdy nie oglądał, wielometrowe mątwy z oczyma wielkości talerzy, dryfujące niczym zeppelin - ostatnie prawdziwe potwory morskie, których rozmiary zgadywano tylko po szczątkach znalezionych w trzewiach wielorybów. Co by się stało, gdyby poprzeczna fala wywróciła czółno? Jak długo by przetrwali? Bond ze zdwojoną energią zajął się sterem, odsuwając tę myśl.

Minęła pierwsza, druga, trzecia, czwarta. Quarrel obudził się i przeciągnął. Zawołał cicho do Bonda:

- Czuję łąd, szefie.

Wkrótce ciemność przed nimi zgęstniała. Cień leżący na wodzie z wolna przybrał kształt ogromnego płynącego szczura. Za nim: pokazał się błądzący księżyc. Teraz już ujrzeli wyspę wyraźnie trzy kilometry przed sobą i usłyszeli odległy pomruk przyboju. Zamienili się miejscami. Quarrel zrzucił żagiel i wzięli wiosła. Bond pomyślał, że przez co najmniej półtora kilometra staną się niewidzialni pośród fal. Nawet radar nie odróżni ich od grzywaczy. Dopiero ostatni kilometr będą musieli się spieszyć mając na karku świt.

Teraz on też poczuł zapach ładu. Nie dochodziła żadna szczególna woń, po prostu nos wychwycił coś nowego po godzinach czystego morza. Mógł już dojrzeć białą granicę przyboju. Fale zmalowały i stały się krótsze.

- Dalej, szefie! - zawołał Quarrel i Bond, mimo potu ściekającego po policzkach, zanurzał wiosło jeszcze głębiej i częściej. Boże, ależ to była harówka! Niezdarna kłoda drewna, sunąca tak ręczo pod żaglem, teraz zdawała się ledwo ruszać. Fala dziobowa stała się ledwie widoczna. Ramiona paliły Bonda żywym ogniem. Kolano, na którym klęczał, bolało niemilosiernie. Ręce miał zaciśnięte na niewygodnym uchwycie wiosła ciężącego niczym olów.

Graniczyło to z cudem, ale dotarli do rafy. Głęboko pod łodzią pokazały się lachy piasku. Szum przyboju zamienił się w ryk. Płynęli wokół rafy, szukając przejścia. Sto metrów za rafą migocąca woda przecinając plażę wdzierała się w łąd. Rzeka! A więc trafili tam., gdzie chcieli. Ściana przyboju rozstąpiła się. Widać było błyszczący czernią nurt, załamujący się nad podwodnymi koralowcami. Skierowali dziób czółna w tę stronę. Posuwali się naprzód pośród wirów, głuchych wstrząsów i nagle, po ostatnim gwałtownym szarpnięciu, majestatycznie wypłynęli na lustrzaną toń wiodącą do brzegu. Quarrel skierował canoe pod osłonę kamiennego cypla, na skraju plaży. Bond zastanawiał się, dlaczego piasek nie lśni jasno w świetle księżyca. Kiedy dobili do brzegu i wyszedł na sztywnych nogach z łódki, zrozumiał przyczynę. Plaża była czarna, piasek zaś miękki i miły, ale musiał powstać ze skały wulkanicznej, startej na proch przez wieki, i bosa stopy Bonda wyglądały na nim jak białe kraby.

Spieszyli się. Quarrel wyjął z łodzi trzy kawałki grubego bambusa i ułożył je na piasku. Nasunęli dziób łodzi na pierwszy z nich i przesuwali dalej jak na rolkach. Mniej więcej co metr Bond wyjmował tylny i przenosił przed dziób. Stopniowo czółno przesuwało się w głąb plaży, aż minęło czarną granicę przyływu i znalazło się wśród kamieni, traw i niskich zarośli. Pchnęli je jeszcze dwadzieścia metrów wyżej, pod osłonę mangrowców. Tam zamaskowali je wyschniętymi wodorostami i wyrzuconymi z morza kawałkami drewna. Następnie Quarrel naciął liści palmowych i starannie zamiótł i wyrównał piasek, zacierając ślady.

Panowała jeszcze ciemność, ale szara poświata na wschodzie wkrótce się zaróżowi. Minęła piąta. Byli nieludzko zmęczeni. Zamienili tylko parę słów i Quarrel poszedł pomiędzy skały na cyplu. Bond wygrzebał sobie dołek w suchym piasku pod gęstym krzewem. Obok znalazł kilka krabów-pustelników. Zebrał wszystkie, które zauważył, i wyrzucił między mangrowce. Potem, nie dbając już, jakie inne zwierzęta i owady może zwabić zapach lub ciepło jego ciała, wyciągnął się jak długi na piasku z ramieniem pod głową. Zasnął natychmiast.

ROZDZIAŁ 8 ELEGANCKA WENUS

Bond obudził się i przeciągnął. Dotyk piasku przypominał mu, gdzie jest. Spojrzał na zegarek. Dziesiąta. Słońce nawet poprzez grube, okrągłe liście krzewu grzało już całkiem mocno. Przed jego oczami przemknął po nakrapianym piasku jakiś cień. Czyżby Quarrel? Bond podniósł głowę i wyjrzał przez poszarpaną zasłonę z liści i traw, która dzieliła go od plaży. Zamarł. Serce na moment przestało mu bić, a potem zaczęło walić tak mocno, że musiał wziąć parę głębokich oddechów. Usiłując przebić wzrokiem zasłonę z traw, zmrużył oczy w wąskie, gorejące szparki.

Zobaczył nagą dziewczynę, stojącą tyłem. Nie była całkiem naga. Jej talię opasywał szeroki skórzany pas, z nożem myśliwskim w pochwie wiszącej na prawym biodrze. Ten pas czynił jej nagość jeszcze bardziej podniecającą. Stała nie dalej niż pięć metrów od niego, na granicy przyływu, patrząc na coś, co trzymała w ręku. Przybrała klasyczną, swobodną pozę nagiej piękności, opierając cały ciężar ciała na prawej nodze, z lewą ugiętą w kolanie i zwróconą lekko do środka; głowę pochyliła na bok oglądając trzymane przedmioty.

Jej ciało było piękne. Skóra miała jasny kolor kawy z mlekiem i satynowy połysk. Łagodną krzywiznę pleców podkreślały głębokie wcięcia, sugerując większe umięśnienie, niż zazwyczaj spotyka się u kobiet. Pośladki jędrne i krągłe, jak u chłopca, nogi proste i piękne, a lekko uniesiona lewa pięta nie miała różowej podeszwy. Dziewczyna nie była kolorowa.

Jej włosy jasnopopielatego koloru sięgały do ramion i spływały po policzku grubymi mokrymi pasmami. Zieloną maskę do nurkowania odsunęła na czoło, a pasek z zielonej gumy przytrzymał z tyłu jej włosy. Cała scena z pustą plażą, szmaragdowoniebieskim morzem, nagą dziewczyną z pasmami jasnych włosów coś Bondowi przypominała.

Poszukał w myślach. Oczywiście. Wenus Boticellego widziana od tyłu...

Jak się tu dostała? Co tu robiła? Bond rozejrzał się i zobaczył teraz, że plaża nie jest czarna, tylko czekoladowobrązowego koloru. W prawo sięgał wzrokiem aż do ujścia rzeki oddalonego o jakieś pięćset metrów. Plaża była zupełnie pusta i goła, usiana mnóstwem małych różowych plamek, zapewne musiały to być jakieś muszelki.

Wyglądały bardzo dekoracyjnie na ciemnobrązowym piasku. Zwrócił wzrok w lewo; w odległości dwudziestu metrów wyrastały skałki małego cypla. Dostrzegł bruzdę w miejscu, gdzie ciągnięto czółno przez piasek, by je ukryć pod głazami. Musiało być

bardzo lekkie, skoro dała sobie radę sama. A może nie była sama? Ale tylko jedna para śladów prowadziła od skał do morza i druga od morza na plażę do miejsca, gdzie stała na linii przyływu. Mieszkała tutaj, czy podobnie jak oni przyplęła tej nocy z Jamajki? Niezły wyczyn dla dziewczyny. Tak czy owak, co ona tu na Boga robi? Jakby w odpowiedzi dziewczyna wyrzuciła z prawej ręki garść muszelek i rozsypała je po piasku. Były fioletoworóżowe i wyglądały jak te, które już widział. Dziewczyna zajrzała do wnętrza lewej dłoni i zaczęła sobie cichutko pogwizdywać. Brzmiała w tym szczęśliwa nuta triumfu. Gwizdała melodię pod tytułem Marian, rzewne calypso, które zostało przerobione i spopularyzowane na zachodzie. Była to jedna z ulubionych piosenek Bonda. Zaczynała się tak:

@Dzień cały, noc całą Marion siedziała

U stóp oceanu piasek przesiewała...

Dziewczyna urwała i przeciągnęła się, ziewając szeroko. Bond uśmiechnął się do siebie.

Zwilżył wargi i podjął refren:

@Z lez, które wylała - mogły powstać morza:

Z warkocza, które plotła - dwie mile powroza...

Opuściła gwałtownie ręce i skrzyżowała na piersiach.

Mięśnie na jej plecach się napięły. Słuchała, przechyliwszy w bok głowę wciąż ukrytą pod burzę włosów.

Niepewnie zaczęła znów. Jej gwizd zadrzał i urwał się. Przy pierwszym tonie powtórzonym przez Bonda, dziewczyna odwróciła się gwałtownie. Tym razem nie zakryła swej nagości dwoma klasycznymi gestami. Jedną ręką wprawdzie śmignęła w dół, ale druga, miał zasłonić piersi, powędrowała w górę do twarzy, zakrywając ją poniżej rozszerzonych ze strachu oczu.

- Kto to? - wydusiła przerażonym szeptem.

Bond wstał i wyszedł zza krzaka. Zatrzymał się na skraju trawy. Otworzył ręce, żeby pokazać, że są puste. Uśmiechnął się do niej wesoło.

- To tylko ja. Jeszcze jeden intruz na tej wyspie. Nie bój się.

Dziewczyna odsłoniła twarz. Przeniosła dłoń na nóż u pasa. Bond obserwował, jak jej palce zaciskają się na rękojeści. Potem spojrzał na jej twarz i zrozumiał, dlaczego instynktownie zakryła ją ręką. Była to piękna twarz, z szeroko rozstawionymi, ciemnobłękitnymi oczami pod firanką rzęs zbiegających od słońca. Miała szlachetnie zarysowane usta o pełnych wargach, teraz przygryzionych ze zdenerwowania. Poważna twarz o zdecydowanym zarysie podbródka - twarz dziewczyny, która potrafi dawać sobie radę. Ale raz jej się, pomyślał Bond, nie udało: miała złamany nos, przetrącony jak u boksera. Aż zeszytniał z wściekłości na to, co spotkało tę olśniewająco piękną istotę. Nic dziwnego, że tego właśnie nosa się wstydziła, a nie pięknych, jędrnych piersi, sterczących teraz w jego stronę bez żadnego okrycia. Jej oczy przewiercały go na wskroś.

- Kim pan jest? Co pan tu robi? - Mówiła z lekkim jamajskim akcentem. Jej głos był ostry i nawykły do posłuchu.

- Jestem Anglikiem. Interesuję się ptakami.

- Ach tak... - Przyjęła to z powątpiewaniem. Jej ręka nadal spoczywała na nożu. - Od jak dawna pan mnie obserwuje? Jak pan się tu dostał?

- Od dziesięciu minut, ale nic więcej nie powiem, dopóki się nie dowiem, kim ty jesteś.

- Nikim specjalnym. Przyplęłam z Jamajki. Zbieram muszelki.

- Ja dotarłem tu czólnem, a ty?

- Ja też. Gdzie jest pańskie canoe?

- Przyplęnałem z przyjacielem. Ukryliśmy je w mangrowcach.

- Nie ma żadnych śladów na piasku.

- Jesteśmy ostrożni. Zatarliśmy je. Nie to co ty. - Bond wskazał w kierunku skały. - Powinnaś zadać sobie więcej trudu. Płynęłaś pod żaglem? Aż do rafy?

- Oczywiście. Dlaczego nie? Zawsze tak robię.

- Wobec tego wiedzą, że tu jesteś. Mają radar.

- Jeszcze nigdy mnie nie złapali. - Dziewczyna zdjęła dłoń z noża. Odpięła maskę i zaczęła machać nią w powietrzu. Wyglądało na to, że wyrobiła już sobie o nim zdanie.

Kiedy znów się odezwała, jej głos zabrzmiał łagodniej; - Jak się pan nazywa?

- Bond. James Bond. A ty?

- Rider - odparła po chwili namysłu.

- A na imię?

- Honeychile.

Bond uśmiechnął się.

- Co w tym śmiesznego?

- Nic. Honeychile Rider. Piękne imię.

Rozchmurzyła się.

- Ludzie nazywają mnie "Honey".

- Miło mi panią poznać, Honey.

Ta konwencjonalna formułka przypomniała jej nagle o tym, że jest naga. Zaczerwieniła się i powiedziała niepewnie:

- Muszę się, ubrać. - Spojrzała w dół na rozrzucone pod stopami muszelki. Najwyraźniej miała ochotę je podnieść, ale zdała sobie sprawę, że taki gest mógłby ją jeszcze bardziej obnażyć niż obecna poza. Powiedziała ostro: - Proszę ich nie dotykać, jak mnie nie będzie.

Bond skwitował uśmiechem ten dziecinny zakaz.

- Nie martw się. Przypilnuję ich.

Obrzuciła go podejrzliwym wzrokiem, a potem odwróciła się i pomaszerowała sztywno do skały, za którą zniknęła.

Bond zszedł na plażę, wziął jedną z muszelek i przyjrzał się jej z bliska. Była żywa, obie połówki miała ciasno zaciśnięte. Wyglądała na jakiś rodzaj mięczaka, miała głębokie rowki i fioletoworóżowy kolor. Wzdłuż krawędzi muszli sterczały grube kolce, po parę sztuk z każdej strony. Bond nie widział w niej nic specjalnego. Odłożył ją ostrożnie na miejsce.

Stał patrząc na muszelki i zastanawiał się. Czy, naprawdę je zbierała? Wyglądało na to, że tak. Ale na jakie ryzyko się przy tam narażała - samotnie przepływała morze tam i z powrotem a na dodatek zdawała sobie sprawę z tego, że to niebezpieczne miejsce. „Jeszcze nigdy mnie nie złapali”. Co za niezwykła dziewczyna. Zrobiło mu się ciepło na sercu i poczuł podniecenie na myśl o niej. Zapomniał już - co mu się często zdarzało wobec ludzi dotkniętych jakąś ułomnością -o jej złamanym nosie. Przysłoniła go pamięć o jej oczach i ustach, i jej olśniewająco pięknym ciele. Jej władcza postawa i gotowość do ataku były podniecające. Sposób, w jaki sięgnęła po nóż, żeby się bronić! Przypominała zwierzę, którego młode są w niebezpieczeństwie. Gdzie mieszkała? Kim byli jej rodzice? Wyglądała jak ktoś, o kogo się nikt nie troszczy - jak pies, którego nikt nie chce przygarnąć. Kim mogła być?

Usłyszał jej kroki na piasku. Odwrócił się i spojrzał na nią. Była ubrana niemal w lachmany - w wyblakłą brązową koszulę z podartymi rękawami i długą do kolan, połataną bawełnianą spódnicę ściągniętą skórzanym paskiem, na którym wisiał nóż. Na ramieniu miała płócienny plecak. Wyglądała jak panienka z dobrego domu przebrana za Piętaszka.

Podeszła do niego i od razu przyklękła na jedno kolano, zbierając żywe muszle i wkładając je do plecaka.

- Czy to jakieś rzadkie okazy? - zapytał Bond.

Przykucnęła i spojrzała mu w oczy. Studiowała jego twarz. Widocznie wynik był zadowalający.

- A przyrzeka pan nie powiedzieć nikomu? Słowo?

- Przyrzekam - odparł Bond.

- No więc tak, są rzadkie. Bardzo. Za nieuszkodzony okaz można dostać pięć dolarów. W Miami. Tam nimi handluję, Nazywają się Venus elegans, Elegancka Venus. - Jej oczy błyszczały z podniecenia. - Dziś rano znalazłam to, czego szukałam. Całą ich kolonię - machnęła ręką w kierunku morza. - Ale pan jej nie znajdzie - dodała z nagłą ostrożnością. - Jest bardzo głęboko i dobrze ukryta. Nie sądzę, żeby potrafił się pan tam dostać. A poza tym - dodała z wesołą miną - i tak mam zamiar dokładnie ją dziś oczyścić. Zostaną tylko połamane, gdyby zechciał pan tutaj wrócić.

Bond roześmiał się.

- Przyrzekam, że nie ukradnę ani jednej. Naprawdę zupełnie się nie znam na muszlach. Słowo honoru.

Wstała, skończywszy zbieranie.

- A co z tymi pańskimi ptakami? Co to za gatunek? Czy też są cenne? Ja również nikomu nic nie powiem. Zajmuję się wyłącznie zbieraniem muszli.

- Nazywają się różowe warzęchy - powiedział Bond. - To coś, w rodzaju różowych bocianów z rozplaszczonym dziobem. Widziałaś je może?

- Ach, te - powiedziała pogardliwie. - Były ich tu tysiące. Ale teraz niewiele zostało. Wypłoszyli je. - Usiadła na piasku, obejmując ramionami kolana, dumna ze swojej wiedzy i teraz już pewna, że nie musi się obawiać tego mężczyzny.

Bond wyciągnął się na plaży obok niej, opierając się na łokciu. Chciał zachować beztroską atmosferę pikniku i dowiedzieć się czegoś więcej o tej dziwnej, pięknej dziewczynie. Powiedział od niechcienia:

- A więc to tak. Ale co się stało? Kto to zrobił?

Wzruszyła ramionami.

- Tutejsi. Nie wiem, kim oni są. Mieszka tu pewien Chińczyk. Zdaje się, że nie lubi ptaków. Ma smoka. Nasłał go na nie i przepłoszył. Smok spalił im gniazda. Przedtem było tu jeszcze dwóch mężczyzn, którzy mieszkali z tymi ptakami i opiekowali się nimi. Ich też wypłoszono, zabito czy coś takiego.

Wszystko to wydawało jej się całkiem naturalne. Relacjonowała fakty obojętnym tonem, patrząc w morze.

- A co z tym smokiem? - zapytał Bond. - Widziałaś go może? Jak wygląda?

- Tak, widziałam go. - Przymrużyła oczy i skrzywiła się niemiłosiernie, jakby połykała gorzkie lekarstwo. Spojrzała z przejęciem na Bondę, chcąc przekazać mu swoje odczucia. - Przyplýwałam tu już od roku, szukając muszelek i rozglądając się po okolicy. Te tutaj - wskazała na plażę - znalazłam dopiero jakiś miesiąc temu. Podczas mojej ostatniej wyprawy. Ale przedtem znalazłam mnóstwo innych niezłych okazów. Tuż przed Bożym Narodzeniem pomyślałam sobie, że zbadam rzekę. Dotarłam do samego ujścia, gdzie był obóz tych mężczyzn od ptaków. Zostało z niego tylko pobojowisko. Zrobiło się późno, więc postanowiłam tam przenocować. W środku nocy obudziłam się. Smok nadciągał i dzieliło go ode mnie zaledwie kilkadziesiąt metrów. Miał dwa wielkie świecące ślepie, długi pysk i coś w rodzaju krótkich skrzydeł oraz spiczasty ogon. Był cały czarno-złoty. - Zmarszczyła brwi, widząc minę Bondę. - W pełni księżyca ujrzałam go całkiem wyraźnie. Przeszedł obok mnie. Wydawał z siebie ryczący odgłos. Wszedł na moczary, dotarł do kępy gęstych mangrowców i po prostu stratował je, idąc dalej. Z krzaków wyłoniło się przed nim stado ptaków i wtedy nagle z jego paszczy buchnął

ogień i spalił ich całe mnóstwo, a na dokładkę wszystkie drzewa, gdzie miały gniazda. To było okropne. Najokropniejsza rzecz, jaką widziałam.

Dziewczyna pochyliła się i zajrzała Bondowi w twarz. Potem wyprostowała się i wbiła z uporem wzrok w morze.

- Widzę, że pan mi nie wierzy powiedziała gniewnym, ostrym tonem. - Jest pan jednym z tych ludzi z miasta, co to w nic nie wierzą. A niech was! - Wzdrygnęła się z niechęcią.

Bond powiedział rozsądnie:

- Honey, na świecie nie ma czegoś takiego jak smoki. Widziałeś tylko coś, co było bardzo podobne do smoka. Zastanawiam się po prostu, co to mogło być.

- A skąd pan wie, że nie ma czegoś takiego jak smoki? - Teraz ją naprawdę rozżłościł. - Nikt nie mieszka na tym krańcu wyspy. Jeden z nich mógłby się tu zachować. A w ogóle, co pan wie o zwierzętach i tym podobnych? Mieszkałam z węzami i innymi stworzeniami od dziecka. Sama. Czy widział pan kiedyś modliszkę zjadającą swojego męża po kopulacji? Widział pan tańczącą mangustę? Albo ośmiornicę? Jak długi jest język kolibra? Czy miał pan kiedyś oswojonego węża, który nosi dzwoneczek wokół szyi i dzwoni nim, żeby pana obudzić? Widział pan skorpiona, który dostał udaru słonecznego i zabił się własnym żądłem? Widział pan dywan z kwiatów w nocy pod wodą? Wie pan, że niejaki John Crow potrafi na kilometr wyczuć zdechłą jaszczurkę..?

- Dziewczyna obrzuciła go tym gradem pytań, jak pogardliwymi pchnięciami szpady. Teraz zamilkła, łapiąc oddech. Powiedziała bezradnie: - Och, pan jest tylko jednym z tych miastowych, jak cała reszta.

Bond odparł:

- Honey, posłuchaj. Dużo wiesz o tych wszystkich sprawach. Nic na to nie poradzę, że mieszkam w mieście. Też chciałbym się na tym znać, ale moje życie wygląda inaczej. Wiem za to dużo innych rzeczy, jak na przykład... - Poszukał w myślach, ale nie mógł znaleźć nic równie interesującego. Dokończył nieprzekonywająco: - Jak na przykład to, że nasz Chińczyk będzie tym razem dużo bardziej zainteresowany twoją wizytą. Tym razem będzie się starał cię stąd nie wypuścić. - Przerwał i dodał: - I mnie, jeśli już o tym mowa, też.

Odwróciła się i spojrzała na niego z ciekawością.

- O, a to dlaczego? Zresztą to nic takiego. Trzeba się tylko schować w ciągu dnia i odpluć w nocy. Wysyłał już za mną psy, a nawet samolot. Jeszcze mnie nie złapał. -

Obejrzała Bonda z nowym zainteresowaniem. - Czy to o pana mu chodzi?

- Chyba tak - przyznał Bond. - Obawiam się, że o mnie. Widzisz, zrzuciliśmy żagiel jakieś trzy kilometry od brzegu, żeby ich radar nas nie wykrył. Myślę, że Chińczyk spodziewał się mojej wizyty. Musiano zameldować mu o żaglu i z pewnością wziął twoje canoe za moje. Lepiej pójdę teraz obudzić przyjaciela i naradzimy się razem. Polubisz go. Pochodzi z Kajmanów, nazywa się Quarrel.

- Och, przykro mi, jeśli... - zaczęła dziewczyna, lecz koniec zdania zawisł w powietrzu. Przeprosiny niełatwo przychodzą komuś tak broniącemu swych racji jak ona. - W końcu skąd mogłam wiedzieć, prawda? - Zajrzała mu z niepokojem w twarz.

Bond spojrzał z uśmiechem w jej pytające, niebieskie oczy.

- Oczywiście, że nie mogłaś - zapewnił ją. - To po prostu pech, dla ciebie też. Sądzę, że niezbyt go obchodziła samotna dziewczyna zbierająca muszle. Możesz być pewna, że dobrze się przyjrżeli twoim śladom i znaleźli też to - wskazał rozrzucone muszle na plaży. - Ale ze mną to co innego. Będzie próbował mnie dostać za wszelką cenę. Boję się tylko, że i ciebie złapie przy okazji w swe sieci. No cóż - uśmiechnął się uspokajająco - zobaczymy, co powie Quarrel. Poczekaj tutaj.

Bond wstał. Obszedł cypel i rozejrzał się. Quarrel dobrze się ukrył. Znalezienie go zajęło mu całe pięć minut. Leżał w trawiastym dołku między dwoma głazami, na wpół

przykryty wyrzuconą na brzeg deską. Nadal mocno spał, z brązową głową wtuloną w ramię. Bond zagwizdał cicho i uśmiechnął się widząc, jak oczy Kajmańczyka otwierają się szeroko niczym u zwierzęcia. Quarrel zobaczył Bonda i wygramolił się z ukrycia, niemal przepraszając. Potarł twarz swoimi wielkimi rękami, jakby ją mył.

- Dzień dobry, szefie - powiedział. Zdaje się, że spałem jak kamień. Przyśniła mi się ta mała Chinka.

Bond roześmiał się.

- Ja też mam coś dla ciebie - oznajmił. Usiedli i Bond opowiedział mu o Honeychile Rider, jej muszelkach i sytuacji, w jakiej się znaleźli. - Jest już jedenasta - dodał - i musimy opracować nowy plan.

Quarrel podrapał się po głowie. Zerknął kątem oka na Bonda.

- Pewno nie zechce jej pan zostawić, żeby się martwiła sama o siebie, co, szefie? - zapytał z nadzieją w głosie. - No cóż, to nie moja sprawa... - Nagle urwał. Odwrócił głowę i zamarł bez ruchu jak pies. Podniósł rękę, prosząc o ciszę i słuchał uważnie.

Bond wstrzymał oddech. Z daleka, od wschodu, dobiegał cichy warkot. Quarrel zerwał się na równe nogi.

- Szybko, szefie - powiedział nagle. - To oni.

ROZDZIAŁ 9 O WŁOS OD ŚMIERCI

Dziesięć minut później zatoka wyglądała tak, jakby nigdy nie tknęła jej stopa ludzka. Niewielkie fale marszczyły leniwie lustrzaną taflę między rafą a lądem, po czym padały wyczerpane na czarny piach; połyskujące gdzieś na plaży różowe muszle przypominały pogubione paznokcie. Znikł stos muszli odrzuconych przez dziewczynę oraz wszelkie inne ślady bytności człowieka. Quarrel uciął kilka gałęzi mangrowca, po czym - zamiatając uważnie piasek - wycofał się tyłem w krzaki. Oczyszczony przez niego odcinek miał nieco inną fakturę, ale - dla kogoś patrzącego spoza rafy - było to niewidoczne. Łódź dziewczyny wcześniej wciągnęli pomiędzy głazy i przykryli wodorostami oraz wyrzuconymi przez fale na brzeg kawałkami drewna.

Quarrel wrócił na przylądek. Bond i dziewczyna leżeli kilka kroków od siebie pod tym samym krzakiem rdestu, pod którym Bond spędził noc, i patrzyli na kraniec cypla, gdzie spodziewali się ujrzeć wylaniającą się łódź.

Kiedy ją usłyszeli, dzieliło ją od nich około pół kilometra. Po powolnym warkocie dieslowskich silników Bond domyślił się, że załoga pilnie lustruje wszystkie zakątki wybrzeża. Sądząc po dźwięku, silniki miały potężną moc. Nadpływająca jednostka była zapewne nie tyle łodzią motorową, co kutrem. Ilu członków mogła liczyć załoga? Kto kierował poszukiwaniami? Doktor No? Mało prawdopodobne. Na pewno nie zawracalby sobie głowy zabawą w żandarma.

Od zachodu wyłonił się klucz kormoranów lecących nisko nad wodą po drugiej stronie rafy. Bond popatrzył ciekawie na ptaki. Był to pierwszy dowód istnienia kolonii kormoranów na drugim końcu wyspy. Według tego, co mówił Pleydell-Smith, te kilka ptaków, które właśnie nadfrunęły, pełniło rolę zwiadowców; wypatrywały srebrzystych grzbietów sardeli płynących tuż pod powierzchnią. I faktycznie; nagle, na oczach Bonda, ptaki zaczęły raptownie wyhamowywać i nurkować w dół, wpadając w wodę jak szrapnel. Niemal natychmiast z zachodu nadciągnął kolejny sznur ptaków, po nim następny i następny; nadlatujące kormorany zwały się w jeden długi strumień, który wkrótce przemienił się w prawdziwą rzekę i na kilka minut prawie zupełnie przysłonił horyzont. Kiedy ptaki osiadły na wodzie, pokryły obszar o powierzchni paru akrów;

skrzecząc i bijąc się między sobą, co rusz dawały nura pod wodę, pastwiąc się nad ławicą sardeli, niczym banda piranii nad końskim trupem.

Bond poczuł, że dziewczyna szturcha go w bok.

- Kuraki Chińczyka dziobią sobie ziarno - stwierdziła, wskazując głową stado.

Bond spojrzął na jej piękną, pogodną twarz. Dziewczyna sprawiała takie wrażenie, jakby zupełnie się nie przejmowała tym, że poszukuje ich kuter. Dla niej była to tylko zabawa w chowanego, w którą już przedtem bawiła się z goryłami doktora No. Bond miał nadzieję, że nie czeka jej przykra niespodzianka.

Dudniący warkot silników wzmógł się. Kuter przypuszczalnie znajdował się tuż za cyplem. Bond rozejrzał się ostatni raz po spokojnej zatoczce, potem utkwił wzrok w widocznym poprzez trawy i liście krańcu cypla.

Najpierw ukazał się zza niego tnący wodę biały dziób. Potem Bond ujrzał dziewięć metrów lśniącego pokładu, niską, oszkloną nadbudówkę o ściętym przedzie, z syreną i masztem radiowym na dachu, a dalej długą, płaską rufę i łopoczącą banderę. Był to najwyraźniej przerobiony torpedowiec, pochodzący z brytyjskiego demobilu.

Jeden mężczyzna stał za kołem, wewnątrz nadbudówki; dwaj inni znajdowali się na rufie. Bond skierował oczy w ich stronę: byli to Mulaci ubrani w spodnie i koszule barwy khaki, ściągnięte szerokimi pasami; na głowach mieli jasne słomkowe czapki z długimi daszkami. Stali obok siebie, obaj nieco pochyleni, żeby nie stracić równowagi, kiedy kutrem kołysały fale. Jeden z nich trzymał duży, czarny megafon, od którego odchodził kabel. Drugi miał przed sobą ustawiony na podpórce karabin maszynowy. Zdaniem Bonda, był to spandau.

Mężczyzna z megafonem puścił jego rączkę, pozwalając, by zwisał mu na pasku na szyi.

Przyłożył do oczu lornetkę i zaczął wolno lustrować brzeg. Mówił coś do swojego towarzysza; szmer ich głosów dolatywał Bonda, mimo miarowego warkotu silników.

Bond obserwował, jak szkła lornetki przesuwają się wzdłuż plaży, poczynając od cypla.

Na moment zatrzymały się na głazach, potem powędrowały dalej. Chwilę później cofnęły się. Nagle szmer głosów wzmógł się; mężczyzna przekazał lornetkę strzelcowi, który zerknął przez nią pospiesznie, po czym szybko zwrócił ją koledze. Pierwszy Mulat krzyknął coś do sternika. Kuter przystanął i zaczął się cofać. Wkrótce znajdował się dokładnie na wprost Bonda i dziewczyny, tyle że po drugiej stronie rafy. Mulat ponownie skierował lornetkę na głązy, pośród których ukryli łódź dziewczyny. Z kutra znów dobiegł ich jego podniecony głos; lornetkę przejął strzelec. Tym razem skinął stanowczo głową.

Koniec z nami, pomyślał Bond. Ci faceci znają się na rzeczy.

Obserwował, jak strzelec odciąga rygiel, żeby załadować karabin. Podwójny trzask dobiegł go wyraźnie nad leniwym turkotem silników.

Pierwszy Mulat podniósł megafon i włączył go. Urządzenie wydało metaliczny, świszczący jęk, który rozniósł się po wodzie. Mulat przytknął megafon do ust.

- Hej, wy tam! - zaryczał. - Jeśli zaraz wyjdziecie, nie spotka was żadna krzywda!

Mówił z amerykańskim akcentem.

- Tylko pospieszcie się, dobrze? - zaryczał znów. - Wiemy, w którym miejscu dobiliście do brzegu. Widzimy waszą łódź. Nie żartujemy. Ale bez nerwów. Wyjdźcie spokojnie z rękami w górze. Nic wam się nie stanie.

Zapanowała cisza. Tylko fale chlupały cicho zalewając plażę. Bond słyszał oddech dziewczyny. Z oddali dobiegały przytłumione skrzeki kormoranów. Silniki kutra prychały nierówno, kiedy wznoszące się fale zalewały wyloty rur wydechowych.

Bond powoli przesunął rękę w stronę dziewczyny i pociągnął ją za rękaw.

- Przysuń się - szepnął. - Będziemy tworzyć mniejszy cel.

Poczuł ciepło bijące od jej ciała i lekkie muśnięcie policzka na swoim przedramieniu.

- Zakop się w piasek - ciągnął szeptem. - Jak kret. Liczy się każdy centymetr. Sam również zaczął kurczyć i rozkurczać mięśnie, kolebiąc się z boku na bok, żeby pogłębić dołek, który wygrzebali dla siebie w piasku. Słyszał, że dziewczyna robi to samo. Potem znów spojrzął przed siebie. Teraz kuter znajdował się tuż powyżej jego linii wzroku.

Mulat znów przyłożył megafon do ust.

- Hej, wy tam, popatrzcie! - zaryczał. - Mała demonstracja, żebyście się przekonali, że to nie zabawa!

Podniósł do góry kciuk. Strzelec wycelował karabin maszynowy w wierzchołki mangrowców rosnących z tyłu plaży. Rozległ się szybki terkot; po raz ostatni Bond słyszał taki dźwięk podczas niemieckiej ofensywy w Ardenach. Odgłos świszczących nad głowami kul kojarzył mu się z furkotem spłoszonych gołębi. Potem znów zapanowała cisza.

Zobaczył, że o milę dalej kormorany wzbily się w powietrze i zaczęły krążyć niespokojnie. Skierował wzrok na łódź. Strzelec dotykał lufy karabinu, sprawdzając, czy za bardzo się nie rozgrzała. Potem powiedział coś do swojego towarzysza, który ponownie podniósł megafon.

- Jak sobie chcecie! - zawołał gniewnie. - Pamiętajcie, że was ostrzegałem. Koniec z wami!

Bond patrzył, jak ryj spandau przesuwają się i obniżają. Zrozumiał, że strzelec zamierza puścić pierwszą serię w stronę łodzi.

- Dobra, Honey - szepnął do dziewczyny. - Schyl głowę i nie ruszaj się. To długo nie potrwa.

Poczuł, jak jej dłoń zaciska się na jego ramieniu. Biedna smarkula, pomyślał. Nie wie, w co przeze mnie wdepnęła. Przesunął się nieco w prawo, żeby zasłonić sobą jej głowę, po czym wcisnął twarz głęboko w piasek.

Tym razem hałas był przeraźliwy. Kule z wyciem leciały w kierunku łądu, a odlupane kawałki skał bzycały nad plażą jak osy. Rykoszety ze świstem śmigły na wszystkie strony. Karabin maszynowy terkotał zawzięcie z siłą młota pneumatycznego.

Raptem ucichł. Gość zmienia magazynek, pomyślał Bond. Teraz kolej na nas.

Dziewczyna tuliła się do niego kurczowo. Czuł jak całym jej ciałem wstrząsają dreszcze. Wyciągnął rękę i przygarnął ją mocniej do siebie.

Karabin znów zadudnił. Kule leciały od morza prosto w stronę Bonda i dziewczyny. Tuż nad głową usłyszeli serię szybkich uderzeń i z krzaka, pod którym leżeli, posypały się liście. Łup. Łup. Łup. Zupełnie jakby ktoś smagał krzak stalowym biczem. W dół leciały drzazgi i strzępy gałęzi, powoli okrywając Bonda i dziewczynę. Wtem Bond poczuł lekkie powiew wiatru; oznaczało to, że nie mają przed sobą już żadnej osłony, czy szczątki krzaka zakrywają ich dostatecznie? Kule oddalały się wzdłuż brzegu. Kilkadziesiąt sekund później jazgot ustał.

Cisza wręcz dzwoniła w uszach. Dziewczyna popiskiwała cicho. Bond syknął, żeby zamilkła, i przytulił ją jeszcze mocniej.

- Hej, wy tam, ostały się któremuś z was uszy? - zaryczał megafon. - Niedługo zjawimy się z psami, żeby zebrać wasze resztki. Do zobaczenia!

Miarowy warkot silników wzmógł się, a moment później zawyły pełną siłą. Bond widział przez poszarpane liście jak rufa kutra nagle zanurza się głębiej w wodzie, po czym łódź z coraz większą szybkością odpływa na zachód. Po kilku minutach już jej nie słyszeli.

Bond podniósł ostrożnie głowę. W zatoczce panował spokój, na plaży nie było widać żadnych śladów po tym, co się tu przed chwilą rozegrało. Jeśli nie liczyć zapachu prochu oraz kwaśnej woni roztrzaskanych kulami skał, nic się nie zmieniło. Bond pomógł dziewczynie wstać. Oczy miała mokre od łez. Patrzyła na niego z trwogą.

- To było straszne! - zawołała przejęta. - Dlaczego to zrobili? Przecież mogli nas zabić! Zawsze musiała się troszczyć o siebie, pomyślał Bond, ale dotąd jej przeciwnikiem była przyroda. Zna świat zwierząt, owadów, ryb i umie sobie z nimi radzić. Ale to bardzo mały świat, rządony słońcem, księżycem i porami roku. Nie zna natomiast wielkiego świata zadymionych sal, gabinetów miliarderów, korytarzy i poczekalni w rządowych gmachach, niby przypadkowych spotkań na parkowych ławkach - nic nie wie o walce o prawdziwą władzę i wielkie pieniądze toczonej przez potężnych ludzi. Nie zdaje sobie sprawy, że została porwana ze swojej zacisznej zatoczki przez ogromną falę i ciśnięta na szerokie, brudne wody.

- Honey, już wszystko w porządku - rzekł. - To tylko banda wystraszonych opryszków. Boją się nas i dlatego zachowują się w taki sposób. Poradzimy sobie z nimi. - Objął ją ramieniem. - Byłaś wspaniała. Dzielną jak mało kto. Chodź, poszukamy Quarrela i zdecydujemy, co dalej. Zresztą pora coś przekąsić. Czym się zwykle żywisz podczas swoich wypraw?

Ruszyli plażą w stronę cypla. Honey odpowiedziała na pytanie Bonda dopiero po dłuższej chwili, ale głos miała już całkiem opanowany.

- Och, jedzenia jest wszędzie w bród. Choćby jeże morskie, albo dzikie banany i inne owoce. Zresztą przez dwa dni przed każdą wyprawą tylko jem i śpię. Potem nic mi nie potrzeba.

Bond przytulił ją mocniej; opuścił rękę, kiedy na tle nieba ujrzał Quarrela.

Kajmańczyk zbiegł ze skał i zatrzymał się, patrząc na coś. Kiedy podeszli bliżej, okazało się, że ogląda łódź dziewczyny, niemal dokładnie przepołowioną kulami. Honey wydała okrzyk grozy.

- Moja łódź! - zawołała, patrząc z przerażeniem na Bonda. - Jak ja teraz wrócę?

- Proszę się nie martwić, panno Honey - powiedział Quarrel, który lepiej od Bonda rozumiał, jak istotna jest utrata łodzi; domyślał się zresztą, że stanowiła główną część dobytku dziewczyny. - Szef znajdzie panią inną, a wrócić możemy razem. Mamy świetną łódź, którą ukryliśmy wśród mangrowców. Nic się jej nie stało. Sprawdziłem. - Spojrzał na Bonda; na jego twarzy odmalowało się zatroskanie. - Teraz pan widzi, szefie, co miałem na myśli. To twardzi ludzie, którzy nie przebierają w środkach. I mają psy, tak jak mówili, specjalnie tresowane doberman. Potężne bydlaki. Wiem od kumpli, że jest ich tu co najmniej dwadzieścia. Musimy więc coś wymyśleć, i to szybko.

- W porządku, Quarrel. Ale najpierw przydałoby się zjeść co nieco. Do licha, nie dam się przecież stąd przepłoszyć; muszę się rozejrzeć po wyspie. Honey pójdzie z nami. - Zwrócił się do dziewczyny. - Zgadzasz się, prawda? Z nami będziesz bezpieczna. Potem wrócimy razem na Jamajkę.

Dziewczyna spojrzała na niego niepewnie.

- Chyba nie mam wyboru. To znaczy, chętnie pójdę z wami, jeśli nie będę wam przeszkadzać. I naprawdę nie jestem głodna. Ale czy zabierzecie mnie stąd najszybciej jak to tylko będzie możliwe? Wolę już nie mieć nic wspólnego z tymi typami. Długo zamierzacie oglądać te ptaki?

- Niezbyt długo - odparł wymijająco Bond. Muszę się tylko dowiedzieć, co się z nimi stało i dlaczego. Zaraz potem możemy wracać. - Zerknął na zegarek. - Jest dwunasta. Zaczekaj tu, dobrze? Popływaj albo coś. Tylko nie chodź po plaży i nie zostawiaj śladów. A my, Quarrel, ukryjemy tymczasem jej łódź.

Skończyli dopiero o pierwszej. Najpierw załadowali łódź kamieniami, piachem i zatopili w rozlewisku pośród mangrowców. Potem wzięli się do zacierania śladów; szło im o tyle łatwo, że kule poszarpały tyle krzaków i drzew, iż niemal przez całą drogę mogli stąpać po liściach i odłamkach gałęzi. Zjedli z wielkim apetytem część zabranego prowiantu - jedynie dziewczyna przelknęła zaledwie parę kęsów - po czym w trójkę zeszli po skałach

do wody. Idąc wolno wzdłuż brzegu doszli wodą do ujścia rzeki, odległego o jakieś trzysta metrów.

Panował okropny upał. Z północnego wschodu zaczął dąć ostry, zacinający wiatr. Quarrel wyjaśnił, iż wiatr ten wieje przez okrągły rok. Był niezmiernie istotny dla eksploatacji guana, gdyż je suszył. Jaskrawy blask słońca, który odbijał się w wodzie i w gładkich zielonych liściach mangrowców, oślepił wędrujących; Bond cieszył się, że wcześniej spędził kilka dni na słońcu, inaczej bowiem spiekłby się momentalnie na raka. Przy samym ujściu rzeki znajdowała się piaszczysta mierzeja, przy której powstało głębokie, podłużne rozlewisko. Albo musieli się rozebrać, albo całkiem zamoczyć ubrania. Bond zwrócił się do dziewczyny.

- Honey, podczas tej wyprawy trzeba zapamięć o wstydzie, Quarrel i ja zostaniemy w koszulach, żeby się nie spalić, ale resztę ściągamy. Zrób, co uznasz za stosowne, i idź za nami.

Nie czekając na jej odpowiedź, obaj zdjęli spodnie. Quarrel zrolował je razem i schował do plecaka, w którym mieścił się ich prowiant oraz rewolwer Bonda. Weszli do rozlewiska: najpierw Quarrel, potem Bond, a dziewczyna za nimi. Woda sięgała Bondowi do pasa. Jakaś wielka srebrzysta ryba wyskoczyła nad powierzchnię, po czym z pluskiem znów wpadła do wody. Na tafli pojawiły się zmarszczkowane strzałki, znaczące trasę ucieczki innych spłoszonych ryb.

- Niktopletwy - powiedział Quarrel.

Rozlewisko zwężyło się, przechodząc w odnogę rzeki - tak wąską, że gałęzie porastających oba brzegi drzew stykały się ze sobą. Przez jakiś czas maszerowali tym chłodnym tunelem, aż wreszcie doszli do samej rzeki leniwie płynącej krętym korytem, z brzegów sterczały potężne, pająkowate korzenie mangrowców. Dno było tak muliste, że przy każdym kroku zapadali się kilka centymetrów. Drobne rybki lub krewetki pierzchały im spod nóg i co pewien czas musieli się schylać i strącać z siebie pijawki, zanim się mocno przyssały; poza tym jednak szło im się łatwo i wciąż znajdowali się w cieniu, co Bond uważał za prawdziwy uśmiech losu.

Kiedy tylko oddalili się nieco od morza, poczuli zapach zgniłych jaj; był to siarkowodorowy fetor gazu błotnego. Wędrowców dopadły również moskity i komary. Najbardziej smakował im Bond. Quarrel poradził mu, żeby zamoczył się w rzece.

- Lubią swoje mięsko dobrze posolone - wyjaśnił wesoło.

Bond ściągnął koszulę i usłuchał rady. Owady natychmiast przestały tak mu dokuczać. Wkrótce przyzwyczał się nawet do przykrego zapachu; przeszkadzał mu już tylko wówczas, kiedy - po niektórych stąpieniach idącego przodem Quarrela - pęcherz cuchnącego gazu wydobywał się z mułu i pękał mu tuż pod nosem.

Mangrowce stawały się coraz rzadsze i mizerniejsze, natomiast koryto rzeki coraz szersze. Na tym odcinku woda była znacznie płytsza, a dno twardsze. Kiedy minęli kolejny zakręt, wyszli nagle na otwartą przestrzeń.

- Teraz ostrożnie! - powiedziała Honey. - Tu nas mogą łatwo wypatrzeć. Półtora kilometra dalej rzeka znów się zwęża, aż do jeziora. Dalej znajduje się piaszczysta łacha, na której obozowali ci goście od ptaków.

Zatrzymali się w cieniu mangrowca i rozejrzeli dookoła. Płynąca leniwie krętymi zakolami rzeka wiodła w głąb wyspy. Brzegi, porośnięte tylko kępami rdestu i karłowatymi bambusami, nie zapewniały dostatecznej osłony. Na zachodnim brzegu łąd wznosił się, najpierw wolno, potem pod coraz bardziej ostrym kątem, przechodząc w stożkową górę, której szczyt zalegały złoża guana. U jej podstawy stało kilka baraków z blachy falistej. Po zboczu góry biegła zygzakiem w kierunku baraków wąska srebrna linia; Bond domyślił się, że to szyny kolejki wąskotorowej, którą transportowano guano na dół, gdzie przypuszczalnie znajdowały się kruszarka i sortownik. Szczyt góry był

biały, jakby pokryty śniegiem. Z samego czubka wzbijał się w górę pióropusz guanowego pyłu. Od białego tła odcinały się ciemne sylwetki kormoranów. Ptaki to przysiadaly, to podrywały się do lotu; było ich tyle, co pszczół przy ulu. Bond patrzył na połyskującą w oddali górę ptasich odchodów. Więc tak wyglądało królestwo doktora No! Bondowi przemknęło przez myśl, że nigdy jeszcze nie widział równie smętnego krajobrazu.

Zaczął lustrować przestrzeń między górą a rzeką. Z wyjątkiem kilku kęp niskich krzewów i karłowatych palm porastających miejsca, gdzie wiatr nawiał ziemię, cały obszar wypełniała jednolicie szara skała koralowa. Niewątpliwie jakaś droga czy trakt prowadziły od góry do jeziora i moczarów; inaczej trudno byłoby się tędy przedostać. Bond spostrzegł, że wszystkie rośliny pochylone są na zachód. Wyobraził sobie, jak uciążliwe musi być życie rok po roku na wyspie biczowanej bezustannie przez gorący wiatr, pośród smrodu gazu błotnego i guana. Żadna kolonia karna nie mogła mieć gorszej lokalizacji.

Popatrzył na wschód. Mangrowce porastające moczary wyglądały znacznie gościnniej. Ciągnęły się szereg za szeregiem, tworząc sztywny zielony dywan i niknąc dopiero gdzieś w mgielce nagrzanego powietrza daleko na horyzoncie. Nad nimi to unosiła się, to opadała, to znów unosiła gęsta chmura ptaków. Ostry wiatr porywał ich nieustająco skrzeki.

Z zamyślenia wyrwał Bonda głos Quarrela.

- Szefie, są już!

Bond spojrział tam, gdzie patrzył Kajmańczyk. Zobaczył potężną ciężarówkę, która pędziła od strony baraków wzbijając tumany pyłu. Śledził ją wzrokiem przez dziesięć minut, dopóki nie znikła wśród mangrowców rosnących w górze rzeki. Kiedy wyteżył słuch, po chwili dobiegło go z oddali ujadanie psów.

- Na pewno ruszą w dół rzeki - oświadczył Quarrel. - Wiedzą, że jeśli przeżyliśmy, będziemy próbować przedrzeć się właśnie tędy. Dojdą rzeką do plaży, żeby sprawdzić, co z nas zostało. A potem przyplynie kuter, spuści szalupę i zabierze na pokład ludzi oraz psy. Przynajmniej ja tak bym postąpił na ich miejscu.

- Tak właśnie zrobili, kiedy mnie szukali - stwierdziła Honey.

- Ale to nic. Wystarczy uciąć kawałek bambusa, a kiedy się zbliżą, zanurzyć się w wodzie i oddychać przez ten bambus jak przez gumową rurkę, dopóki się nie oddalą.

Bond uśmiechnął się do Quarrela.

- Dobra, utnij kilka kawałków bambusa - polecił. - A ja rozejrzę się za jakąś kępą mangrowców, przy której moglibyśmy się ukryć.

Quarrel skinął z powątpiewaniem głową, po czym ruszył w stronę gęstwiny bambusów porastających brzeg. Bond tymczasem zawrócił w kierunku mangrowcowego tunelu.

Cały czas unikał patrzenia na dziewczynę. W końcu zniecierpliwiła się.

Przestań wciąż odwracać wzrok. W takiej chwili nie można przejmować się konwenansami. Sam to mówiłeś.

Bond zatrzymał się i spojrział na nią. Jej podarta koszula sięgała do samej wody. Nieco poniżej majaczyły blade nogi. Piękna twarz dziewczyny uśmiechała się do niego. Tu, pośród mangrowców, złamany nos, który miał w sobie jakąś dzikość, idealnie pasował do otoczenia.

Bond powoli zmierzył Honey wzrokiem. Chyba zrozumiała sens tego spojrzenia. Potem odwrócił się i ruszył w dół rzeki: poszła za nim.

Trafił na to, czego szukał; na szczelinę w zwartym szeregu mangrowców, przez którą można było wcisnąć się głębiej.

- Uważaj, żeby nie złamać żadnej gałązki - powiedział.

Schylił głowę i wszedł między mangrowce. Znalazł się w odnodze rzeki i zagłębił w nią na jakieś dziesięć metrów. Miękki muł zalegający dno zapadał się pod stopami. Dalszą drogę blokowały ciasno splecione korzenie. Przed nimi było koliste rozlewisko, w którym brunatna, zmacona woda ledwo się poruszała. Bond zatrzymał się. Dziewczyna stanęła obok.

- Prawdziwa zabawa w podchody - szepnęła drżącym głosem.

- Na to wygląda - rzekł.

Myślał o swoim rewolwerze. Zastanawiał się, czy broń będzie zdadna do użytku po kąpieli w rzece i ile psów oraz ludzi zdoła nią unieszkodliwić, jeśli zostaną wykryci. Ogarnął go niepokój. Źle się złożyło, że napatoczyła się ta dziewczyna. Kiedy dochodzi do walki, dziewczyna jest twoim drugim sercem, czy ci się to podoba, czy nie. Możesz strzelać tylko do jednej tarczy; wróg ma dwie.

Poczuł pragnienie. Nabral ręką wody i podniósł do ust. Była słonawa i miała ziemisty smak, ale wydała mu się całkiem niezła. Napił się jeszcze trochę. Honey wyciągnęła dłoń, żeby powstrzymać go przed następnym łykiem.

- Nie pij zbyt wiele - poradziła. - Lepiej popłucz usta, a potem wypluj. Możesz się rozchorować.

Spojrzał na nią bez słowa i usłuchał rady.

Od strony rzeki dobiegł ich gwizd Quarrela. Bond poszedł po niego i po chwili wrócili razem. Quarrel spryskał wodą korzenie mangrowców, o które mogli się niechcący otrzeć.

- Żeby usunąć zapach - wyjaśnił krótko.

Pokazał kilka kawałków bambusa, po czym zaczął je strugać i przycinać. Bond sprawdził rewolwer i zapas amunicji. Starali się nie poruszać, stojąc w rozlewisku, aby bardziej nie zamulić wody.

Przez gęsty dach liści tylko miejscami przedzierały się plamki słońca. Krewetki delikatnie skubały ich w stopy. Stali pochyleni, w gorącej ciszy, czując, jak wzrasta w nich napięcie.

Kiedy w końcu usłyszeli szczekanie psów, powitali je niemal z ulgą.

ROZDZIAŁ 10 ŚLADY SMOKA

Oblawa posuwała się szybko w dół rzeki. Dwaj Chinonegrzy w kąpielówkach i wysokich gumowych butach musieli biec, żeby nadążyć za psami. Na nagich, spoconych klatkach piersiowych mieli kabury z bronią. Czasami pokrzykiwali coś do siebie; były to na ogół przekleństwa. Przed nimi gnała sfora dobermanów; jedne płynęły, inne skakały wielkimi susami, ujadając w podnieceniu. Złapały trop i węszyły jak oszalale; trójkątne uszy stały im sztywno po bokach gładkich łbów, spłaszczonych niczym głowy węży.

- Może to tylko jakiś cholerny krokodyl! - zawołał, przekrzykując psi jazgot, mężczyzna biegnący na czele.

W jednej ręce trzymał pejcz, którym co pewien czas strzelał niby naganiacz na polowaniu. Drugi mężczyzna zrównał się z nim.

- Mogę się założyć, że to ten pieprzony Angol! - krzyknął podekscytowanym głosem. - Pewnie skurwysyn zaczął się gdzieś wśród tych pieprzonych mangrowców. Żebyśmy tylko nie wpadli w zasadzkę!

Wyciągnął pistolet z kabury i wsunął sobie pod pachę, cały czas trzymając go za kolbę. Otwarta rzeka skończyła się; przed nimi zaczynały się mangrowce. Chinonegr idący na przedzie miał gwizdek, który sterczał mu z ust jak niedopalek cygara. Zadał w niego, wydając ostry, przenikliwy dźwięk. Psy, które rwały się do przodu, ignorując gwizd,

zaczął okładać pejczem, żeby przywołać je do porządku. Zatrzymały się, skomląc, gdyż słaby prąd wciąż znosił je nieco w dół rzeki. Z bronią w rękach mężczyźni posuwali się wolno wzdłuż korzeni magrowców.

Wtem facet idący przodem dojrzał szczelinę odkrytą przez Bonda. Chwycił za obrożę najbliższego psa i nakierował go we właściwą stronę. Pies prychnął niecierpliwie i wpłynął między mangrowce. Mężczyzna, mrużąc oczy, sprawdził dokładnie korzenie po obu stronach, żeby się przekonać, czy nie ma na nich żadnych śladów zadrapań. Człowiek i zwierzę dotarli do rozlewiska na końcu odnogi. Mężczyzna powiódł dookoła zawiedzionym wzrokiem. Chwycił psa za obrożę i zaczął się wycofywać. Ponieważ doberman opierał się zdzielił go pejczem.

Jego towarzysz wciąż czekał przy wejściu do odnogi. Kiedy mężczyzna z psem wyszedł z rozlewiska, potrząsając głową, ruszyli dalej w dół rzeki; psy wciąż gnały przodem, lecz jakby z mniejszym zapalem.

Odgłosy obławy stopniowo oddalały się, aż wreszcie zupełnie ucichły.

Przez następne pięć minut w rozlewisku panował bezruch; wreszcie na jego skraju, tuż przy korzeniach mangrowców, powoli zaczął wysuwać się w górę cienki, bambusowy peryskop. Potem wyłoniła się twarz Bonda; z mokrymi włosami opadającymi na czoło przypominał topielca. W prawej ręce, pod wodą, trzymał w pogotowiu rewolwer. Wyteżył słuch. Zalegała martwa cisza, nie było żadnych podejrzanych odgłosów. Ale czy na pewno? Czy od strony rzeki nie niósł się żaden szelest? A może jednak ktoś szedł cicho wodą w ślad za obławą? Bond wyciągnął ręce na boki i dotknął Honey i Quarrela, także zanurzonych pośród korzeni przy samym brzegu rozlewiska. Kiedy wynurzyli głowy, przyłożył palec do ust. Za późno. Quarrel charknął i odplunął. Bond skrzywił się, wskazując brodą w stronę rzeki. Wszyscy troje zaczęli nasłuchiwać. Panowała martwa cisza. Potem jednak znów rozległ się miękki szelest. Ten, kto nadchodził, najwyraźniej zamierzał sprawdzić odnogę rzeki. Szybko wetknęli w usta bambusowe rurki; trzy głowy zanurzyły się bezgłośnie.

Bond oparł głowę o muliste dno, lewą ręką zatkał nos i wydymając policzki, zacisnął wargi mocniej na rurce. Wiedział, że już raz sprawdzono rozlewisko. Wyczuł bowiem przez wodę ruchy płynącego psa. Nie zostali znaleźni. Ale czy uda im się znów? Tym razem było zbyt mało czasu, aby powolny prąd mógł znieść zmaconą przez nich wodę. Jak zareaguje napastnik, jeśli ujrzy na powierzchni brunatną plamę? Czy będzie strzelał? Dźgał nożem? W co będzie uzbrojony? Bond postanowił, że nie może ryzykować. Kiedy poczuje w pobliżu falowanie wody, poderwie się i sam zacznie strzelać, liczył, że będzie szybszy.

Na razie wciąż leżał pod wodą, wszystkimi zmysłami usiłując odgadnąć, co dzieje się na powierzchni. Miarowe oddychanie przez bambusową rurkę było istnym piekłem, a delikatne skubanie krewetek doprowadzało go do szalu. Szczęście, że nikt z ich trójki nie miał żadnych skaleczeń, gdyż przekłute skorupiaki na pewno zaczęłyby się wgryzać w rany. W duchu jednak przyznał, że pomysł dziewczyny był znakomity. Gdyby skryli się po prostu w krzakach, psy na pewno by ich dopadły.

Nagle przywarł mocniej do dna. Gumowy but stanął mu na łydce i ześlizgnął się. Czy napastnik pomyśli, że nadepnął na gałąź? Trudno było na to liczyć. Jednym szybkim ruchem Bond zerwał się na nogi, wypływając rurkę.

Przed oczami mignęło mu wielkie cielsko napastnika z wysoką uniesioną kolbą karabinu. Poderwał lewą rękę, żeby osłonić głowę; potężny cios trafił go w przedramię. Jednakże unosząc lewą rękę, równocześnie wyciągnął przed siebie prawą, w której trzymał rewolwer, i kiedy tylko dotknął lufą lśniącej klatki piersiowej przeciwnika, tuż poniżej nieowłosionego prawego sutka, pociągnął za cyngiel.

Siła wystrzału oddanego z tak bliska o mało nie zламala Bondowi nadgarstka, ale za to napastnik runął w wodę jak kłoda. Kiedy padał, Bond ujrzał ogromną wyrwę w jego boku. Gumowe buty wierzgnęły w powietrzu i twarz napastnika, o chińsko-negroidalnych rysach, wyłoniła się z wody; oczy miał wywrócone do góry, a z ociekających wodą ust, szeroko otwartych jak do krzyku, nie wydobywał się żaden dźwięk. Potem głowa na dobre zanurzyła się w wodzie; na powierzchni pozostało tylko nieco mulistej piany oraz poszerzająca się plama czerwieni, którą powoli znosił prąd. Bond otrząsnął się i odwrócił. Quarrel i dziewczyna stali za nim, oboje ociekający wodą. Quarrel uśmiechnął się od ucha do ucha, natomiast dziewczyna przyciskała do ust pięści i z przerażeniem wpatrywała się w zaczerwienioną wodę.

- Przykro mi, Honey - powiedział szybko Bond. - Nie miałem wyboru. Dopadłby nas. Musimy ruszać.

Ujął ją szorstko za ramię i wyprowadził z rozlewiska; puścił dopiero wówczas, kiedy przeszli przez mangrowcy tunel i znów znaleźli się na początku otwartego odcinka rzeki.

Nikogo więcej nie było widać. Bond spojrział na zegarek. Wskazówki zatrzymały się o trzeciej. Popatrzył w stronę słońca lśniącego na zachodniej części nieba. Wydawało mu się, że jest mniej więcej czwarta. Jaką odległość mieli jeszcze do pokonania? Nagle ogarnęło go znużenie. Wszystko zepsuł. Nawet jeśli nikt nie usłyszał wystrzału - ciało Chinonegra i mangrowce mogły stłumić dźwięk - zorientują się, że coś się stało ich kompanowi, kiedy nie zjawi się przy ujściu rzeki, gdzie - jeśli Quarrel właściwie odgadł ich zamiary - mieli się spotkać i czekać na szalupę. Czy złączą ponownie przeszukiwać rzekę, żeby go znaleźć? Mało prawdopodobne. Zanim dojdą do wniosku, że coś musiało się mu przytrafić, zapadnie mrok. Poszukiwania rozpoczną rano. Psy wkrótce znajdą trupa. I co dalej? Dziewczyna szarpnęła Bonda za rękaw.

- Najwyższy czas, żebyś mi powiedział, o co tutaj chodzi! - zawołała gniewnie. - Dlaczego wszyscy próbują się pozabijać? Kim ty jesteś? Nie wierzę w tę historyjkę o ptakach. Jak ktoś chce oglądać ptaki, nie potrzebuje rewolweru!

Bond popatrzył w jej zagniewane, szeroko rozstawione oczy.

- Bardzo mi przykro, Honey. To z mojej winy znalazłaś się w tarapatkach. Wyjaśnię ci wszystko wieczorem, kiedy dotrzemy do miejsca, gdzie na terenie rezerwatu ptaków obozowali dwaj strażnicy. Pech chciał, że zostałaś zamieszana w moje sprawy. Mam na pieńku z ludźmi, w których władaniu jest ta wyspa. A oni, jak widać, chcą mnie zabić. W tej chwili najważniejsze jest, żebyśmy wszyscy troje szybko i bezpiecznie opuścili jej brzegi. Zebrałem dość dowodów, żeby następnym razem wkroczyć frontowymi drzwiami.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Jesteś policjantem? Zamierzasz wsadzić Chińczyka do więzienia?

- Zgadłaś. - Bond uśmiechnął się do dziewczyny. - Przynajmniej jesteś po stronie prawa. A teraz powiedz mi coś. Daleko jeszcze do obozowiska strażników?

- Godzina marszu.

- Będzie się tam gdzie schować, czy znajdą nas bez trudu?

- Można tam dotrzeć tylko od strony rzeki lub jeziora. Nic nam nie grozi, chyba że wyślą za nami smoka. Woda nie jest dla niego przeszkodą; widziałam, jak pędził przez jezioro.

- Trudno. Miejmy nadzieję, że dziś boli go ogon - powiedział dyplomatycznie Bond.

Dziewczyna parsknęła gniewnie.

- Dobra, dobra, panie mądralo. Sam się przekonasz!

Quarrel z głośnym pluskiem wyłonił się z mangrowców. Trzymał karabin.

- Dodatkowa broń nigdy nie zaszkodzi. Duża szansa, że jeszcze przyjdzie nam zrobić z niej użytek. Prawda, szefie? - zapytał trochę niepewnie.

Bond wziął do ręki karabin. Był to wielostrzałowy remington, kaliber 300; taki sam, jakich używali żołnierze amerykańscy. Goryle doktora No niewątpliwie mieli sprzęt najwyższej jakości. Bond oddał broń Quarrelowi, który najwyraźniej myślał o tym samym, bo rzekł:

- To podstępna banda, szefie. Choćby gość, który skradł się za obławą na wypadek, gdybyśmy wyszli z ukrycia, kiedy miną nas psy. Ten ich cały chiński doktor to szczywana sztuka!

- Na pewno jest z niego nietuzinkowy człowiek - powiedział w zamyśleniu Bond, po czym wrzucił ramionami. - No nic, musimy iść dalej. Honey mówi, że mamy przed sobą godzinę marszu, zanim dotrzemy do obozowiska. Lepiej trzymajmy się lewego brzegu, żebyśmy byli trochę osłonięci. Mogą obserwować rzekę przez lornetkę od strony góry. Wręczył swój rewolwer Quarrelowi, który schował go do przemoczonego plecaka.

Ruszyli; Kajmańczyk szedł przodem, a Bond i Honey, ramię w ramię, za nim.

Wprawdzie bambusy i krzaki porastające brzeg chroniły ich nieco od słońca, ale gorący wiatr dał im prosto w twarz. Zmoczyli ręce i twarz wodą, żeby ochłodzić sparzoną skórę. Bond miał oczy przekrwione od silnego blasku, który szedł od wody, a w ręce, tam gdzie uderzyła go kolba karabinu, czuł nieznośny ból. Myśl o posiłku złożonym z przemoczonego chleba, sera i solonej wieprzowiny wcale nie napawała go radością. Ile godzin mogą poświęcić na sen? Ubiegłej nocy spali krótko; tej, też niewiele czasu mogą przeznaczyć na wypoczynek. A dziewczyna? W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin w ogóle nie zmrużyła oka. On i Quarrel będą musieli więc na zmianę trzymać wartę. A jutro czeka ich powolny marsz do ukrytej łodzi przez mangrowce porastające wschodnią część wyspy. To najlepsze wyjście. Nocą wsiądą do łodzi i ruszą na Jamajkę. Na myśl o przedzieraniu się kilometrami przez zwarte mangrowce, Bonda przeszły ciarki po grzbiecie. Straszna perspektywa! Brnął dalej, rozmyślał o tym, jak M określił jego obecne zadanie: "wakacje w słońcu". Wiele by dał, żeby M był tu razem z nim. Rzeka zwężała się, przechodząc w strumień wijący się między kępami bambusów. Potem jej koryto znów się rozszerzyło, tworząc grząskie, rozległe moczary, za którymi rozciągało się płytkie jezioro o powierzchni dwunastu kilometrów kwadratowych; jego pomarszczona lustrzana tafla miała szarobłękitną barwę. Jeszcze dalej widać było połyskujący w słońcu pas startowy i jeden błyszczący hangar. Dziewczyna powiedziała, że lepiej się trzymać wschodniej strony; nadal posuwali się wolno wzdłuż nadbrzeżnych zarośli.

Nagle Quarrel zatrzymał się niby pies myśliwski, wpatrzony w grząską ziemię pod stopami. Zobaczyli dwa głębokie, równoległe wyżłobienia odcisnięte w podmokłym gruncie; rozdzielało je trzecie, nieco mniej wyraźne. Ślady ciągnęły się od strony góry przez moczary w kierunku jeziora.

- To ślady smoka - oznajmiła obojętnie dziewczyna.

Quarrel łypnął na nią okiem.

Bond przeszedł powoli kilka kroków wzdłuż śladów. Zewnętrzne wyżłobienia były całkiem gładkie, lecz nieco zaokrąglone. Mogły je pozostawić opony, ale jeśli tak, to musiały być ogromne: wyżłobienia dochodziły do ponad pół metra szerokości. Środkowe miało ten kształt, co dwa zewnętrzne, ale mierzyło zaledwie siedem centymetrów; mniej więcej tyle, ile opona motocyklowa. Zdziwiło go, że opony najwyraźniej nie miały bieżnikowania. Ślady były świeże. Ciągnęły się przez moczary w zupełnie prostej linii; krzaki znajdujące się na ich drodze leżały zgniecione, jakby przetoczył się po nich czołg. Bond nie umiał odgadnąć, jaki pojazd - jeśli w ogóle był to pojazd - zostawia takie koleiny.

Dziewczyna szturchnęła Bonda łokciem.

- A widzisz? - szepnęła z zaciętrzewieniem.

- Miałaś rację, Honey - odparł w zamyśleniu. - Jeśli to nawet nie smok, pojęcia nie mam, co to takiego!

Kawałek dalej pociągnęła go nagle za rękaw.

- Spójrz! - szepnęła.

Wskazała na sporą kępę krzaków, obok której biegły wyżłobienia. Krzaki były osmalone i bezlistne. Między nimi widniały zwęglone resztki ptasich gniazd.

- Zionął na nie ogniem! - wyjaśniła podniecona. Bond podszedł do krzaków i obejrzał je z bliska.

- Faktycznie - przyznał.

Ale dlaczego spalono akurat tę kępę krzaków? Wydało mu się to wszystko dziwne.

Wyżłobienia skręciły w stronę jeziora i znikły w wodzie. Bond miał ochotę ruszyć ich tropem, ale rezygnowanie z osłony, jaką dawało sitowie, byłoby głupotą. Zaczęli wlec się wolno dalej, każdy pogrążony w swoich myślach.

Dzień zaczynał powoli dogasać za górą pokrytą pokładami guana; wreszcie Honey wyciągnęła przed siebie dłoń, wskazując poprzez sitowie piaszczystą łachę wrzynającą się w taflę jeziora. Jej grzbiet porastały gęsto kępy rdestu, a w połowie długości, mniej więcej sto metrów od brzegu, znajdowały się resztki krytego sitowiem szalasu. Było to całkiem przyjemne miejsce na nocleg, a także dość bezpieczne, gdyż z trzech stron otaczała je woda. Wiatr ucichł, a gładkie jezioro wyglądało kusząco. Po wielu godzinach brodzenia w rzece, zapadania się w mule, wdychania fetoru błota i moczarów, marzyli o tym, by wreszcie zrzucić brudne koszule, wykapać się w jeziorze, a potem wyciągnąć się na twardym, czystym piasku.

Słońce zaśniło żółtym blaskiem i znikło za górą. Jego promienie migotały jeszcze na wschodnim krańcu wyspy, ale czarny cień góry sunący wolno przez jezioro wkrótce i tam miał dotrzeć i zgasić ostatnią iskrę dnia. Odezwały się żaby, znacznie głośniejsze niż te na Jamajce - aż wreszcie w głębokim zmierzchu nie słyszano się nic, oprócz ich ostrych głosów. Po drugiej stronie jeziora odezwała się ogromna ropucha; jej dudniący głos brzmiał jak coś pośredniego między biciem tam-tamu a rykiem goryla. Wysyłała krótkie, jakby w połowie urwane sygnały. Wkrótce umilkła; pewnie doczekała się reakcji, o jaką jej chodziło.

Dotarli do początku lachy i zaczęli iść gęsiego po wąskiej ścieżce między kępami krzaków. W końcu wyszli na otwartą przestrzeń, na środku której stały resztki krytego sitowiem szalasu. Wielkie tajemnicze wyżłobienia przecinały łachę; krzaki leżały pomiażdżone, jakby rzeczywiście przebiegł tędy smok, i stratował wszystko na swej drodze. Wiele krzaków było zwęglonych lub osmalonych. Wokół resztek paleniska zbudowanego z kawałków koralowej skały wałały się garnki i puste puszk. Quarrel, poszperawszy chwilę po obozowisku, trafił na kilka puszek fasoli z wołowiną.

Dziewczyna odkryła zmięty śpiwór. Bond znalazł skórzaną portmonetkę, a w niej pięć banknotów jednodolarowych, trzy jamajskie funty, oraz nieco bilonu. Nie uległo wątpliwości, że dwaj strażnicy rezerwatu uciekali w popłochu.

Bond, Quarrel i dziewczyna przenieśli się nieco dalej, na niewielką wydłużoną. Poprzez krzaki widzieli światła migoczące u podnóża góry, jakieś trzy kilometry od nich. Na wschodzie nie było widać nic oprócz połyskującej w zapadającym mroku ciemnej tafli jeziora.

- Jeśli nie będziemy rozpalać ognia, nikt nie powinien nas dostrzec - powiedział Bond. - Przede wszystkim mam ochotę się wykapać. Honey, my wykapiemy się przy ścieżce, a ty kąp się, gdzie chcesz. Spotkamy się za pół godziny, na kolacji.

- Czy obowiązują stroje wieczorowe? - spytała z uśmiechem.

- Prawie - odparł Bond. - My dwaj włożymy spodnie.

- Szeffie, póki jest jeszcze światło, wezmę się do otwierania puszek i przygotowania noclegu - powiedział Quarrel, grzebiąc w plecaku. - Oto spodnie i rewolwer. Chleb nieco rozmiękl, ale poza tym jest w porządku. Można go jeść. Albo zostawić do rana, żeby obsechl. Lepiej zjedźmy dziś konserwy, natomiast ser i wieprzowinę zostawmy na jutro. Czeka nas długi marsz, a konserwy ważą swoje.

- W porządku, Quarrel - rzekł Bond. - Zdaję się na ciebie w sprawach jadłospisu. Wziął rewolwer, wilgotne spodnie i ruszył skrajem jeziora na początek łąchy. Rzucił koszulę na suchy, twardy piach, wszedł do wody i położył się. Woda była przyjemna, choć nagrzana od słońca. Nabierając garście piasku, wyszorował się nim dokładnie, po czym wyciągnął się na plecach i leżał tak, rozkoszując się ciszą i samotnością. Na niebie ukazały się blade gwiazdy, te same, które towarzyszyły im w drodze wczoraj i rok temu; te same, które wskażą im drogę jutro lub za rok. Ale wyprawa! Na szczęście znalazł to, czego szukał. Miał dowody, miał świadków, mógł wrócić do gubernatora i zażądać, żeby działalność doktora No stała się przedmiotem prawdziwego dochodzenia. Nie strzela się do ludzi z karabinu maszynowego tylko dlatego, że lądują bez pozwolenia. Przecież zagadkowy pojazd doktora No też wtargnął bezprawnie na tereny dzierżawione przez Towarzystwo Ornitologiczne Audubona, a ponadto zniszczył ich własność i prawdopodobnie zabił jednego ze strażników. Zresztą, co to był za pojazd? To również należałoby zbadać. Zastanawiał się, co jeszcze znajdzie, kiedy wróci na wyspę frontowymi drzwiami, może na pokładzie niszczyciela i z oddziałem piechoty morskiej. Na czym polega tajemnica doktora No? Co ukrywa? Czego się obawia? Dlaczego gotów jest mordować, żeby ustrzec wyspę przed wzrokiem ciekawskich? Kim w ogóle jest ów doktor No?

Na prawo od siebie usłyszał pluskanie. Pomyślał o dziewczynie. No a kim jest Honeychile Rider? Przynajmniej na to pytanie powinien uzyskać odpowiedź jeszcze tego wieczoru, pomyślał wychodząc z wody.

Wciągnął wilgotne spodnie, usiadł na piasku i zaczął rozkładać rewolwer. Robił to po omacku. Każdą część i naboje wycierał koszulą, żeby je dokładnie wysuszyć. Potem złożył broń z powrotem i nacisnął kilkakrotnie na cyngiel, żeby pusty bębenek wykonał pełen obrót. Wydawane dźwięki brzmiały zupełnie normalnie. Rdza miała prawo pojawić się dopiero po wielu dniach. Załadował naboje, po czym wetknął rewolwer do kabury umieszczonej pod paskiem spodni, wstał z piachu i ruszył w stronę wydmy. Cień Honey wziął go za rękę i pociągnął w dół, zmuszając, żeby usiadł obok.

- Dobrze, że wreszcie się zjawileś - powiedziała. - Jestem głodna jak wilk. Wzięłam jeden z garnków i porządnie wymyłam. Wrzuciliśmy do niego fasolę z wołowiną. Na każdego przypadają dwie garście fasoli i spory kawałek chleba. Ponieważ nigdy jeszcze tak się nie namęczyłam dla kawałka chleba, uważam, że mogę was objadać bez żadnych skrupułów. Daj rękę.

Bond uśmiechnął się, słysząc ten zdecydowany ton. W mroku ledwo widział sylwetkę dziewczyny. Włosy chyba miała mokre, bo przylegały jej do głowy. Ciekaw był, jak wyglądają, kiedy są suche i rozczesane. I jak prezentowałyby się, gdyby jej piękne złociste ciało odziać w czystą suknię? Próbował sobie ją wyobrazić wchodzącą do pokoju lub idącą przez trawnik na plantacji Beau Desert. Piękne brzydkie kaczątko. Dlaczego nie nastawi sobie złamanego nosa? Nie jest to przecież skomplikowany zabieg. Byłaby wówczas najpiękniejszą dziewczyną na Jamajce.

Dotknęła jego ramienia. Wyciągnął rękę i położył ją dziewczynie na kolanie, dłonią do góry. Honey ujęła ją i po chwili napelniła lepką, zimną fasolą.

Nagle Bond poczuł zwierzęce ciepło bijące od ciała Honey. Jej zapach był tak zmysłowy, że na moment oparł się o nią i zamknął oczy.

Zaśmiała się krótko; w jej głosie brzmiała nieśmiałość, zadowolenie, a także czułość.

- Jedz, jedz - powiedziała macierzyńskim tonem, podsuwając mu pod nos jego własną dłoń wypełnioną strawą.

ROZDZIAŁ 11 POŚRÓD NIEPRZYJAZNEJ TRZCINY

Pewnie dochodzi ósma, pomyślał Bond. Jeśli nie liczyć ciągłego kumkania żab, panowała idealna cisza. Na drugim końcu wydmy majaczyła ciemna sylwetka Quarrela, który rozmontował remingtona i teraz go czyścił; co jakiś czas rozlegały się przytłumione, metaliczne trzaski.

Odległe żółte światła zabudowań kopalni guana przedzierały się przez krzewy i połyskiwały wesoło na wodzie. Przykry wiatr ucichł, a mrok skrył odrażający krajobraz. Zrobiło się trochę chłodniej, ale ubranie Bonda zdążyło już całkiem wyschnąć. Zresztą trzy solidne porcje fasoli rozgrzały go od środka. Wrócił mu dobry nastrój; czuł się rozleniwiony, trochę senny. Dzień jutrzejszy wydawał się jeszcze bardzo odległy, a poza tym jedyną przykrą rzeczą, jaką miał przynieść, był wysiłek fizyczny. Życie znów wydało się Bondowi łatwe i przyjemne.

Honey leżała obok niego w znalezionym śpiworze. Leżała na wznak, z rękami pod głową, wpatrzona w rozgwieżdżone niebo.

- James - powiedziała nagle - obiecałeś, że mi wytłumaczysz, o co tutaj chodzi. No, mów. Nie zasnę, dopóki się wszystkiego nie dowiem.

Bond parsknął śmiechem.

- Dobrze, ale najpierw ty opowiedz mi o sobie. Też nie zasnę, dopóki nie dowiem się wszystkiego.

- Mogę ci opowiedzieć. Nie mam nic do ukrycia. Ale ty pierwszy.

- Zgoda. - Bond podciągnął kolana pod brodę i otoczył je ramieniem. - Więc tak. Jestem czymś w rodzaju policjanta. Jeśli gdzieś na świecie dzieje się coś podejrzanego, a na miejscu nie ma nikogo, kto mógłby się tym zająć, wysyłają mnie. Nie tak dawno temu jeden z urzędników gubernatora Jamajki, człowiek nazwiskiem Strangways, mój przyjaciel, znikł nagle bez śladu. Znikła również jego sekretarka, całkiem ładna dziewczyna. Prawie wszyscy zaczęli podejrzewać, że uciekli gdzieś razem. Ja jednak byłem innego zdania...

Bond opowiedział całą historię najprościej jak umiał, dzieląc postacie na dobre i złe, jak w bajce.

- Więc rozumiesz teraz, Honey, dlaczego chodzi już tylko o to, abyśmy jutro w nocy wrócili razem na Jamajkę, w trójkę w naszej łodzi, i opowiedzieli o wszystkim gubernatorowi. Kiedy nas wysłucha, przyśle na wyspę żołnierzy i Chińczyk będzie musiał się ze wszystkiego tłumaczyć. Sądzę, że pójdzie siedzieć. On również o tym wie i dlatego próbuje mi przeszkodzić. To wszystko. A teraz twoja kolej.

- Prowadzisz życie pełne przygód - westchnęła. - Ale twoja żona na pewno się nie cieszy, że tyle czasu spędzasz poza domem. I martwi się o ciebie.

- Nie jestem żonaty. Jedyny człowiek, który martwi się o mnie to mój agent ubezpieczeniowy.

- Ale pewnie masz mnóstwo dziewczyn... - Próbowała dalej ciągnąć go za język.

- Nikogo stałego.

- Aha.

Zamilkli. Podeszedł do nich Quarrel.

- Szeffie, mogę pierwszy stać na warcie. Gdzieś tam na początku lachy. Obudzę pana około północy. Pan dopilnuje do piątej, a potem ruszymy w drogę. Lepiej oddalić się z stąd, zanim nastanie dzień.

- W porządku - zgodził się Bond. - Zbudź mnie, jeśli zobaczysz coś podejrzanego. Karabin działa?

- No jasne - odparł z zadowoleniem Quarrel, po czym zwrócił się do dziewczyny: - Milej nocy, panno Honey!

Zabrzmiało to tak, jakby coś insynuował. Chwilę później rozpląnął się w mroku.

- Fajny gość - powiedziała dziewczyna, a potem spytała: - Naprawdę chcesz się czegoś o mnie dowiedzieć? Nie będzie to taka ciekawa historia, jak twoja.

- Oczywiście, że chcę! I nic nie pomijaj.

- Nie ma czego pomijać. Historia mojego życia zmieściłaby się na karcie pocztowej. Po pierwsze nigdy nie byłam poza Jamajką. Po drugie, całe życie spędziłam na plantacji pod nazwą Beau Desert na północnym wybrzeżu blisko Zatoki Morgana.

Bond roześmiał się.

- Ale zbieg okoliczności! Ja również. Może nie całe życie, ale przynajmniej kilka ostatnich dni. Ani razu cię tam nie widziałem. Mieszkasz na drzewie?

- Pewnie wynajęłaś domek na plaży, prawda? A ja nawet się do niego nie zbliżam. Mieszkam w rezydencji.

- Przecież to ruina! Ruina pośród pól trzciny cukrowej!

- Mieszkam tam w piwnicy, odkąd skończyłam pięć lat. Dom się spalił, moi rodzice zginęli. Nie współczuj mi, bo w ogóle ich nie pamiętam. Na początku mieszkałam wspólnie z moją czarną nianią. Umarła, kiedy miałam piętnaście lat. Przez ostatnie pięć lat mieszkam sama.

- O Boże! - zawołał Bond, wstrząśnięty. - Czy nikt nie mógł się tobą zaopiekować? Czy rodzice nie zostawili ci żadnych pieniędzy?

- Ani pensa - odparła dziewczyna głosem, w którym nie było gorczy; jeśli cokolwiek dawało się z niego wyczytać, to wyłącznie dumę. - Riderowie to stara, jamajska rodzina. Pierwszy Rider otrzymał nadanie Beau Desert od Cromwella za to, że był jednym z tych, którzy podpisali wyrok śmierci na Karola I. To on postawił rezydencję, gdzie potem mieszkali kolejno wszyscy moi przodkowie. Później jednak ceny cukru nagle spadły, a ponieważ plantacja nie była mądrze zarządzana, jedyne, co mój ojciec odziedziczył, to długie hipoteczne i inne zobowiązania. Po śmierci rodziców plantację sprzedano. Mnie to nie robiło różnicy. Byłam przecież małym dzieckiem. Niania zachowała się cudownie. Pastor i prawnicy chcieli, żeby mnie ktoś adoptował, ale niania pozbierała do kupy resztki mebli, które nie spłonęły w pożarze, i zamieszkałyśmy razem w ruinach. Po pewnym czasie przestano nas nachodzić i odtąd miałyśmy spokój. Niania dorabiała szyciem i praniem w wiosce, hodowała banany i inne owoce... tuż obok rezydencji rośnie wspaniałe drzewo chlebowe. Jadłyśmy to, co jedzą Jamajczycy. Wszędzie dookoła nas była trzcina cukrowa, niania zrobiła więcierz, który codziennie chodziłyśmy sprawdzać. Nie było nam źle. Jedzenia nigdy nie brakowało. Niania nawet nauczyła mnie czytać i pisać. Z pożaru ostał się cały stos starych książek. Nawet wielotomowa encyklopedia. Zaczęłam ją czytać od litery "A", kiedy miałam osiem lat. Doszłam już do połowy "T". Mogę się założyć - rzuciła buńczucznie - że o wielu rzeczach wiem więcej od ciebie.

- Na pewno. - Bond miał przed oczami obraz małej, jasnowłosej dziewczynki pętającej się po ruinach pod baczynym okiem sędziwej Murzynki, która zagania ją do czytania książek równie zagadkowych dla nich obu. - Twoja niania musiała być niezwykłą kobietą.

- Była wspaniała! - stwierdziła z przekonaniem Honey. - Kiedy umarła, myślałam, że też umrę. Od tego czasu życie przestało być takie przyjemne. Przedtem żyłam jak dziecko. A tu nagle musiałam wy dorosnąć i sama się o wszystko troszczyć. Różni mężczyźni próbowali mnie złapać i zrobić mi krzywdę. Mówili, że chcą się ze mną kochać. - Urwała. - Byłam wtedy ładna.

- Jesteś jedną z najpiękniejszych dziewcząt, jakie kiedykolwiek widziałem - powiedział z powagą Bond.

- Z takim nosem? Nie bądź głupi!

- Nie rozumiesz. - Szukał odpowiednich słów, żeby ją przekonać. - Każdy oczywiście widzi, że masz złamany nos. Ale ja sam już dawno przestałem to zauważać. Kiedy się na kogoś patrzy, patrzy się na jego oczy, usta. To one nadają twarzy wyraz. Złamany nos nie jest czymś gorszym niż odstające uszy. Nosy i uszy to tylko dodatki. Bywają ładniejsze i brzydsze, ale nie one stanowią o urodzie. Są jakby na drugim planie. Gdybyś miała nos równie piękny jak całą resztę, byłabyś najpiękniejszą dziewczyną na Jamajce.

- Mówisz poważnie? - zapytała przejęta. - Naprawdę myślisz, że mogłabym być piękna? Czasami wydaje mi się, że wyglądam całkiem nieźle, ale kiedy spojrzę do lustra, nie widzę nic oprócz złamanego nosa. Pewnie to samo czują wszyscy ci, których... których dotknęło jakieś kalectwo.

- To żadne kalectwo! - Zniecierpliwił się Bond. - Nie gadaj bzdur. Zresztą, wystarczy prosty zabieg. Jeśli polecisz do Ameryki, po tygodniu będzie po wszystkim.

- A niby za co mam lecieć? - spytała gniewnie. - W piwnicy, pod cegłą, mam piętnaście funtów. Prócz tego mam trzy spódnice, trzy koszule, nóż i więcierz. Wiem wszystko o tych zabiegach plastycznych. Lekarz w Port Maria zdobył dla mnie informacje. To miły człowiek. Napisał do Ameryki. Czy wiesz, że samo zoperowanie nosa kosztuje około pięćset funtów? A do tego dochodzą koszty biletu z Kingston do Nowego Jorku, pobytu w szpitalu i tak dalej!

- Jej głos posmutniał. - Skąd ja mam wziąć taką ilość pieniędzy?

Bond postanowił już, co zrobi w tej sprawie. Na razie jednak powiedział tylko:

- Na pewno znajdzie się jakiś sposób. Ale mów dalej. To bardzo niezwykła historia, znacznie ciekawsza od mojej. Stałaś na tym, że umarła niania. Co działo się później? Dziewczyna z pewnym ociąganiem podjęła opowieść.

- Trzeba było mi nie przerywać. I nie powinieneś wypowiadać się o sprawach, na których się nie znasz. Zapewne wszyscy wkoło powtarzają ci, że jesteś przystojny. Podejrzewam, że masz tyle dziewcząt, ile chcesz. Jednakże twoje życie wyglądałoby zupełnie inaczej, gdybyś miał zezę, zajęczą wargę czy coś w tym rodzaju. Wiesz co? - W jej głosie znów zabrzmiała weselsza nuta. - Po powrocie na plantację poproszę czarownika, żeby rzucił na ciebie taki urok, by twoja twarz zrobiła się szpetna! Wtedy będziemy bardziej do siebie podobni - dodała smętnym tonem.

Bond wyciągnął rękę i dotknął ramienia dziewczyny.

- Mam inny pomysł - rzekł. - Ale mów dalej. Chcę znać dalszy ciąg.

- No więc... - Honey westchnęła. - Muszę się znów cofnąć w czasie. Ruiny stoją dokładnie pośrodku plantacji trzciny cukrowej. Dwa razy do roku trzcina zostaje ścięta i wysłana do tłoczarni. Kiedy rozpoczyna się okres cięcia trzciny, wszystkie zwierzęta i owady, które dotąd w niej żyły, wpadają w popłoch. Ich legowiska i gniazda ulegają zniszczeniu, większość zwierząt ginie. Kiedyś kilka najodważniejszych skryło się w ruinach. Niania z początku strasznie się ich bała, tych wszystkich mangust, skorpionów, węży, ale ja urządziłam dla nich jakby hotel w kilku pomieszczeniach piwnicznych. Nie bałam się zwierząt, a one nigdy nie wyrządziły mi żadnej krzywdy. Rozumiały, że się nimi opiekuję. Jakoś powiadomiły o tym swoich pobratymców, bo wkrótce ilekroć zbliżała się pora ścinania trzciny, przenosiły się całymi stadami do wydzielonych piwnic i mieszkały tam, dopóki trzcina nie odrosła. Wtedy opuszczały piwnicę i wracały na pola. Kiedy przenosiły się do nas, karmiłam je, czym się dało, a one zachowywały się bardzo grzecznie, tylko czasem wybuchały między nimi bójki, no i trochę śmierdziało. Mogłam robić z nimi co chciałam, również z ich potomstwem, były całkiem oswojone. A robotnicy ścinający trzcinę, kiedy widzieli mnie chodzącą z węzami wokół szyi, myśleli,

że jestem czarownicą, bali się mnie, i dlatego nigdy nie miałyśmy z nimi żadnych kłopotów.

Na moment umilkła, po czym ciągnęła dalej:

- Dużo się wtedy nauczyłam o zwierzętach i owadach. Wiele godzin spędziłam też w morzu, poznając życie jego mieszkańców. Poznałam również życie ptaków. Jeśli się wie, co lubią jeść, a czego się boją, i jeśli spędza się z nimi sporo czasu, można się zaprzyjaźnić. - Spojrzała na Bonda. - Dużo tracisz, nie wiedząc nic o ich świecie.

- Masz rację - przyznał. - Pewnie są znacznie miłsze i bardziej interesujące od ludzi.

- Nie wiem - odpowiedziała po krótkim namyśle. - Nie znam zbyt wielu ludzi. Większość tych, z którymi się zetknęłam, byli obrzydliwi. Ale pewnie ludzie też mogą być interesujący. Nigdy nie myślałam, że można lubić ludzi tak bardzo jak zwierzęta.

Oczywiście, strasznie lubiłam nianię, a teraz... - Urwała i roześmiała się zażenowana. -

W każdym razie żyłyśmy sobie szczęśliwie, a potem kiedy miałam piętnaście lat niania umarła i wszystko się zmieniło. Był taki jeden facet, nazywał się Mander. Okropny człowiek. Biały nadzorca, wynajęty przez ludzi, którzy kupili plantację. Wciąż mnie nachodził. Nalegał, żebym przeprowadziła się do jego domu pod Port Maria. Nie cierpiałam go i chowałam się, ilekroć jechał na koniu przez trzcinę. Pewnej nocy przyszedł na piechotę. Nie słyszałam go. Był pijany. Wszedł do piwnicy i zaczęliśmy się szamotać, bo nie chciałam pozwolić, żeby zrobił ze mną to, co zamierzał. Wiesz, to co robią ludzie, którzy się kochają.

- Wiem.

- Próbowałam dźgnąć go nożem, ale on był bardzo silny. Uderzył mnie w twarz tak mocno, że złamał mi nos. Straciłam przytomność i upadłam. Wtedy zrobił ze mną to, o co mu chodziło. Wiem o tym. Nazajutrz, kiedy zobaczyłam swoją twarz i zorientowałam się, co zaszło, chciałam się zabić. Bałam się, że jestem w ciąży. Prędzej bym się zabiła, niż urodziła dziecko tego faceta. Ale na szczęście nie byłam w ciąży. Poszłam do lekarza. Opatrzył mi nos i nawet nie wziął ode mnie pieniędzy. O tym, co Mander mi jeszcze zrobił, nie wspomniałam ani słowem, bo za bardzo się wstydziłam. Nadzorca więcej się nie pojawił. Postanowiłam poczekać do następnych zbiorów trzciny. Obmyśliłam plan. W czasie zbiorów chroniły się w ruinach ogromne pająki zwane "czarnymi wdowami". Pewnego dnia pojawiły się. Złapałam największą samicę i zamknęłam w pudełku, nie dając jej nic do jedzenia. Samice są najgorsze. Potem czekałam na ciemną, bezksiężycową noc. Wówczas wzięłam pudełko z czarną wdową i szłam, i szłam, aż w końcu dotarłam do domu nadzorcy. Było bardzo ciemno; bałam się, że spotkam złe duchy, ale na żadne się nie natknęłam. Zaczaiłam się pośród krzaków w ogrodzie i czekałam, aż nadzorca położy się spać. Wtedy wspierałam się po drzewie na balkon. Kiedy w sypialni rozległo się chrapanie, weszłam do środka. Spał na łóżku nago, zasłonięty moskitierą. Podniosłam ją, otworzyłam pudełko i strząsnęłam mu pająka na brzuch. Potem wróciłam do domu.

- O Boże! - zawołał z przejęciem Bond. - No i co?

- Umierał przez tydzień - wyjaśniła z zadowoleniem. - Musiał potwornie cierpieć. Zawsze tak jest po ukąszeniu czarnej wdowy. Czarownik mówił, że nie ma gorszej śmierci.

Umilkła. A ponieważ Bond nic nie mówił, po chwili spytała z niepokojem:

- Sądzisz, że źle postąpiłam?

- Byleby ci to tylko nie weszło w krew - odparł wymijająco Bond. - Ale biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, trudno mieć ci za złe ten postępek. I co było potem?

- Dalej wszystko toczyło się już normalnie. - Musiałam sama zdobywać jedzenie, a cały czas myślałam o tym, jak zarobić pieniądze na operację nosa. Bo niegdyś był to naprawdę ładny nos - dodała takim tonem, jakby bardzo chciała, żebym jej uwierzył. - Myślisz, że po operacji będzie wyglądał tak samo jak poprzednio?

- Chirurdzy nadadzą mu dokładnie taki kształt, jaki sobie zażyczysz - stwierdził z przekonaniem Bond. - I co, zaczęłaś zarabiać?

- Tak. Pomysł podsunęła mi encyklopedia. Wyczytałam, że ludzie kolekcjonują muszle. Najpierw porozmawiałam z miejscowym nauczycielem, oczywiście nie zdradzając mu, o co chodzi, a on dowiedział się dla mnie, że w Ameryce wychodzi specjalne pismo dla zbieraczy muszli. Nazywa się "Nautilus". Miałam akurat dość pieniędzy, żeby opłacić prenumeratę. Ludzie, którzy potrzebują jakichś konkretnych muszli, zamieszczają w piśmie ogłoszenia. Zaczęłam szukać tych muszli. Potem napisałam do pośrednika w Miami; zaczął ode mnie kupować. Ogromnie się wtedy ucieszyłam. Oczywiście na początku popełniałam straszne pomyłki. Myślałam, że ludzie chcą mieć te najpiękniejsze muszle, a wcale tak nie jest. Często chcą najbrzydsze. Kiedy znajdowałam rzadkie okazy, czyściłam je i polerowałam, żeby ładniej wyglądały. To też był błąd. Zbieracze chcą mieć muszle dokładnie w takim stanie, w jakim je się wydobywa z morza, wraz z mięczakami, małżami czy ślimakami w środku. Więc poprosiłam lekarza o formalinę, którą wlewam do muszli, żeby nie zepsuły się w drodze, i wysyłam je do pośrednika w Miami. Dopiero przed rokiem nauczyłam się właściwie wszystko robić, a już zarobiłam piętnaście funtów. Wyliczyłam sobie, że teraz, kiedy już wiem, na czym polega moje zadanie, to jeśli dopisze mi szczęście, powinnam dostawać rocznie ponad pięćdziesiąt funtów. W tym tempie za dziesięć lat będę mogła polecieć do Ameryki i zrobić sobie operację. Potem jednak los naprawdę się do mnie uśmiechnął! - Roześmiała się podniecona. - Przyplłynęłam na Grab Key. Byłam tu już kiedyś wcześniej, ale tym razem, tuż przed świętami Bożego Narodzenia, znalazłam kilka szkarłatników. Nie wydały mi się specjalnie interesujące, ale wysłałam jedną czy dwie muszle do Miami. Pośrednik zaraz mi odpisał, że kupi wszystkie, jakie znajdę, płacąc po pięć dolarów za każdą nie uszkodzoną sztukę. Ostrzegł mnie tylko, żebym nikomu nie mówiła, gdzie je znalazłam, bo jeśli inni też zaczną je wydobywać i zasypią nimi rynek, cena od razu spadnie. Więc czuję się tak, jakbym miała własną kopalnię złota. Teraz wystarczy mi pięć lat, żeby zebrać pieniądze. Dlatego byłam podejrzliwa, kiedy zobaczyłam cię na mojej plaży. Sądziłam, że przyplynałeś kraść moje muszle.

- Dla mnie twój widok też był zaskoczeniem. Pomyślałem, że jesteś narzeczoną doktora No.

- Dziękuję ci bardzo.

- A co zamierzasz robić po operacji? Przecież nie możesz spędzić całego życia w piwnicy.

- Postanowiłam, że będę kurtyzaną.

Powiedziała to takim tonem, jakby informowała Bonda, że chce zostać pielęgniarką lub sekretarką.

- To znaczy kim? - spytał przekonany, że dziewczyna powtarza zasłyszane gdzieś słowo, nie do końca wiedząc, co ono znaczy.

- Jedną z tych dziewczyn, które mają eleganckie mieszkania i śliczne stroje. Przecież wiesz! - zawołała zniecierpliwiona. - Mężczyźni przychodzą do nich, żeby się z nimi kochać, a potem im za to płacą. W Nowym Jorku płacą aż sto dolarów! Tam właśnie chcę zacząć. Na początku, oczywiście, będę musiała brać mniej. Dopiero jak się wszystkiego dobrze nauczę, zacznę zarabiać więcej. Nie wiesz przypadkiem, ile się płaci początkującej kurtyzanie?

Bond roześmiał się.

- Nie pamiętam - powiedział. - Dawno u żadnej nie byłem.

Honey westchnęła.

- No pewnie, ty możesz mieć tyle dziewczyn, ile chcesz, za darmo. Pewnie tylko brzydscy mężczyźni płacą. No trudno. Każda praca w wielkim mieście musi być okropna.

Kurtyzany przynajmniej dobrze zarabiają. Potem wrócę na Jamajkę i kupię Beau

Desert. Z taką ilością pieniędzy z łatwością znajdę sobie fajnego męża i będziemy mieli dzieci. Dzięki temu, że znalazłam to skupisko szkarłatników *Venus elegans*, powinnam wrócić na Jamajkę, zanim skończę trzydziestkę. Będzie cudownie!

- Na pewno miło będzie wrócić na Jamajkę, ale pierwsza część twojego planu niezbyt mi się podoba. A w ogóle to skąd dowiedziałaś się o kurtyzanach? Z encyklopedii?

- Skądże znowu! Nie żartuj sobie. Mniej więcej dwa lata temu wybuchła w Nowym Jorku wielka afera. Taki jeden bogaty gość nazwiskiem Jelke miał kilkanaście dziewcząt, które dla niego pracowały. W "Gleaner" wiele pisano o tej sprawie. Podano nawet ceny. W Kingston też, oczywiście, żyją tysiące takich dziewczyn, ale one są kiepskie. Dostają pięć szylingów; nie mają nawet dokąd zabierać klientów, robią to z nimi w krzakach. Niania opowiadała mi o nich. Mówiła, że nie wolno mi wyrosnąć na taką jak one, bo będę bardzo nieszczęśliwa. Nic dziwnego; co to jest pięć szylingów! Ale gdybym dostawała sto dolarów...!

- Nie mogłabyś zatrzymać całej sumy dla siebie - stwierdził rzeczowo Bond. - Musiałabyś mieć kogoś, takiego menażera, który by ci znajdował klientów, a ponadto musiałabyś dawać łapówki policjantom, żeby się ciebie nie czepiali. A gdyby coś nagle poszło nie tak, bardzo łatwo mogłabyś trafić do więzienia. I chyba sama praca też by ci się nie podobała. Wiesz co? Skoro tak dobrze znasz się na zwierzętach i owadach, mogłabyś znaleźć pracę w którymś z amerykańskich ogrodów zoologicznych. Opiekowałabyś się zwierzętami. A może znalazłoby się coś dla ciebie w Instytucie Jamajskim? Jestem pewien, że taki rodzaj pracy bardziej by ci odpowiadał. Sądzę, że tam również mogłabyś spotkać kogoś milego, kto nadawałby się na męża. Naprawdę, zrezygnuj z pomysłu bycia kurtyzaną. Masz piękne ciało. Ale zachowaj je wyłącznie dla mężczyzn, których kochasz.

- To samo mówią ludzie w książkach - powiedziała z wahaniem. - Ale w Beau Desert nie ma nikogo, kogo mogłabym kochać. Jesteś pierwszym Anglikiem, z jakim kiedykolwiek rozmawiałam. Od razu mi się spodobałeś. Mogę ci mówić o wszystkim bez żadnego skrępowania. Pewnie jest wielu ludzi, których mogłabym polubić, gdybym opuściła plantację.

- Oczywiście. Są setki takich. Jesteś przecież wspaniałą dziewczyną. Wiedziałem o tym, kiedy tylko cię ujrzałem.

- Nie tyle mnie, co moją pupę - powiedziała.

Głos miała już nieco senny, ale z jej tonu Bond wyczuł, że jego słowa sprawiły jej przyjemność.

Roześmiał się.

- To bardzo wspaniała pupa! Od przodu też wyglądałaś wspaniale. - W pamięci stanął mu obraz Honey na plaży i poczuł, jak coś zaczyna się w nim budzić, więc rzekł szybko:

- No, pora spać, Honey. Kiedy wrócimy na Jamajkę, będziemy mogli nagadać się do woli.

- Na pewno? - spytała sennie. - Obiecujesz?

- Tak.

Usłyszał, jak obraca się w śpiworze i popatrzył w dół. Dojrzał błądy zarys jej profilu. Westchnęła jak dziecko zapadające w sen.

Na wydmie panowała cisza. Zrobiło się znacznie chłodniej. Bond oparł głowę o zgięte kolana. Wiedział, że nie uda mu się zasnąć. W głowie kotłowały mu się różne myśli, o minionym dniu i o tej niezwyklej Tarzance, która nagle wkroczyła w jego życie. Czuł się tak, jakby zupełnie przypadkiem oswoił piękne, dzikie zwierzę. Zdawał sobie sprawę, że nie może być mowy o zerwaniu zadzierzgniętej więzi, dopóki nie pomoże dziewczynie rozwiązać gnębiących ją problemów. Z tym nie powinien mieć specjalnych trudności. Może zapłacić za operację plastyczną, a nawet - z pomocą przyjaciół - znaleźć Honey

odpowiednią pracę, mieszkanie. Pieniądzy ma dość. Może nakupić jej sukienek, zabrać ją do dobrego fryzjera, wprowadzić w wielki świat. Będzie to nawet zabawne. Ale co dalej? Co z pożądaniem, które w nim wzbudzała? Przecież nie można iść do łóżka z dzieckiem. Ale czy naprawdę dzieckiem? Jej ciało i osobowości nie miały nic z dziecka. Była dorosła i na swój sposób bardzo inteligentna, o wiele lepiej umiejająca się troszczyć o siebie niż jakakolwiek znana Bondowi dwudziestolatka.

Lekkie szarpnięcie za rękaw wyrwało Bonda z zadumy.

- Dlaczego nie śpisz? Zimno ci? - spytał cichy głos.

- Nie, wcale nie.

- W śpiworze jest miło i ciepłutko. Chcesz wejść do środka? Miejsca jest dość.

- Nie, dziękuję, Honey. Tak jest mi dobrze.

Honey milczała przez moment, a potem szepnęła:

- Jeśli myślisz... Wiesz, wcale nie musimy się kochać... Możesz położyć się przodem do moich pleców...

- Honey, kochanie, idź spać. Chętnie przytulę się do ciebie, ale nie dziś. Zresztą wkrótce muszę zmienić Quarrela.

- Acha -mruknęła niezadowolona. - To może kiedy wrócimy na Jamajkę.

- Może.

- Obiecuj. Nie będę spała, dopóki mi nie obiecasz.

- Dobrze, dobrze, obiecuję! - zawołał zdesperowany. - Tylko idź już spać, Honeychile.

- Więc jak wrócimy, będzie czas zapłaty! - szepnęła tryumfalnie. - Obiecałeś. Dobranoc, kochany Jamesie!

- Dobranoc, kochana Honey!

ROZDZIAŁ 12

PIEKIELNA MACHINA

Ktoś potrząsał go natarczywie za ramię. Bond natychmiast zerwał się na równe nogi.

- Szefie, coś się zbliża po wodzie! - szeptał gorączkowo Quarrel. - To na pewno ten smok! Dziewczyna też się obudziła.

- Co się dzieje? - spytała lękliwie.

- Zostań tu, Honey - polecił Bond. - Nie ruszaj się stąd. Zaraz wrócimy.

Przedarł się przez krzaki na drugą stronę łąchy, tę bardziej oddaloną od góry, i zaczął biec po piachu; Quarrel biegł tuż obok niego.

Łacha kończyła się dwadzieścia metrów dalej. Zatrzymali się i ukryli za ostatnią kępą krzaków. Bond rozchylił gałęzie i spojrzał w stronę jeziora.

Co to było? Prawie o kilometr od nich coś sunęło po wodzie; jakiś nieforemny kształt z parą jarzących się pomarańczowych ślepi o czarnych tęczówkach. Spomiędzy nich, mniej więcej w miejscu, w którym powinien znajdować się pysk, buchał jezior błękitnego ognia. W nikłym blasku gwiazd widać też było kopulasty łeb oraz krótkie skrzydła, podobne do skrzydeł nietoperza. Po jeziorze niósł się niski, przeciągły ryk, który nakładał się na inny dźwięk wydawany przez potwora: na głębokie, miarowe dudnienie.

- O Boże, szefie! - szepnął Quarrel. - Co to za piekielny stwór?

- Raczej piekielna machina - powiedział krótko Bond, prostując się. - Jakiś ogromny traktor z atrapą upodabniającą go do smoka, żeby wywołał strach. Ale chyba słyszysz, że pracuje na silniku diesla. Zastanówmy się, co robić - dodał, jakby sam do siebie. - Nie ma co uciekać. Pojazd posuwa się szybko, a poza tym ani mangrowce, ani moczary nie stanowią dla niego przeszkody. Musimy więc stoczyć bój tutaj. Jakie są najsłabsze punkty przeciwnika? Kierowca lub kierowcy pojazdu. Oczywiście mają jakąś osłonę. Nie wiemy jaką. Quarrel, zacznij strzelać do kopuły na czubku, kiedy pojazd zbliży się

na dwieście metrów. Dobrze celuj i strzelaj raz za razem. Ja spróbuję stłuc reflektory, kiedy zbliży się na odległość pięćdziesięciu metrów. Nie ma gąsienic, tylko ogromne koła, pewnie samolotowe. Postaram się w nie trafić. Zostań tutaj, a ja podejść z dziesięć metrów. Może też będą strzelać; musimy odciągnąć ich ogień od miejsca, gdzie leży dziewczyna. Wszystko jasne? - Wyciągnął rękę i poklepał potężne ramię Quarrela. - Nie przejmuj się zbytnio. Zapomnij o smokach. To tylko wielki traktor. Zabijemy kierowców, przejmujemy go i wrócimy nim do zatoki. Po co mamy zdzierać sobie zelówki! W porządku, stary?

- Tak jest, szefie. Skoro pan twierdzi, że to nie smok. - Parsknął śmiechem. - Mam nadzieję, że Bóg też o tym wie!

Bond wrócił biegiem na wydmy. Rozsunął na bok gałęzie krzaków, żeby mieć dobre pole widzenia, po czym zawołał cicho:

- Honey!

- Tak, James? - spytała. W jej głosie brzmiała ulga.

- Wygrzeb sobie dołek w piasku, tak jak wtedy na plaży. Gdzieś za najgrubszymi korzeniami. A potem się w nim połóż. Może dojść do strzelaniny. I nie martw się, to żaden smok. To tylko przystrojony, udający smoka traktor, którym jeżdżą ludzie doktora No. Nie bój się. Będę tuż obok.

- Dobrze, James. Bądź ostrożny! - Głos łamał się jej ze strachu.

Bond przyklęknął na jednym kolanie i wyjrzał pomiędzy liśćmi.

Pojazd był już zaledwie trzysta metrów od niego; żółte reflektory rozświetlały lachę. Błękitne płomienie wciąż buchały z pyska. Wydobywały się z długiej rury znajdującej się pomiędzy otwartymi szczękami pomalowanymi złotą farbą. Miotacz ognia! Zgadzało się to z opowieścią strażnika i wyjaśniało skąd się wzięły popalone krzaki. Niebieskie płomienie wydobywały się zapewne bez przerwy od momentu włączenia zapalnika. Ale jaki mógł być ich zasięg po nastawieniu na pełną moc?

Bond musiał przyznać, że pojazd rzeczywiście przedstawiał sobą niesamowity widok, kiedy porykując przeciągle jechał przez płytkie jezioro. Miał za zadanie przerażać, przeraziłby także i jego, gdyby nie znajomy odgłos dieslowskiego silnika. Na wyspiarzach, którzy odważyli się wtargnąć do królestwa doktora No, na pewno sprawiał piorunujące wrażenie. Ale czy był dostatecznie zabezpieczony przed atakiem uzbrojonych w broń palną ludzi, którzy nie wpadali w popłoch na widok piekielnej maszyny?

Już po chwili poznał odpowiedź. Usłyszał trzask remingtona. Z kopuły poszła iskra; rozległ się przytłumiony brzęk. Quarrel strzelił raz jeszcze, a potem kilka razy pod rząd. Kule waliły wabinę, nie wyrządzając żadnej szkody. Pojazd nawet nie zmniejszył szybkości. Toczył się dalej, skręciwszy nieco w bok, żeby znaleźć się na wprost miejsca, z którego padały strzały. Bond oparł swojego smith & wessona na przedramieniu i wycelował. Łoskot rewolweru zagłuszył na moment terkot remingtona. Jeden z reflektorów pękł z hukiem i zgasł. Bond zaczął mierzyć w drugi; stłukł go dopiero za czwartym podejściem. W sumie oddał pięć strzałów; bębenek rewolweru był pusty. Nie odniosły pożądanego skutku; pojazd nadal się toczył w kierunku kryjówki Quarrela. Bond naładował rewolwer i zaczął strzelać do wielkich, pękających opon widocznych pod pomalowanymi na czarno i złoto atrapami skrzydeł. Pojazd dzieliło od niego zaledwie trzydzieści metrów; Bond mógłby przysiąc, że jego kule kilkakrotnie trafiły w najbliższe koło. Bez rezultatu. Czyżby opona była wykonana z lanej gumy? Po raz pierwszy przeszedł go dreszcz strachu. Znów naładował rewolwer. Może ten cholerny pojazd jest nieopancerzony od tyłu? A może powinien wbiec do wody i próbować dostać się do kabiny, kiedy smok będzie go mijał? Postąpił krok naprzód. I nagle zamarł, niezdolny do uczynienia jakiegokolwiek ruchu.

Albowiem z zięjącego ogniem pyska wyskoczyła z wyciem błękitna błyskawica wycelowana dokładnie w kryjówkę Quarrela. Krzaki na prawo od Bonda stanęły w pomarańczowoczerwonych płomieniach; rozległ się nieludzki wrzask, który po chwili umilkł. Jęzor ognia, usatysfakcjonowany, cofnął się z powrotem do rury. Teraz jej błękitny otwór zwrócił się w stronę Bonda.

Bond stał w miejscu, czekając na swój straszny koniec. Patrzył w złote szczęki śmierci i widział rozgrzany do czerwoności drut zapalnika żarzący się głęboko w rurze. Nie miał czasu żałować Quarrela; myślał tylko o jego zwęglonych, dymiących zwłokach leżących na stopionym piasku. Wkrótce on sam również przemieni się w pochodnię. Z jego gardła wyrwie się ostatni pojedynczy krzyk, zanim spalone na węgiel ciało zacznie się miotać konwulsyjnie. Potem przyjdzie kolej na Honey. Boże, jaki straszny los zgotowałem dziewczynie i Quarrelowi! - pomyślał. Co za szaleństwo kazało mu uwierzyć, że pokona człowieka dysponującego tak ogromnym arsenałem. Czyż fakt, że ręce doktora No prawie dosięgły go na Jamajce, nie powinien być dla niego dostatecznym ostrzeżeniem? Zaciął zęby. Szybciej, skurwysyny! Niech już będzie po wszystkim!

Rozległ się przeciągły jęk megafonu, po czym metaliczny głos zawołał donośnie:

- Wychodź, cwaniaku! Razem z tą cizią! Tylko szybko, bo usmażę was jak waszego kumpla.

Jakby dla podkreślenia wagi słów, z rury plunął krótki płomień. Bond cofnął się przed palącym żarem. O mało nie wpadł na dziewczynę.

- Musiałam wyjść, musiałam wyjść - powtarzała histerycznie.

- Dobrze, Honey, dobrze. Stój za mną.

Bond podjął decyzję. Nie miał wyboru. Nawet jeśli czekała go śmierć, nie mogła być straszliwsza od spalenia żywcem. Wziął dziewczynę za rękę i postąpił krok do przodu.

- Zatrzymać się! - rozkazał głos. - W porządku. I rzuć spluwę. Żadnych sztuczek, bo kraby będą miały pieczeń na śniadanie!

Bond upuścił rewolwer. Na wiele mu się ten smith & wesson nie przydał. Ale z beretta też niedużo by wskórał przeciwko opancerzonej maszynie. Dziewczyna lkała cicho.

Ścisnął jej dłoń.

- Uszy do góry, Honey - szepnął. - Jakoś wykaraskamy się z tego.

Ale sam nie wierzył w to, co mówi.

Z tyłu kopuły rozległ się zgrzyt otwierających się metalowych drzwiczek. Z pojazdu wyłonił się rosły mężczyzna; zeskoczył do wody i ruszył w stronę Bonda i Honey. W rękę miał pistolet. Szedł trzymając się poza linią strzału miotacza ognia; migoczące przy wylocie rury błękitne płomienie oświetlały jego spoconą twarz. Był to Chinonegr ubrany w same spodnie. Coś zwisało z jego lewej dłoni. Kiedy podszedł bliżej, Bond zobaczył, że to kajdanki.

Mężczyzna zatrzymał się kilka kroków od Bonda i dziewczyny i rzekł:

- Wyciągnijcie ręce, jedną przy drugiej, i podejdźcie do mnie. Najpierw ty, cwaniaku.

Tylko powoli, jeśli nie chcesz mieć w brzuchu drugiego pępka.

Bond wykonał polecenie. Kiedy zbliżył się na tyle, żeby poczuć jego pot, Chinonegr wziął pistolet w zęby i szybko zatrzasnął Bondowi kajdanki na przegubach. Bond popatrzył na twarz wroga; w blasku języków ognia wyglądał jak ze spizu. Drapieżne rysy wykrzywił pogardliwy grymas.

- No i co, dupku? - spytał mężczyzna.

Bond odwrócił się do niego plecami i zaczął iść w stronę spalonych krzaków. Chciał spojrzeć na zwłoki Quarrela. Musiał się z nim pożegnać. Rozległ się huk wystrzału i tuż obok Bonda trysnęła fontanna piasku. Bond zatrzymał się i wolno obejrzał za siebie.

- Bez nerwów - powiedział. - Chcę tylko spojrzeć na zamordowanego przez was człowieka. Zaraz wrócę.

Chinonegr opuścił pistolet i zaśmiał się nieprzyjemnie.

- Dobra. Miłego oglądania. Szkoda, że nie mamy wieńca. Ale wracaj szybko, bo inaczej przypieczemy tę cizię. Daję ci dwie minuty.

Bond ruszył dalej. Kiedy doszedł do dymiących krzaków, zatrzymał się i popatrzył w dół. Wzdrygnął się i zmrużył oczy. Widok był okropny, gorszy, niż się spodziewał.

- Przebacz mi, Quarrel - szepnął.

Kopnął ziemię, po czym nabrał w skute dłonie garść chłodnego piasku i zasypał nimi resztki oczu. Po czym wolnym krokiem wrócił do pojazdu i stanął obok dziewczyny.

Chinonegr wskazał im pistoletem, że mają iść przodem. Obeszli razem pojazd i zatrzymali się przed stalowymi, kwadratowymi drzwiczkami.

- Wchodźcie i siadajcie na podłodze - rozkazał głos dobiegający ze środka kopyły. - I nie nie dotykać, bo połamię wam paluchy!

Wgramolili się do żelaznego pudła. Wnętrze cuchnęło potem i smarami. Siadając, musieli podkurczyć kolana, żeby się w ogóle pomieścić. Chinonegr z pistoletem wszedł za nimi i z hukiem zatrzasnął drzwiczki. Zapalił światło i usiadł obok kierowcy na metalowym siedzeniu przypominającym fotel traktorzysty.

- Dobra, Sam - powiedział. - W drogę. I wyłącz palnik, bo noc jest jasna.

Na tablicy rozdzielczej znajdował się rząd tarcz i przełączników. Kierowca wyciągnął rękę i przekręcił dwa spośród nich. Wrzucił bieg i popatrzył przez wąską szczelinę w stalowej osłonie. Bond poczuł, że pojazd zakręca. Silnik zahuczał nieco mocniej i po chwili ruszyli.

Honey oparła się ramieniem o Bonda.

- Dokąd nas zabierają? - szepnęła drżącym głosem.

Bond obrócił głowę i spojrzał na dziewczynę. Po raz pierwszy widział ją z zupełnie suchymi włosami. Kiedy spała, trochę się jej poczochnęły, ale już nie zwisały w strąkach: opadały gęstą strzechą na ramiona i lekko kręciły się na końcach. Jasne, popielatoblond, niemal srebrzyły się w elektrycznym świetle. Honey uniosła wzrok. Skórę wokół oczu i ust miała białą ze strachu.

Bond wzruszył ramionami, udając obojętność.

- Spodziewam się, że na spotkanie z doktorem No - szepnął. - Nie przejmuj się zbytnio, Honey. Ci dwaj to tylko drobne rzezimieszki. Z nim będzie zupełnie inna rozmowa.

Kiedy dojedziemy na miejsce, nic nie mów, wszystko zostaw mnie. - Odwzajemnił napór jej ramienia. - Podobają mi się twoje włosy. Dobrze, że nie przycinasz ich krócej.

Napięcie na jej twarzy nieco zelżało.

- Jak możesz myśleć teraz o takich drobiazgach? - spytała z bladym uśmiechem. - Ale cieszę się, że ci się podobają. Raz na tydzień myję je olejem kokosowym.

Ale na myśl o normalnym, codziennym życiu, do którego może już nigdy nie wróci, oczy zaszyły jej łzami. Oparła głowę o skute kajdankami ręce, żeby ukryć przed Bondem swój smutek.

- Postaram się być dzielna - szepnęła, jakby mówiła sama do siebie. - Dopóki będziesz przy mnie, dam radę.

Bond przysunął się bliżej dziewczyny. Podniósł do oczu ręce i obejrzał z bliska kajdanki. Dokładnie takich samych używała policja amerykańska. Skurczył lewą dłoń, szczuplejszą od prawej, i zaczął próbować wyciągnąć ją ze stalowej obręczy. Niestety, nie pomogło nawet to, że rękę miał mokrą od potu. Próba uwolnienia jej wypadła niepomyślnie.

Obaj mężczyźni siedzieli na żelaznych fotelach zwrócenie plecami do więźniów, obojętni na wszystko. Wiedzieli, że są panami sytuacji. Kabina była zbyt ciasna, aby Bond próbował czegokolwiek. Nie mógł wstać, a zresztą nie miałby dość miejsca, żeby się zamachnąć i uderzyć któregoś z nich w tył głowy. Nawet gdyby udało mu się otworzyć

stalowe drzwiczki i wyskoczyć do jeziora, nic by z tego nie przyszło. Od razu poczuliby powiew świeżego powietrza i zatrzymali pojazd, po czym albo by go schwytali, albo spalili miotaczem ognia. Drażniło Bonda, że w ogóle się nim nie przejmują, że wiedzą, iż w żaden sposób nie może im zagrozić. Niepokoilo go, że są na tyle inteligentni, aby zdawać sobie sprawę z jego bezsilności. Gdyby byli głupi, trzymaliby go na muszce, związałby kilometrami sznurów, może nawet pozbawili przytomności. Ci dwaj wiedzieli, co robią. Albo byli wynajętymi fachowcami, albo przeszli gruntowne szkolenie. Nie odzywali się do siebie. Nie przechwalali się nerwowo udaną akcją, nie mówili dokąd jadą, nie narzekali, że są zmęczeni. Po prostu, wykonawszy zadanie, w milczeniu wracali do bazy, sprawnie prowadząc pojazd.

Co to był za pojazd, Bond nadal nie wiedział. Pod atrapami pyska i skrzydeł oraz warstwami czarnej i złotej farby najwyraźniej krył się traktor, ale nigdy dotąd nie widział traktora tak potężnych rozmiarów. Koła o szerokich, gładkich oponach były od niego, Bonda, niemal dwa razy wyższe. W mroku nie zdołał dojrzeć na oponach nazwy producenta, musiały jednak być albo wykonane z lanej gumy, albo wypełnione porowatą. Z tyłu, dla stabilności, zamocowane było mniejsze koło. Żeby upodobnić pojazd do smoka, do dachu przyspawano żelazny grzebień pomalowany na złoto i czarno. Wysokie błotniki zostały wydłużone i upodobnione do skrzydeł. Na masce zamontowano atrapę głowy, a reflektorom domalowano czarne "tęczówki", żeby udawały oczy. Kabinę opancerzono, a następnie wyposażono w miotacz ognia; i to wszystko. Ale te przeróbki wystarczyły, aby widok traktora każdego napawał lękiem. I pewnie dla spotęgowania efektu zainstalowano w nim nie karabin maszynowy, lecz miotacz ognia, choć - zdaniem Bonda - jeśli chodziło o siłę rażenia, karabin byłby równie skuteczny. Pojazd został idealnie dostosowany do poruszania się po wyspie. Szerokie opony umożliwiały jazdę po moczarach i płytkim jeziorze. Prawdopodobnie równie sprawnie poruszał się po koralowej skale, a ponieważ głównie posługiwano się nim po zapadnięciu zmroku, kiedy wyglądał bardziej przerażająco, temperatura w kabinie była do wytrzymania.

Na Bondzie duże wrażenie zrobiło to, co widział. Zawsze wysoko cenił profesjonalistów. Doktor No był nawet kimś więcej; był perfekcjonistą. Wkrótce mieli się spotkać. Będzie miał okazję poznać tajemnicę doktora No. I co potem? Uśmiechnął się ponuro do siebie. Zbyt wiele wiedział; nie pozwoli mu odejść. Jeśli nie ucieknie albo jakoś się ze wszystkiego nie wyłga, zabiją go. A co z dziewczyną? Czy uda mu się ich przekonać, że została wplątana w całą sprawę przypadkiem? Może tak; wtedy darują jej życie, ale nigdy nie pozwolą jej opuścić wyspy. Będzie musiała mieszkać tu do końca życia, jako kochanka lub żona jednego z ludzi doktora No, a może i samego doktora, jeśli wpadnie mu w oko.

Nagle szarpnięcie wyrwało Bonda z zadumy. Teren, po którym się posuwali, stał się bardziej wyboisty. Dojechali do brzegu jeziora i teraz znajdowali się na trakcie wiodącym do blaszanych baraków u podnóża góry. Kabina odchyliła się od pionu; pojazd piał się po pochylonym zboczu. Za pięć minut mieli dotrzeć do kresu podróży. Mężczyzna siedzący obok kierowcy zerknął przez ramię na Bonda i dziewczynę. Bond uśmiechnął się wesoło.

- Za tę akcję pewnie dostaniesz medal - rzekł.

Żółto-brązowe oczy patrzyły na niego obojętnie. Grube fioletowe wargi wykrzywił pełen nienawiści grymas.

- Zamknij mordę, skurwielu! - warknął Chinonegr i się odwrócił.

Honey szturchnęła lekko Bonda i spytała szeptem:

- Dlaczego są tacy chamscy? Dlaczego tak nas nienawidzą?

Bond uśmiechnął się do niej szeroko.

- Pewnie dlatego, żeśmy ich wystraszyli, I wciąż się nas boją, bo widzą, że my się ich nie lękamy. Więc staraj się nie okazywać strachu, dobrze?

- Spróbuję - obiecała, tuląc się do niego.

Droga stawała się coraz bardziej stroma. Przez szczelinę w pancerzu kabiny widać było szare niebo. Zaczynało świtać. Rozpoczynał się kolejny dzień niemiłosiernego słońca, ostrego wiatru i nieznośnego smrodu gazu błotnego. Bond pomyślał o Quarrelu, o dzielnym olbrzymie, z którym mieli właśnie o tej porze wybierać się w drogę powrotną przez mangrowce, a który tej chwili nie doczekał. Przypomnił sobie, jak Quarrel prosił go o wykupienie polisy ubezpieczeniowej. Przeczuwał własną śmierć. A jednak bez wahania poszedł za Bondem. Jego wiara w Bonda była silniejsza od strachu. A Bond go zawiódł. Czy będzie miał na sumieniu także dziewczynę?

Kierowca dotknął tablicy rozdzielczej. Gdzieś z przodu pojazdu rozległo się wycie syreny policyjnej, które po chwili przeszło w głuchy jęk i ucichło. Wkrótce pojazd zatrzymał się; kierowca wrzucił jałowy bieg, po czym wcisnął jakiś guzik i zdjął z haczyka mikrofon. Kiedy do niego mówił, w kabinie słychać było również, niby echo, głos płynący z megafonu.

- Dobra. Mamy Angolę i cieżę. Drugi gość nie żyje. Więcej nikogo nie było. Otwierajcie. Bond usłyszał zgrzyt drzwi odsuwanych na żelaznych rolkach. Kierowca wrzucił bieg; przejechali powoli kilka metrów, po czym pojazd zatrzymał się. Kierowca zgasił silnik. Żelazne drzwiczki załaskotały: ktoś otwierał je od zewnątrz. Do kabiny wpadł powiew chłodnego powietrza oraz strumień światła. Czyjeś ręce chwyciły Bonda i wywlekły z pojazdu na betonową posadzkę. Kiedy wstał, poczuł dźgnięcie lufy pistoletu.

- Nie ruszaj się! - polecił nowy głos. - Żadnych sztuczek!

Bond spojrzął na mówiącego. Był to również Chinonegr, z tej samej stajni co wszyscy poprzedni. Żółte oczy przypatrywały mu się z zaciekawieniem. Bond odwrócił się od niego obojętnie i zobaczył, że inny facet szturcha pistoletem Honey.

- Zostaw dziewczynę! - zawołał ostrym tonem i podszedł do niej.

Jego zachowanie zaskoczyło strażników. Stali niezdecydowani, nie spuszczać Bonda i Honey z muszek.

Bond rozejrzał się. Znajdowali się w jednym z baraków z blachy falistej, które widział z rzeki. Podłużne pomieszczenie służyło za garaż i za warsztat naprawczy. "Smok" stał dokładnie nad kanałem. Na jednej z ław leżał rozebrany na części silnik motorówki. Barak oświetlały umieszczone na suficie jarzeniówki. Śmierdziało w nim smarem i spalinami. Kierowca i jego partner oglądali pojazd. Kiedy skończyli, podeszli do strażników pilnujących pary więźniów.

- Przekazałem wiadomość - oznajmił jeden z strażników. - Mamy ich odstawić dalej. Jak poszło?

- Dobrze - odpowiedział Chinonegr, który towarzyszył kierowcy w wyprawie i który najwyraźniej był najwyższy rangą wśród obecnych. - Nie obyło się bez małej strzelaniny. Rozwalili nam oba reflektory, może jest kilka dziur w oponach. Niech się chłopaki zaraz do tego wezmą, i niech zrobią pełny przegląd. Pójdę się trochę przekimać, a przy okazji odstawię tych dwoje.

Zwrócił się do Bonda.

- Już, posuwaj! - rozkazał, wskazując na koniec baraku.

- Sam posuwaj - odparł Bond. - Uważaj, do kogo mówisz. I powiedz tym osłom, żeby przestali w nas celować. Jeszcze któryś gotów niechcący wypalić. Z takimi durniami nigdy nie wiadomo.

Chinonegr postąpił o krok w stronę Bonda; trzej pozostali również. Ich przekrwione oczy lśniły nienawiścią. Najwyższy rangą zbir zacisnął dłoń w pięść wielkości średniej szynki i podsunął Bondowi pod nos. Z trudem panował nad sobą.

- Słuchaj mnie, ty... - wycedził przez zęby. - Czasami pod koniec pozwalają nam przyłączyć się do zabawy. Modłę się o to, żeby tak było i tym razem. Raz przeciągaliśmy zabawę przez cały tydzień. Rany, jeśli tylko cię dostanę...

Urwał. W jego oczach płonęły okrutne ogniki. Spojrzał przez ramię Bonda na stojącą z tyłu dziewczynę. Spojrzeniem wyrażał to samo, co wyraziłby głośnym mlaśnięciem oblizując wargi. Wytarł spocone ręce o spodnie; z fioletowych ust wysunął się różowy koniuszek języka.

- Co wy na to, chłopaki? - spytał, zwracając się do kumpli. Trzej pozostali również wpatrywali się w dziewczynę. Skinęli bez słowa głowami, jak dzieci na widok prezentów leżących pod choinką.

Bond miał ochotę rzucić się na nich, walić ich po mordach kajdankami, nie zważając na krwawą zemstę, jaka by go niechybnie czekała. Powstrzymała go jednak myśl o dziewczynie. Skutek jego buńczucznych słów był taki, że bała się teraz bardziej niż przedtem. Więc tylko powiedział:

- Spokojnie. Was jest czterech, nas dwoje, a w dodatku mamy skute ręce. Nie obawiajcie się, nic wam nie zrobimy. Tylko nie naciskajcie nas zbyt ostro, bo doktorowi No może się to nie spodobać.

Na wzmiankę o doktorze zbiry natychmiast spuściły z tonu. Trzy pary oczu spoziały to na Bonda, to na rosłego Chinonegra. Ten wahał się przez dłuższą chwilę, wpatrując się podejrzliwie w Bonda, nie bardzo wierząc, że rzeczywiście może on znaleźć posłuch u ich szefa. Otwierał usta, żeby powiedzieć coś nieprzyjemnego, ale nagle zmienił zdanie.

- Dobrze, już dobrze. Tylkośmy żartowali. - Zwrócił się do pozostałych. - Prawda, chłopaki?

- Pewnie! Jasna sprawa! - potwierdzili niechętnie, odwracając oczy.

- Proszę za mną - powiedział do Bonda główny zbir, kierując się na drugi koniec baraku. Bond pociągnął dziewczynę za przegub dłoni i ruszył za zbiorem. Reakcją, jaką wywołało na czterech hultajach nazwisko doktora No, zrobiła na nich wrażenie. Należało o tym pamiętać na wypadek dalszych problemów z goryłami doktora.

Chinonegr doszedł do surowych drewnianych drzwi. Obok był dzwonek. Mężczyzna nacisnął go dwa razy. Po chwili rozległ się zgrzyt i drzwi się otworzyły, ukazując wykuty w skale dziesięciometrowy korytarz wyłożony dywanem. Na końcu korytarza znajdowały się drugie, bardziej okazałe drzwi, pomalowane na kremowy kolor.

Zbir odsunął się na bok.

- Proszę zastukać do tamtych drzwi. Recepcjonistka zajmie się wami - rzekł; w jego głosie nie było ironii, a oczy nie zdradzały niczego.

Kiedy Bond i Honey weszli do korytarza, pierwsze drzwi zatrzasnęły się za nimi. Bond przystanął i spojrzał na dziewczynę.

- Co dalej? - spytał.

Uśmiechnęła się niepewnie.

- Miło czuć dywan pod stopami - powiedziała.

Bond ścisnął jej rękę. Podszedł do kremowych drzwi i zastukał. Otworzyły się.

Przekroczył próg, dziewczyna tuż za nim. Nagle zatrzymał się jak wryty i nawet nie poczuł, że Honey na niego wpadła. Po prostu stał i patrzył oniemiały.

ROZDZIAŁ 13 ZŁOTA KLATKA

Znajdowali się w eleganckim pokoju recepcyjnym, takim, jakie miewają wielkie amerykańskie korporacje mieszczące się na najwyższych piętrach nowojorskich wieżowców. Była to idealnie kwadratowa sala o wymiarach sześć na sześć metrów. Na

podłodze leżała gruba wykładzina koloru wina, ściany zaś i sufit miały miękkie, popielaty odcień. Barwne litografie tancerek Degasa wisiały w kilku miejscach na ścianach, a wewnątrz oświetlały wysokie, nowoczesne lampy z ciemnozielonymi jedwabnymi abażurami o modnym, beczkowatym kształcie.

Po prawej ręce Bonda stało masywne mahoniowe biurko z blatem obitym zieloną skórą; przy nim, odpowiednio dobrane, zgrabne miękkie krzesło. Na biurku stał aparat telefoniczny z nowoczesną centralką, jeden z najdroższych typów. Obok, dwa wysokie, antyczne fotele czekały na gości. Po drugiej stronie pokoju znajdowały się jeszcze dwa fotele, usytuowane na końcach długiego, wąskiego stołu, na którym leżały kolorowe pisma. Na biurku oraz na stole stały w wysokich wazonach świeże bukiety hibiskusów. Powietrze było przyjemnie chłodne i unosił się w nim delikatny, drogi zapach.

W pokoju znajdowały się dwie kobiety. Przy biurku, z piórem uniesionym nad przygotowanym formularzem, siedziała Chinka w rogowych okularach i o krótko obciętych czarnych włosach. Wyglądała na osobę o dużych kompetencjach. Na twarzy miała powitalny uśmiech typowy dla dobrej recepcjonistki: pogodny, usłużny, a zarazem pytający.

Natomiast przy drzwiach, przez które weszli do środka, stała - wciąż trzymając je za klamkę - bardziej matronowata kobieta w wieku mniej więcej czterdziestu pięciu lat. W jej żyłach również płynęła chińska krew. Tęgawa, dobrze zadbana, zachowywała się z wręcz przesadną uprzejmością. Jej twarz, na której połyskiwały kwadratowe binokle, wyrażała tylko jedno pragnienie: aby goście czuli się tu jak u siebie w domu.

Obie kobiety miały na sobie iskrzące się bielą kostiumy, a na nogach białe pończochy i białe pantofle, zupełnie jak pracownice najdroższych amerykańskich gabinetów kosmetycznych. Jasny odcień ich skóry świadczył, iż niewiele czasu spędzają na wolnym powietrzu.

Podczas gdy Bond rozglądał się po pomieszczeniu, Chinka przy drzwiach zaczęła wygłaszać powitalne banały, jakby była gospodynią witającą gości, którzy spóźnili się na przyjęcie, bo złapała ich ulewa.

- Och, moi biedacy! Nie miałyśmy pojęcia, o której się was spodziewać. Wciąż nam powtarzano, że jesteście w drodze. Najpierw myślałyśmy, że zjawicie się w porze obiadowej, potem, że zdążycie przybyć na kolację, a dopiero pół godziny temu otrzymałyśmy wiadomość, że pojawicie się na śniadanie. Na pewno umieracie z głodu! Chodźcie szybko, pomożecie siostrze Rosę wypełnić kwestionariusz, a potem zaraz położycie się spać. Musicie padać z wyczerpania!

Cmoknąwszy parę razy, zamknęła drzwi, po czym podprowadziła Bonda i dziewczynę do biurka. Trajkocząc bez przerwy, wskazała im fotele, żeby usiedli.

- Ja jestem siostra Lily, a to jest siostra Rosę. Zada wam tylko kilka pytań. Może papieroska?

Postawiła przed nimi na biurku pudełko obite tłoczoną skórą i otworzyła wieczko.

Wnętrze podzielone było na trzy części.

- Te są amerykańskie, te angielskie, a te tureckie - wyjaśniła, wskazując po kolei małym palcem, po czym podniosła z biurka dużą, elegancką zapalniczkę.

Bond skutymi dłońmi sięgnął po tureckiego.

Siostra Lily aż pisnęła z oburzenia.

- Ojej! - Była autentycznie skonsternowana. - Siostrze Rosę, szybko, proszę dać mi kluczyk! Ileż to już razy im powtarzałam, że pacjenci nie mogą być skrepowani, kiedy tu wchodzi! - zawołała gniewnym, pełnym niesmaku tonem. - Naprawdę, co za ludzie! Nie możemy puścić tego płazem!

Siostra Rosę była równie zmieszana. Pośpiesznie wygrzebała z szuflady kluczyk i wręczyła siostrze Lily, która, wciąż prychnąwszy z niezadowolenia, zdjęła kajdanki

Bondowi i dziewczynie, a następnie cisnęła je - niczym brudne bandażę - do kosza na śmieci stojącego za biurkiem.

- Dziękuję - powiedział Bond.

Nie bardzo wiedząc, jak powinien się zachować, postanowił wpaść w ton narzucony przez Chinki. Wziął papierosa, zapalił go, po czym spojrzał na Honeychile Rider, która siedziała oszołomiona w fotelu, nerwowo zaciskając dłonie na poręczach. Uśmiechnął się do niej uspokajająco.

- A teraz, jeśli można... - Siostra Rosę pochyliła się nad długim kwestionariuszem wydrukowanym na drogim papierze. - Obiecuję, że nie zajmę państwu wiele czasu.

Nazywa się pan...

- Bryce. John Bryce.

Zanotowała szybko.

Stały adres?

- Proszę napisać: Królewskie Towarzystwo Zoologiczne, Regens Park, Londyn, Anglia.

- Zawód?

- Ornitolog.

- Następna rubryka: cel wizyty?

- Oglądanie ptaków. Jestem również przedstawicielem nowojorskiego Towarzystwa Ornitologicznego, które dzierżawi część tej wyspy.

- Naprawdę? - zdziwiła się.

Bond widział, że zapisuje dokładnie wszystkie jego odpowiedzi. Przy ostatniej umieściła w nawiasie znak zapytania.

- A to pańska żona, prawda? - Siostra Rosę uśmiechnęła się uprzejmie w stronę Honeychile. - Też interesuje się ptakami?

- Oczywiście.

- Jak ma na imię?

- Honeychile.

- Co za śliczne imię! - ucieszyła się siostra Rosę, notując je szybko.

- Jeszcze tylko jedno pytanie i na tym koniec: kogo powiadomić w razie nieszczęśliwego wypadku i stopień pokrewieństwa tej osoby?

Bond podał prawdziwe nazwisko M, mówiąc, że to jego wuj. a poniżej kazał napisać: dyrektor generalny firmy Universal Export, Regent's Park, Londyn.

- No, gotowe - powiedziała siostra Rosę, kiedy skończyła pisać. - Dziękuję panu bardzo, panie Bryce, i życzę państwu milego pobytu.

Ja również dziękuję - odparł Bond, wstając. - Wierzę, że nam się tu spodoba.

Honey również wstała z fotela. Na jej twarzy wciąż malowało się oszołomienie.

- A teraz chodźcie ze mną, moi biedacy - powiedziała siostra Lily.

Poprowadziła ich do drzwi na końcu pokoju. Nagle zatrzymała się z dłonią na okrągłej, kryształowej klamce.

- Ojej, zapomniałam numerów państwa pokoi. Siostrze Rosę, gdzie mamy państwa umieścić? W kremowym apartamencie?

- Tak. Pokoje czternaście i piętnaście.

- Dziękuję, kochana. A teraz, pozwolą państwo za mną - powiedziała, popychając drzwi.

- Strasznie mi przykro, ale to spory kawałek drogi.

Zamknęła drzwi i pośpieszyła przodem.

- Pan doktor kilkakrotnie już mówił, że trzeba zamontować ruchomy chodnik, ale sami państwo wiedzą, jak to jest z tak zapracowanym człowiekiem. - Roześmiała się. - Tyle ma spraw na głowie!

- Tak, wyobrażam sobie - odparł uprzejmie Bond.

Ujął Honey za rękę i ruszyli za dziarsko maszerującą matroną długim, wysokim korytarzem utrzymanym w takim samym stylu jak pokój recepcyjny. Oświetlenie zapewniały rozmieszczone w regularnych odstępach eleganckie kinkiety. Bond odpowiadał grzecznymi monosylabami na radosne ćwierkanie siostry Lily, która co rusz rzuciła przez ramię jakieś pytania czy uwagi. Wciąż zastanawiał się nad zdumiewającym powitaniem, jakie zgotowały im dwie Chinki. Był absolutnie przekonany, że nie udawały. Każde ich słowo, każdy gest, wszystko było na miejscu. Tworzyły fasadę dla jakiejś innej, prawdziwej działalności doktora No, ale jego dbałość o szczegóły była wręcz zaskakująca: zarówno obie kobiety, jak i sposób urządzenia wnętrza, sprawiały jak najbardziej przekonujące wrażenie. Fakt, że w pokoju recepcyjnym i w korytarzu nie było żadnego rezonansu, świadczył o tym, iż od chwili opuszczenia baraku znajdowali się we wnętrzu góry. Szli przez jej podstawę, prawdopodobnie w zachodnim kierunku - w stronę skalnej ściany, którą kończyła się wyspa. W korytarzu nie było widać śladów wilgoci, czuło się w nim natomiast powiew czystego, chłodnego powietrza. Wykucie korytarzy i pomieszczeń musiało być dziełem dobrych fachowców i niewątpliwie pochłonęło masę pieniędzy. Błada cera obu Chinek świadczyła o tym, że rzadko opuszczają wnętrza góry. Z tego, co mówiła siostra Lily, można było się domyślić, że należą do odrębnego personelu nie mającego nic wspólnego z uzbrojoną hałastrą na zewnątrz; prawdopodobnie nawet się nie orientowały, jakich to zbirów doktor No zatrudnia do pilnowania wyspy.

Na końcu korytarza znajdowały się kolejne drzwi; zanim do nich dotarli, Bond doszedł do wniosku, że znaleźli się, on i Honey, w groteskowej - a nawet niebezpiecznie groteskowej - sytuacji. Jednakże rozmyślanie o niej nie miało większego sensu. Należało się dostosować do ociekającego uprzejmością scenariusza. Przynajmniej warunki były tu znacznie lepsze niż na zewnątrz.

Siostra Lily zadzwoniła do drzwi. Spodziewano się ich, bo drzwi otworzyły się błyskawicznie. Czarująca młoda Chinka w biało-liliowym kwiecistym kimonie powitała ich w progu, uśmiechając się i kłaniając tak nisko, jak to tylko Chinki potrafią. Na jej bladej, podobnej do pąka kwiatu twarzy malował się ciepły, powitalny uśmiech. - Wreszcie są, May! - zawołała siostra Lily. - Pan i pani Bryce. Na pewno są bardzo wyczerpani, więc musimy ich szybko nakarmić i położyć do łóżka. - Zwróciła się do Bonda. - Przedstawiam panu May. To kochana dziewczyna. Zaraz zaopiekuje się państwem. Jeśli tylko coś będzie państwu potrzebne, proszę natychmiast na nią dzwonić. Wszyscy nasi pacjenci bardzo ją sobie cenią.

Pacjenci, pomyślał Bond. Już drugi raz używa tego słowa. Uśmiechnął się uprzejmie do młodej Chinki.

- Bardzo mi miło. Gdyby zechciała nam pani wskazać nasze pokoje...

May uśmiechnęła się serdecznie.

- Mam nadzieję, że będzie tu państwu wygodnie, panie Bryce - powiedziała niskim, pełnym powabu głosem. - Jak tylko się dowiedziałam, że państwo dotarli, pozwoliłam sobie zamówić dla państwa śniadanie. Więc gdyby zechcieli państwo udać się za mną... W ścianie na wprost znajdowały się rozsuwane drzwi windy. Po bokach, w lewo i w prawo, odchodziły korytarze. Dziewczyna skierowała się w prawo; Bond i Honeychile ruszyli za nią. Siostra Lily szła na końcu.

Po obu stronach korytarza ciągnęły się numerowane drzwi. Wystrój wnętrza był tu inny: jasnorożowe ściany, popielatoszara wykładzina. Drzwi miały numery powyżej dziesiątki; na samym końcu korytarza mieściły się obok siebie pokoje numer czternaście i piętnaście. May otworzyła drzwi czternastki; weszli za nią do środka.

Znaleźli się w sympatycznym pokoju jakby żywcem przeniesionym z nowoczesnego hotelu w Miami: szerokie, wygodne łóżce; ściany pomalowane na zielono; na ciemnej,

łśniącej mahoniowej podłodze puszyste białe dywany; do tego ciekawie zaprojektowane bambusowe meble obite białą tkaniną w czerwone róże. Jedne drzwi prowadziły do drugiego pokoju, o wnętrzu urządzonym w bardziej męskim stylu, natomiast za drugimi kryła się wyjątkowo luksusowo urządzona łazienka z wpuszczoną w posadzkę wanną i z bidetem.

Tylko dwie rzeczy, pomyślał Bond, różniły ten pokój od apartamentu hotelowego na Florydzie: brak okien oraz brak klamek od wewnętrznej strony drzwi.

May patrzyła wyczekująco.

Bond odwrócił się do Honeychile i uśmiechnął się.

- Jak myślisz, kochanie? Powinno nam tu być wygodnie, prawda? Honey stała skubiąc rąbek spódnicy. Skinęła głową, nie podnosząc wzroku.

Rozległo się ciche pukanie i do pokoju weszła jeszcze jedna dziewczyna, równie ładna jak May, trzymając na uniesionej dłoni pełną tacę. Postawiła ją na środkowym stole i przysunęła do niego dwa fotele. Szybkim ruchem ściągnęła z tacy śnieżnobiałą serwetę, która zakrywała naczynia, i drobnymi kroczkami opuściła pokój.

May i siostra Lily również cofnęły się do drzwi. Starsza Chinka zatrzymała się w progu.

- Zostawiamy was, moi mili, w spokoju. Jeśli czegoś będzie wam potrzeba, wystarczy zadzwonić. Dzwonki są przy łózkach. Aha, i jeszcze jedno. W szafach znajdziecie pod dostatkiem odzieży. W chińskim stylu, co prawda - dodała, uśmiechając się przepraszająco - ale mam nadzieję, że przynajmniej wielkość będzie odpowiednia. Dopiero wczoraj wieczorem otrzymaliśmy wasze wymiary. Pan doktor wydał ściśle polecenia, żeby wam nie przeszkadzano. Natomiast będzie zachwycony, jeśli zechcą państwo zjeść z nim kolację. Cały dzień mają państwo dla siebie, na odpoczynek, na aklimatyzację. - Urwała i spojrzała na nich, uśmiechając się pytająco. - Czy mogę powiadomić pana doktora, że państwo... ?

- Oczywiście - rzekł Bond. - Proszę przekazać panu doktorowi, że z radością przyjmujemy jego zaproszenie.

- Och, na pewno bardzo się ucieszy! - zawołała, po czym obie Chinki, posyłając Bondowi i Honey promienne uśmiechy, wycofały się cicho, zamykając za sobą drzwi.

Bond odwrócił się w stronę dziewczyny. Była wyraźnie speszona i wciąż unikała jego wzroku. Domyślił się, że nigdy dotąd nie odnoszono się do niej tak uprzejmie i że po raz pierwszy w życiu widziała podobne luksusy. To, co się tu działo, musiało się jej wydawać znacznie bardziej dziwne i przerażające niż wszystko, co ich spotkało na zewnątrz. Stała bezradnie, zdumiona jak Piętaszek, miętosząc rąbek zniszczonej spódnicy. Twarz miała pokrytą solą oraz warstwą pyłu, na której ściekający z czoła pot pozostawił szerokie wyżłobienie, bose nogi zaś nieprawdopodobnie brudne. Bond zwrócił uwagę na jej palce u stóp: kurczyły się i prostowały, nerwowo wczepiając się w gęsty dywan.

Parsknął śmiechem. Cieszył się, że problemy Honey związane z tym, jak jest ubrana i jak powinna się zachować, zepchnęły na dalszy plan strach, jaki czuła. Śmiał się również z tego, jak okropnie muszą oboje wyglądać - ona w lachmanach, on w brudnej niebieskiej koszuli, czarnych dżinsach i zabłoconych tenisówkach.

Podszedł do dziewczyny i wziął jej rękę w swoje. Dłonie miała lodowate.

- Honey, wyglądamy jak dwa strachy na wróble - rzekł. - Na szczęście mamy tylko jeden mały problem: czy zjeść śniadanie od razu, póki jest ciepłe, czy najpierw zrzucić z siebie lachy i wykąpać się, a śniadanie zjeść zimne? Resztą się nie przejmuj. Znajdujemy się w ślicznym apartamencie i to jest najważniejsze. No więc co z kąpielą?

Uśmiechnęła się niepewnie. Jej niebieskie oczy badały jego twarz, szukając w niej otuchy.

- Nie martwisz się tym, co się z nami stanie? Nie sądzisz, że to pułapka? - Wskazała na pokój.

- Jeśli pułapka, to już w nią wpadliśmy i nie pozostaje nam nic innego, jak rozkoszować się serem. Tylko nie wiem, czy chcemy go jeść na ciepło, czy na zimno. - Ścisnął jej rękę.
- Naprawdę, Honey. Martwienie się pozostaw mnie. Przypomnij sobie, gdzie byliśmy godzinę temu. Czy tu nie jest nam lepiej? A teraz musimy tylko postanowić, co najpierw: kąpiel czy śniadanie?

- No cóż, jeśli... jeśli tak uważasz... - zaczęła z pewnym ociąganiem, w końcu jednak powzięła decyzję: - Najpierw wolę się umyć. Ale musisz mi pomóc - dodała szybko, wykonując głową ruch w stronę łazienki. - Nie mam pojęcia, jak się tym wszystkim posługiwać.

- To bardzo proste - powiedział Bond, zachowując powagę. - Napuszczę ci wody do wanny. A kiedy ty będziesz się kapać, ja zjem śniadanie, i jakoś przypilnuję, żeby twoje nie wystygło.

Podszedł do jednej z szaf ściennych i odsunął drzwi. W środku wisiały kimona, niektóre jedwabne, inne płócienne. Wyciągnął pierwsze z brzegu płócienne.

- Rozbierz się i włóż to kimono, a ja tymczasem przygotuję ci kąpiel. Później sama sobie wybierzesz, w czym chcesz spać, a co włożyć wieczorem.

- Dziękuję, James - powiedziała z wdzięcznością. - Jeśli tylko mi pokażesz...

Zaczęła rozpinąć bluzkę. Miał ochotę wziąć ją w ramiona, całować. Jednakże powiedział tylko: - W porządku, Honey - po czym wszedł do łazienki i odkręcił kurki.

W łazience znajdowały się wszystkie potrzebne przybory toaletowe. Płyn kąpielowy "Floris Limę" dla panów oraz kostki kąpielowe firmy Guerlain dla pań. Bond zgniótł jedną kostkę i wrzucił do wanny; natychmiast poczuł się jak w oranżerii pełnej orchidei. Mydło "Fleurs des Alpes", też było produkcji Guerlaina. W szafce za lustrem, nad umywalką, czekały szczoteczki, pasta i specjalne sznureczki do czyszczenia zębów, a także wykałaczki, aspiryna i żel aluminiowy. Dojrzał również elektryczną maszynkę do golenia, płyn po goleniu, dwie nylonowe szczotki i dwa grzebienie. Wszystko było fabrycznie nowe.

Bond popatrzył w lustro na swoje szare oczy i brudne, nie ogolone policzki. Uśmiechnął się ponuro do spieczonej słońcem twarzy rozbitka. Tak, pigułkę powleczono najśłodszym możliwie cukrem. Należało więc oczekiwać, że kiedy nadejdzie czas ją przelknąć, okaże się naprawdę bardzo, bardzo gorzka.

Wrócił do wanny i sprawdził wodę. Była zbyt gorąca dla kogoś, kto prawdopodobnie nigdy dotąd nie zażywał kąpieli. Dolał trochę zimnej. Gdy tak stał pochylony, poczuł czyjeś ręce na szyi. Wyprostował się. Złociste ciało Honey lśniło pośród wyłożonych białymi kaflami ścian. Pocałowała go w usta, mocno i niezdarnie. Objął ją i z całej siły przycisnął do siebie; serce waliło mu jak młot.

- Dziwnie się czułam w tym chińskim stroju - szepnęła mu na ucho. - A poza tym, powiedziałeś tej kobiecie, że jesteście małżeństwem.

Dłoń Bonda spoczywała na lewej piersi dziewczyny. Jej sutek był twardy z podniecenia, a brzuch napierał na jego brzuch. Czemu nie? Czemu nie? Nie bądź durniem. To absolutnie nieodpowiednia chwila. Jesteście oboje w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Musisz mieć umysł zimny jak lód, jeśli chcesz się z tego jakoś wykaraskać. Później! Później! Bądź silny!

Zdjął rękę z piersi Honey i zarzucił jej na szyję. Potarł twarzą o twarz dziewczyny, a potem zbliżył usta do jej warg i długo i namiętnie je całował.

Następnie cofnął się na odległość wyciągniętej ręki. Przez pewien czas wpatrywali się w siebie oczami błyszczącymi z pożądania. Honey oddychała szybko; pomiędzy jej rozchylonymi ustami polyskiwały białe zęby.

- Honey, wskakuj do wanny, zanim dam ci klapsa - powiedział, próbując zapanować nad drżącym głosem.

Uśmiechnęła się, bez słowa weszła do wanny i wyciągnęła się w niej. Podniosła wzrok na Bonda. Jasne włoski na jej ciele lśniły prowokująco w wodzie niczym złote monety.

- Musisz mnie umyć - szepnęła prowokacyjnie. - Sama nie umiem. Pokażesz mi, jak to się robi?

- Zamknij się, Honey! - zawołał zdesperowany. - Koniec flirtowania. Bierz mydło, gąbkę i szoruj się. Cholera, to nie jest właściwy moment na uprawianie miłości! Idę jeść śniadanie.

Chwycił klamkę i otworzył drzwi.

- James... - zawołała cicho.

Kiedy się obejrzał, pokazała mu język. Wyszczrzył do niej zęby i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Udał się do drugiego pokoju i przez chwilę stał pośrodku, czekając, aż serce przestanie mu walić. Potarł dłońmi twarz i potrząsnął głową, żeby pozbyć się sprzed oczu obrazu Honey. Usiłując jakoś zebrać myśli, zaczął dokładnie oglądać oba pokoje w poszukiwaniu drogi ucieczki, mikrofonów, czegoś, co mogłoby posłużyć mu za broń albo dostarczyć nowych informacji o doktorze No. Nie znalazł nic. Na ścianie wisiał zegar elektryczny, który wskazywał ósmą trzydzieści, a nad szerokim łóżkiem widniał cały szereg przycisków z napisami: BUFET, FRYZJER, MANIKIURZYSTKA, POKOJÓWKA. Telefonu nie było. W obu pokojach wysoko pod sufitem znajdowała się krata wentylacyjna. Otwory jednak były małe. Bezużyteczne. Drzwi wykonane były z jakiegoś lekkiego metalu i pomalowane w tym samym kolorze co ściany. Bond uderzył w nie całym ciężarem. Nawet nie drgnęły. Potarł ramię. Apartament był więzieniem - eleganckim więzieniem. Nie było co do tego dwóch zdań. Tkwił w pułapce. Jedyne, co im pozostało, to - póki jeszcze mogli - rozkoszować się serem.

Usiadł przy zastawionym stole. W platerowej misie wypełnionej kruszonym lodem czekała spora szklanka soku ananasowego. Wypił duszkiem sok, a następnie zdjął pokrywkę z talerza. Na jedną osobę przypadły grzanki z jajecznicą, cztery plasterki bekonu, nerka z rusztu, oraz kawałek wieprzowej kielbasy. Oprócz tego na stole znajdowały się dwa rodzaje tostów, świeże bułeczki, marmolada, miód i dżem truskawkowy. Kawa w termosie była gorąca. Śmietanka pachniała świeżo.

Z łazienki doleciał go głos Honey; nuciła Marion. Bond zmusił się, żeby nie słuchać, i wziął się do grzanek.

Dziesięć minut później usłyszał, że otwierają się drzwi łazienki. Odłożył tosta z marmoladą i zakrył rękami oczy.

Dziewczyna roześmiała się.

- Tchórz! Boi się prostej dziewczyny! - zawołała.

Potem usłyszał, że dziewczyna podchodzi do szafy i szpera w niej. Jednocześnie mówiła, jakby sama do siebie:

- Ciekawe, dlaczego tak się boi. Gdybyśmy się zaczęli siłować, na pewno bez trudu rozłożyłabym go na łopatki. Może właśnie tego się boi? Może nie jest taki silny? Bicepsy ma duże, klatkę piersiową szeroką. Ale reszty jego ciała dotąd nie widziałam. Może więc wszystko inne ma małe i słabe? Tak, pewnie o to chodzi. Dlatego nie ma odwagi się przy mnie rozebrać. Hm... Ciekawe, czy w tym bym mu się podobała? - Podniosła głos. -

James, kochanie, podobałabym ci się w białym kimonie, po którym latają bładoniebieskie ptaki?

- Tak, do licha - odparł Bond, nie odsłaniając oczu. - A teraz przestań wreszcie mruzczyć do siebie pod nosem i chodź jeść. Robię się senny.

- Och! - zawołała. - Jeśli chcesz przez to powiedzieć, że czas, abyśmy poszli do łóżka, to już pędzę!

Rozległ się tupot bosych stóp i Bond usłyszał, jak Honey siada przy stole. Opuścił ręce. Uśmiechała się do niego. Wyglądała czarująco. Włosy miała umyte, wysuszone i pięknie wyszczotkowane; z jednej strony twarzy zaczesane za ucho, z drugiej opadające na policzki. Jej skóra lśniła świeżością, a wielkie niebieskie oczy iskrzyły się radośnie. Podobał mu się nawet złamany nos dziewczyny; stanowił jakby jej nieodłączną część. Nagle Bond pojął, że będzie mu smutno, kiedy Honey stanie się piękną bez skazy, taką samą piękną jak tysiące innych dziewcząt. Ale wiedział, że nawet nie warto próbować jej o tym przekonywać. Siedziała grzecznie, trzymając ręce na podolku poniżej długiego dekoltu, przez który widać było połowę jej piersi oraz trójkąt brzucha.

- Słuchaj, Honey - rzekł surowym tonem Bond. - Wyglądasz uroczo, ale nie tak nosi się kimono. Zaciągnij poły, zwiąż ciasno paskiem i przestań pozować na kurtyzanę. Przy śniadaniu to nie przystoi.

- Ale z ciebie nudziarz! - zawołała, ale zmniejszyła nieco dekolt. - Dlaczego nie chcesz się ze mną bawić? Miło byłoby poudawać, że jesteśmy małżeństwem.

- Nie przy śniadaniu - powiedział stanowczo. - No już, zjadaj. Wszystko jest przepyszne. A ja jestem potwornie brudny. Muszę się ogolić i wykapać. - Wstał, obszedł stół i pocałował Honey w czubek głowy. - A jeśli chodzi o twoje pytanie, to wolałabym bawić się z tobą niż z kimkolwiek na świecie. Ale nie teraz.

Nie czekając na jej odpowiedź, wszedł do łazienki i zamknął drzwi.

Ogolił się, wykapał, a potem wziął zimny prysznic. Co pewien czas nachodziła go tak straszna senność, że musiał przerywać, to co robił, i opuszczać głowę między kolana. Kiedy zaczął myć zęby, ledwo mógł poruszać szczotką. Wreszcie zrozumiał, co się z nim dzieje: podano mu środek nasenny. W kawie czy w soku ananasowym? Nie miało to znaczenia. Nic nie miało znaczenia. Pragnął wyciągnąć się na posadzcę i zamknąć oczy. Ślaniając się na nogach, otworzył drzwi. Zapomniał, że jest nagi. Zresztą to też nie miało znaczenia. Honey skończyła już śniadanie. Była w łóżku. Zataczając się i przytrzymując mebli, podszedł do niej. Kimono dziewczyny leżało na podłodze. Honey spała mocno, naga, przykryta tylko prześcieradłem.

Bond popatrzył sennie na wolną poduszkę obok głowy dziewczyny. Nie! Znalazł kontakt i zgasił światło. Po czym na czworakach zaczął się czołgać do swojego pokoju. Dotarł do łóżka i wszedł na nie z wielkim wysiłkiem. Wyciągnął ciężkie jak z ołowiu ramię, żeby zgasić lampę stojącą przy łóżku. Nie mógł trafić na wyłącznik; w końcu stracił niechcący lampę na podłogę. Żarówka pękła z hukiem. Ostatnim wysiłkiem woli, Bond przekręcił się na bok i pozwolił się porwać fali snu.

Świeące wskazówki zegara elektrycznego wiszącego na ścianie w pokoju, w którym spała Honey, wskazywały dziewięć trzydzieści.

O dziesiątej drzwi się cicho otworzyły. Na tle oświetlonego korytarza ukazała się wyjątkowo wysoka, chuda sylwetka mężczyzny. Musiał mieć prawie dwa metry wzrostu. Przez chwilę stał w drzwiach, nasłuchując, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Upewniwszy się, że lokatorzy śpią, wszedł wolno do pokoju i zbliżył się do łóżka. Znał drogę. Schylił się i przez moment słuchał miarowego oddechu dziewczyny. Potem sięgnął do latarki umocowanej na pasku biegnącym wokół klatki piersiowej i nacisnął przełącznik, rzucając w dół szeroki snop światła. Mężczyzna schylił się, żeby obejrzeć twarz dziewczyny.

Wpatrywał się w nią przez kilka minut. Potem wyciągnął rękę, ujął ją brzeg prześcieradła i powoli ściągnął je w dół. Ręka mężczyzny nie była ludzką ręką. Były to ruchome, stalowe szczytce na końcu metalowego pręta, którego drugi koniec niął w czarnym, jedwabnym rękawie. Mężczyzna miał protezę.

Przez długą chwilę patrzył na nagie ciało, obracając się to w lewo, to w prawo, żeby je lepiej oświetlić latarką. Potem stalowe szczypcy ponownie ujęły brzeg prześcieradła i podciągnęły je do góry. Mężczyzna stał jeszcze moment, przyglądając się twarzy śpiącej dziewczyny, po czym wyłączył wiszącą na piersi latarkę i bezgłośnie skierował się w stronę otwartych drzwi pokoju, w którym spał Bond.

Przy łóżku Sonda mężczyzna spędził znacznie więcej czasu. Wpatrywał się w każdą linię, każdą zmarszczkę na opalonej, nieco drapieżnej twarzy pogrążonego w głębokim śnie, nieobecnego duchem Anglika. Spoglądając na żyłę pulsującą mu na szyi, mężczyzna policzył tętno, a potem, kiedy ściągnął ze śpiącego prześcieradło, policzył je jeszcze raz, obserwując lekkie drgania skóry w okolicy serca. Oszacował siłę wyraźnie zarysowanych mięśni ramion i ud, po czym długo obserwował płaski brzuch, usiłując ocenić kryjącą się w nim moc. Pochylił się nawet nad wyciągniętą do góry prawą ręką Bonda i studiował uważnie jego linie życia i przeznaczenia.

Wreszcie stalowe szczypcy z niezwykłą delikatnością podciągnęły prześcieradło z powrotem pod brodę śpiącego. Wysoka postać stała jeszcze przez chwilę nad Bondem, po czym szeleszcząc cicho kimonem przeszła przez oba pokoje i wyszła na korytarz. Drzwi zamknęły się z cichym trzaskiem.

ROZDZIAŁ 14 PODWODNY SALON

Zegar elektryczny w chłodnym, zaciemnionym pokoju mieszczącym się we wnętrzu góry wskazywał wpół do piątej.

Na zewnątrz góry na Crab Key dobiegał końca kolejny skwarny i smrodliwy dzień. Stada ptaków na wschodnim krańcu wyspy, czaple, pelikany, szablodzioby, brodzie, ślepowrony, flamingi, a także nieliczne różowe warzęchy, łowiły ryby w płytkich wodach jeziora lub budowały gniazda. Jednakże spokój ptaków tyle razy był zakłócany w ciągu ostatniego roku, że większość z nich zrezygnowała z budowy. Od kilku miesięcy zajmowane przez ptaki tereny systematycznie nawiedzał nocą potwór: palił krzaki, w których przesiadywały, i niszczył wszystkie świeżo wzniesione konstrukcje. W tym sezonie wiele ptaków nie odczuwało popędu do rozmnażania. Zapowiadało się na to, że niektóre podejmą próbę migracji, a wiele padnie w wyniku nerwowej hysterii, która zwykle ogarnia ptasie kolonie, kiedy coś narusza spokój, w jakim żyły dotychczas.

Na drugim końcu wyspy, tam gdzie znajdowały się pokłady guana, upodabiające górę do ośnieżonego szczytu, niezliczone rzesze kormoranów spędziły dzień tak jak zwykle, opychając się rybami i składając swojemu troskliwemu właścicielowi podziękowanie w postaci odrobiny cennego nawozu każdy. Ich pory godowej nie zakłóciło nic. Teraz kręciły się hałaśliwie przy bezładnej stercie patyków, które były zaczątkami ich gniazd; każdy stos był oddalony od sąsiednich o sześćdziesiąt centymetrów, gdyż kormorany należą do klótlivych ptaków, a sześćdziesiąt centymetrów to właśnie średnica koła, którego obszar każdy z nich uważa za swoje niepodzielne królestwo.

Poniżej szczytu góry, tam gdzie prowadzono eksploatację guana, mniej więcej setka Murzynów i Murzynek kończyła właśnie pracę. Ze zbocza góry wykopano kolejne pięćdziesiąt metrów sześciennych odchodów, przedłużając poziom wydobywcy o dalsze dwadzieścia metrów. Zbocze góry przypominało terasowe winnice północnych Włoch, z tym że na płaskich progach nie rosło tu nic. Wokół unosił się smród, lecz nie gazu błotnego, jak na pozostałym obszarze wyspy, a amoniaku. Nieprzyjemny, gorący wiatr, który suszył złoza, porywał wzbijający się przy kopaniu białobrunatny pył i ciskał w oczy, uszy i nozdrza robotników. Ci jednak już dawno przywykli i do odoru, i do pyłu. Ich praca była łatwa, bezpieczna. Nie mieli powodów do narzekań.

Ostatni tego dnia wagon kolejki wąskotorowej ruszył krętymi torami w stronę kruszarki i segregatora. Rozległ się gwizd; kopacze zarzucili na ramiona niezgrabne kilofy i zeszedli leniwie po zboczu do otoczonego wysoką siatką skupiska blaszanych baraków, w których mieszkali. Ogrodzonego terenu nie wolno im było opuszczać. Jutro do kei po drugiej stronie góry - do kei, którą zbudowali przed dziesięciu laty, a której od tego czasu nie widzieli - miał przybić statek, jak zwykle, raz w miesiącu odwiedzający wyspę. Oznaczało to, że w kantynie pojawią się nowe zapasy, nowe towary, tandetna biżuteria. Dostaną dzień wolny. Będzie rum, będą tańce, wybuchnie parę bójek. Życie układało się dobrze.

Układało się dobrze również dla strażników i nadzorców; wszyscy oni - tak jak ci, co polowali na Bonda i dziewczynę - byli Chinonegrami. Właśnie kończyli pracę w garażu, w warsztatach i ruszali w stronę kwater "oficerskich". Strażników na posterunkach zastępowali zmiennicy. Jutrzejszy dzień był dla wszystkich wolny oprócz, tych, którzy mieli pełnić wartę lub nadzorować załadunek. Będą pić, tańczyć i dostaną - jak co miesiąc - nowe dziewczyny spośród robotnic. Niektóre z zawartych poprzednim razem "małżeństw" będą trwałe, zależnie od woli "męża", jeszcze kilka tygodni, czy nawet miesięcy; mniej stali w uczuciach otrzymają do wyboru nowe partnerki pomiędzy kobiet, które niedawno urodziły dzieci i którym w związku z tym przypadła lżejsza praca, a także spośród młodych dziewcząt, które po raz pierwszy opuszczały teren robotniczego osiedla. Jak zwykle właśnie o te dziewczęta wybuchną bójki, poleje się nieco krwi, ale w końcu wszystko jak zawsze wróci do normy; rozpocznie się kolejny miesiąc, który każdy spędzi z własną kobietą dbającą o zaspokojenie wszystkich męzkich potrzeb.

Głęboko w chłodnym wnętrzu góry, z dala od zdyscyplinowanego życia, jakie toczyło się na jej powierzchni, Bond obudził się. Środek nasenny sprawił, że trochę bolała go głowa, ale poza tym nic mu nie dolegało i czuł się wypoczęty. W pokoju dziewczyny paliło się światło; słyszał jej kroki. Spuścił nogi na podłogę i omijając odłamki szkła ze stłuczonej lampy, podszedł cicho do szafy, włożył pierwsze lepsze kimono, po czym ruszył do drzwi. W sąsiednim pokoju zobaczył leżący na łóżku stos kimon, które Honey po kolei przymierzała przed lustrem. W tym momencie miała na sobie jedwabne kimono w kolorze błękitnym, który przepięknie harmonizował z jej złocistą skórą.

- Zostań w nim - powiedział.

Odwróciła się, zakrywając ręką usta. Na widok Bonda opuściła rękę i uśmiechnęła się.
- Ach, to ty! Myślałam, że się nigdy nie obudzisz. Zaglądałam do ciebie kilka razy i w końcu postanowiłam dać ci czas do piątej. Dochodzi teraz czwarta trzydzieści i jestem potwornie głodna. Mógłbyś nam zdobyć coś do jedzenia?

- Oczywiście.

Podszedł do łóżka; mijając dziewczynę, objął ją ręką w pasie i razem zbliżyli się do dzwonek. Bond przyjrzał się im z uwagą, po czym nacisnął ten z napisem BUFET.

- A może wszystkie ponaciskać? Skorzystajmy z dostępnych luksusów!

Honey zachichotała.

- Co to znaczy "manikiurzystka"?

- To taka osoba, która przycina paznokcie. Postarajmy się ładnie wyglądać dla doktora No.

Cały czas tłukła mu się po głowie myśl, że powinien zdobyć jakąś broń, a nożyczki były lepsze niż nic. Każdy ostry przedmiot mógł się przydać.

Nacisnął dwa kolejne dzwonek. Opuścił rękę, którą obejmował Honey, i rozejrzał się dookoła. Ktoś musiał wchodzić do apartamentu, kiedy spali, bo ze stołu znikły naczynia. Na kredensie przy ścianie wypatrzył tacę z napojami. Zbliżył się do niej. Był tam cały asortyment trunków. Pomiedzy butelkami leżały wetknięte dwa jadłospisy - każdy z nich

składał się z dwóch stron gęsto pokrytych drukiem. "Równie dobrze pasowałyby do ekskluzywnych lokali, takich jak "Savoy Grill", "21" czy "Tour d'Argent". Zerknął na dania. Na pierwszym miejscu figurował Caviar double de Beluga, na ostatnim Sorbet a la Champagne, pomiędzy nimi zaś wszystkie możliwe potrawy, których składnikom nie szkodziło zamrażanie. Odłożył kartę. Jedno było pewne: myszy nie mogły narzekać na jakość sera w pułapce!

Rozległo się pukanie do drzwi i po chwili stanęła w nich urocza May. Za nią weszły do środka dwie inne szczebiotliwe młode Chinki. Bond przerwał potok ich uprzejmych słów, żeby zamówić dla Honey herbatę oraz tosty z masłem, a następnie polecił kobietom uczesać ją i zrobić jej manikiur. Sam udał się do łazienki, lyknął dwie aspiryny i wziął prysznic. Potem znów narzucił na siebie kimono; zobaczywszy się w lustrze, uznał że wygląda w nim idiotycznie. Kiedy wrócił do pokoju, May z promiennym uśmiechem na twarzy spytała, czy on i pani Bryce byliby tacy mili i zechcieli zamówić coś z karty na kolację. Bond bez entuzjazmu wybrał kawior, baraninę z rusztu, sałatkę oraz ciastko z bitą śmietaną. Ponieważ Honey nie umiała dokonać wyboru, zamówił dla niej melona na przystawkę, kurczaka a l'Anglaise oraz lody waniliowe polaną czekoladą.

May uśmiechnęła się z zadowoleniem i aprobatą.

- Pan doktor chciałby wiedzieć, czy odpowiada państwu siódma czterdzieści pięć wieczorem?

Bond odparł krótko, że owszem.

- Dziękuję panu, panie Bryce. Przyjdę po państwa o siódmej czterdzieści cztery.

Poszedł do toaletki, przy której dwie młode Chinki zajmowały się Honey. Smukłe, pracowite palce manipulowały przy jej włosach i paznokciach. Honey, cała podniecona, uśmiechnęła się do niego w lustrze.

- Tylko nie pozwól zrobić z siebie małpiszona - powiedział burkliwie i skierował się w stronę tacy z napojami.

Nalał sobie dużą porcję whisky z wodą sodową i wrócił do swojego pokoju. Nici z pomysłu zdobycia broni. Nożyczki, pilniki i inne przybory umocowane były do łańcuszka, którym manikiurzystka przewiązana była w pasie. Tak samo nożyce fryzjerskie. Usiadł na rozbabranym łóżku i pogrążony w ponurych myślach sączył trunk.

Wreszcie Chinki skończyły pracę. W drzwiach stanęła Honey. Kiedy zobaczyła, że Bond nie podnosi głowy, wycofała się. Po pewnym czasie wszedł do jej pokoju, żeby nalać sobie kolejnego drinka.

- Wyglądasz cudownie - mruknął zdawkowo.

Zerknął na zegar ścienny, po czym znów wrócił do siebie, opróżnił szklanekę i przebrał się w inne, równie idiotyczne kimono - czarne, proste, bez żadnych ozdób.

O ustalonej porze rozległo się ciche pukanie; w milczeniu opuścili pokój i ruszyli pustym, przestronnym korytarzem. May zatrzymała się przy windzie. Kiedy weszli do kabiny, drzwi się zasunęły. Z plakietki na ścianie Bond wyczytał nazwę producenta: Waywood Otis. Wszystko w tym więzieniu było najwyższej klasy. Wzdrygnął się z obrzydzeniem. Nie uszło to uwagi dziewczyny.

- Przepraszam, Honey - powiedział. - Trochę boli mnie głowa.

Nie chciał jej mówić, że przynębia go cała ta wyrafinowana komedia, że nie ma najmniejszego pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, ale na pewno o nic dobrego, i że dotąd nie zaświtał mu w głowie żaden pomysł, jak mógłby wyplątać ich z calej tej afery. To właśnie było najgorsze. Świadomość, że nie wie jak się bronić lub jak atakować, zawsze działała na Bonda niezwykle przynębiająco.

Dziewczyna przysunęła się bliżej.

- Biedny James. Może niedługo ból ci przejdzie. Nie jesteś na mnie zły?

Zmusił się do uśmiechu.

- Nie, kochanie. Tylko na siebie. - Zniżył głos. - Słuchaj, jeśli chodzi o dzisiejszy wieczór, pozostaw mówienie mnie. Zachowuj się naturalnie i nie przejmuj się doktorem No. Może być trochę pomyłony.

Skinęła z powagą.

- Postaram się.

Winda zwolniła i zatrzymała się. Na jaką głębokość zjechali? Trzydzieści metrów?

Pięćdziesiąt? Automatycznie rozsuwane drzwi otworzyły się z sykiem. Bond i dziewczyna wyszli z kabiny i znaleźli się w ogromnym, pustym pomieszczeniu.

Była to wysoka sala, długości około dwudziestu metrów, o trzech ścianach zastawionych książkami od podłogi po sufit. Na pierwszy rzut oka czwarta ściana wyglądała tak, jakby wykonano ją z grubego, ciemnogrnatowego szkła. Pomieszczenie to przypuszczalnie służyło za gabinet i bibliotekę. W jednym rogu znajdowało się duże, zawalone papierami biurko, na środku zaś stół, na którym leżały różne gazety i pisma. Gdzieś w pokoju stały wielkie, wygodne fotele obite czerwoną skórą. Na podłodze leżał zielony dywan; proste lampy dawały dość przyziemne światło. Jediną osobliwością w tym pomieszczeniu było to, że barek i kredens umieszczono przy szklanej ścianie, mniej więcej w połowie jej długości, a fotele oraz mniejsze stoliki z popielniczkami stały półkolem przed nią - sprawiało to wrażenie, jakby właśnie ściana była centralnym elementem wnętrza.

Nagle Bond dostrzegł w ciemnej szybie jakiś ruch. Zbliżył się do niej. Srebrzysta ławica małych rybek, za którymi gonila jakaś większa, uciekała w popłochu. Po chwili znikły, jakby za krawędzią ekranu. Więc to nie była ściana. Ale co? Ogromne akwarium? Spojrzał do góry. Mniej więcej metr poniżej sufitu drobne fale uderzały o szklaną taflę. Nad falami zaś ciągnął się skrawek nieco jaśniejszej czerni, pokryty punkcikami światła. Wskazówką dla Bonda okazał się gwiazdozbiór Oriona. A więc to nie było akwarium. Za szybą znajdowało się prawdziwe morze oraz kawałek nocnego nieba. Mieli przed sobą ścianę, tyle że wykonaną z grubego, zbrojonego szkła. Bond zrozumiał, że on i Honey stoją siedem metrów pod poziomem morza i patrzą prosto w jego otchłań. Stali jak oniemiała, obserwując wodę. Nagle ujrzeli parę wielkich wylupiastych oczu. Potem błysnęła i zaraz znikła lśniąca, złotawa głowa oraz opasłe cielsko. Czyżby ogromny okoń? Następnie pojawiła się gromada srebrzystych sardeli, które na moment zwolniły, po czym szybko popłynęły dalej. Siedmiometrowe frędzle meduzy połyskujące fioletowo tam, gdzie padało na nie światło, wolno przysłoniły obraz. W górze, tuż pod powierzchnią wody, widać było płynące z wiatrem ciemne, galaretowate brzuszysko oraz zarysy wzdętego pęcherza.

Bond przeszedł wzdłuż ściany, zafascynowany pomysłem pokoju z nieustannie zmieniającymi się, żywymi obrazami za oknem. Nisko przy podłodze wdrapywał się wolno po szybie olbrzymi mięczak w szaro-brązowej, stożkowatej muszli; nie opodał, w rogu, kilka ryb, wśród nich tazar, makrela i szkarłatny ostrobok, ocierało się o szybę; obok wędrował po niej równonóg, pożerając drobniutkie glony, które zapewne codziennie przyklejały się do szkła. Nagle na środek ekranu padł długi, ciemny cień - po chwili zaczął się wolno przesuwać. Gdyby tylko można było zobaczyć jeszcze więcej! Jakby na zawołanie dwa silne strumienie światła, dobywające się gdzieś spoza ekranu, przecięły wodę. Najpierw każdy oddzielnie badał głębię morską, potem złąły się w jeden potężny snop i oświetliły znikający cień. Szare, czterometrowe cielsko rekina ukazało się w całej okazałości. Widać było nawet lypiące ciekawie w stronę światła małe, świńskie oczka, oraz pulsujące miarowo ukośnie szczeliny skrzeli. Nagle rekin obrócił się jeszcze bardziej w stronę światła, ukazując biały sierp pyska. Przez moment tkwił tak bez

ruchu, po czym skręcił nagle w bok, i machnąwszy pogardliwie wielkim, potężnym ogonem, oddalił się z szybkością błyskawicy.

Reflektory powoli zgasły. Bond odwrócił się, oczekując, że zobaczy doktora No, ale nikt się nie pojawił. W porównaniu z tajemniczym, tętniącym życiem światem za szybą, sala, w której się znajdowali, sprawiała wrażenie statycznej, martwej. Znowu skierował spojrzenie na wodę. Zastanawiał się, jak to wszystko musi wyglądać w świetle dziennym, kiedy przez szybę widać na odległość co najmniej dwudziestu metrów? A podczas sztormu, kiedy fale tłuką bezgłośnie o ekran, po czym opadają niemal do samej podłogi, cofają się i po chwili znowu załamują się o szkło? A jak wygląda wieczorem, kiedy ostatnie promienie zachodzącego słońca przedzierają się do sali przez górną połowę szyby, natomiast w jej dole iskrzą roztańczone plamki światła i maleńkie polipy? Niezwykły musiał to być człowiek, który wpadł na tak zadziwiający i oryginalny pomysł! I jakież to niesamowite osiągnięcie budowlane! Jak on tego dokonał? Istniał tylko jeden sposób. Najpierw zapewne postawiono szybę, a dopiero potem usunięto delikatnie od zewnątrz, warstwa po warstwie, skalę; trwało to pewnie i trwało zanim nurkowie mogli wreszcie przystąpić do zdrapywania ostatniej warstwy. Jakiej grubości była szyba? Kto ją wykonał? Jak ją przetransportowano na wyspę? Ilu nurków musiano zatrudnić? I ile, na Boga, całe to przedsięwzięcie mogło kosztować?

- Milion dolarów.

Głos był głęboki, dudniący, z lekkim amerykańskim akcentem.

Bond wolno, niemal z niechęcią, oderwał wzrok od szyby. Doktor No wszedł przez drzwi znajdujące się za biurkiem. Z powściągliwym uśmiechem na twarzy patrzył na Bonda i Honey.

- Zapewne zastanawiał się pan nad kosztami. Zwykle po pierwszych piętnastu minutach gości interesuje strona finansowa mojego przedsięwzięcia. Czy zgadłem?

- Tak.

Doktor No obszedł biurko i wciąż z tym samym powściągliwym uśmiechem na twarzy (wkrótce Bond miał się do niego przyzwyczaić) ruszył niespiesznie w stronę Bonda i dziewczyny. Miało się wrażenie, że nie idzie, lecz jakoś dziwnie sunie po podłodze, gdyż opadające do samej ziemi stalowoszare kimono w ogóle nie załamywało się, kiedy zginał kolana.

W pierwszej chwili najbardziej rzucały się w oczy wzrost, chudość i sztywna postawa mężczyzny. Górował nad Bondem o jakieś piętnaście centymetrów, ale jego prosta, nieruchoma sylwetka sprawiała, że wydawał się jeszcze wyższy. Głowę miał okrągłą i zupełnie łysą, twarz pociągłą, zwężającą się ku dołowi, zakończoną spiczastą brodą; całość przypominała odwróconą do góry nogami kroplę wody, a raczej kroplę oleju, ponieważ skóra mężczyzny miała intensywnie żółty odcień.

Wiek doktora No stanowił dla Bonda zagadkę: na jego obliczu nie widać było żadnych zmarszczek. Dziwnie patrzyło się na czoło gładkie niczym wypolerowana czaszka kościotrupa. Skóra na wystających kościach policzkowych i wklęsłych, zapadniętych policzkach również była gładka jak kość słoniowa. Brwi przypominały brwi Salvadora Dali: cienkie, czarne, mocno łukowate, wyglądały jak część makijażu prestidigitatora. Spozierały spod nich skośne, czarne jak smoła oczy pozbawione rzęs, oczy nieruchome, bez wyrazu, przywodzące na myśl wyloty luf dwóch małych rewolwerów. Cienki, prosty nos kończył się tuż nad długą, wąską szramą ust, z których - choć bezustannie rozciągał je uśmiech - biło okrucieństwo i władczość. Podbródek był mocno cofnięty. Później Bond przekonał się, że mężczyzna rzadko obracał głowę więcej niż dwa, trzy centymetry, toteż odnosiło się wrażenie, że jest na stałe zespolona z kręgosłupem.

Dziwaczna, sunąca bezgłośnie postać przypominała jadowitą glistę owiniętą szarą folią; Bond nawet by się specjalnie nie zdumiał, gdyby okazało się, że reszta ciała wlecze się z tyłu po dywanie, zostawiając na nim mokre ślady.

Mężczyzna zatrzymał się trzy kroki od Bonda i dziewczyny. Szrama na twarzy rozwarła się.

- Wybaczcie proszę, że nie podam wam ręki. - Głos był głęboki, jednostajny. - Niestety nie mogę. - Rękawy rozsunęły się. - Nie mam rąk.

Ukazały się dwie pary stalowych szczypiec na metalowych prętach; unosząc je do góry niczym modliszka, mężczyzna zademonstrował je gościom. Po chwili rękawy znów się zsunęły.

Bond poczuł jak Honey wzdryga się.

Czarne dziury oczu skierowały się na dziewczynę. Wzrok mężczyzny zatrzymał się na jej nosie.

- Wielka szkoda - powiedział jednostajny głos.

Oczy przesunęły się z powrotem w stronę Bonda.

- Podziwialiście moje akwarium. - Było to stwierdzenie faktu, a nie pytanie. - Ludzie lubią oglądać zwierzęta i ptaki. Ja postanowiłem mieć przyjemność również z oglądania ryb. Świat podwodny jest znacznie bardziej urozmaicony i fascynujący. Sądzę, że podzielacie to zdanie.

- Gratuluję panu pomysłu - rzekł Bond. - Nigdy nie zapomnę tego miejsca.

- Z pewnością. - Było to kolejne stwierdzenie faktu, wypowiedziane z lekką ironią. -

Mamy jednak sporo do omówienia, a tak mało czasu. Usiądźcie proszę. Może coś do picia? Albo papierosa? Leżą na stolikach.

Poszedł do wysokiego, obitego skórą fotela i zagłębił się w nim. Bond zajął miejsce naprzeciwko. Dziewczyna usiadła pomiędzy nimi, na fotelu nieco odsuniętym do tyłu.

Bond wyczuł za sobą jakiś ruch i zerknął przez ramię. Niski Chinonegr o budowie zapaśnika stał przy barku. Ubrany był w czarne spodnie i elegancką białą marynarkę. Czarne, migdałowego kształtu oczy osadzone w szerokiej, okrągłej jak księżyc twarzy prześlizgnęły się po nim obojętnie.

- Ten to moja ochrona osobista - wyjaśnił doktor No. - Jest specem od wielu spraw.

Proszę się nie dziwić jego nagłemu nadejściu. Zawsze noszę przy sobie, o tu - wskazał brodą na pierś - miniaturowy nadajnik. Wzywam Sam-Sama, ilekroć jest mi potrzebny. Czego napije się pańska dziewczyna?

"Dziewczyna", nie "żona". Bond odwrócił się do Honeychile. Patrzyła przed siebie szeroko otwartymi oczami.

- Poproszę coca-colę - powiedziała cicho.

Bond poczuł pewną ulgę. Najwyraźniej to całe przedstawienie nie deprymowało dziewczyny tak bardzo, jak się obawiał.

- A ja wódkę z wermutem i cytryną. Proszę dobrze zamieszać. I wolałbym wódkę polską albo rosyjską.

Powściągliwy uśmiech rozciągnął się nieco.

- Widzę, że jest pan człowiekiem, który wie czego chce - oznajmił doktor No. - W tym konkretnym przypadku pańskie życzenia zostaną spełnione. Na ogół tak bywa, nie uważa pan? Z mojego doświadczenia wynika, że kiedy człowiek wie, czego chce, na ogół to osiąga.

- Zwykle osiąga jednak tylko drobny sukces.

- Jeśli nie osiąga wielkiego, to znaczy, że nie ma wielkich ambicji. Potrzebna jest koncentracja i dokładnie wyznaczony cel. Umiejętności pojawiają się same, środki również. "Dajcie mi punkt oparcia, a poruszę światem". Ale tylko pod warunkiem, że będzie w nas dostatecznie silne pragnienie, aby światem poruszyć. - Kąciki warg

wykrzywiły się lekko, z dezaprobatą. - Skończmy z tą paplaniną i porozmawiajmy poważnie. Sądzę, że obaj wyżej cenimy rzeczową rozmowę od pustej gadaniny. Czy koktajl przyrządzono po pana myśli? Dobrze. Mam nadzieję, że rakowi płuc, którego na pewno się pan już nabawił, odpowiada ten gatunek papierosów. Sam-Sam, postaw przy gościu urządzenie do mieszania koktajli, a dziewczynie daj drugą colę. Jest teraz dziesięć po ósmej. Kolację zjemy punktualnie o dziewiątej.

Wyprostował się w fotelu, po czym pochylił się do przodu i wbił wzrok w Bonda. Przez chwilę w sali panowała cisza.

- A teraz, panie Jamesie Bondzie z angielskiego wywiadu, wymienimy nasze sekrety. Ja zacznę pierwszy, żeby udowodnić panu, że nie mam nic do ukrycia. A potem wysłucham pana. - Jego oczy lśniły złowrogo. - Ale nie wolno nam kłamać. - Wysunął z rękawa stalowe szczypce i uniósł do góry, zbliżając je do swoich oczu. Po krótkiej pauzie ciągnął dalej. - Będę mówił prawdę. Mam nadzieję, że pan też. Jeśli będzie pan kłamał, poznam to bez trudu.

Przysunął stalowe szczypce do oczu i lekko w nie zastukał. Rozległy się dwa ciche trzaski.

- Moje oczy widzą wszystko - oświadczył.

ROZDZIAŁ 15

PUSZKA PANDORY

James Bond uniósł kieliszek i w zamyśleniu sączył trunek. Dalsze blefowanie nie miało sensu. Historyjka, że jest przedstawicielem Towarzystwa Audubona była nieprzekonywająca i mógł ją podważyć każdy, kto znał się choć trochę na ptakach. Z pewnością przejrzano jego grę. Teraz musi się skupić na ochronie dziewczyny. Przede wszystkim powinien ją uspokoić.

Bond uśmiechnął się do doktora No.

- Wiem o pańskim człowieku w King's House, o panie Taro - powiedział - Jest pana agentką. Odnotowałem ten fakt, który podobnie jak inne, ujawnię w stosownym czasie - twarz doktora No nie zdradzała zainteresowania. Skoro jednak mamy rozmawiać, darujmy sobie efekty sceniczne. Jest pan interesującym człowiekiem, niechże więc pan nie pozuje na jeszcze bardziej interesującego. Miał pan nieszczęście stracić obie dłonie. Nosi pan protezy tak jak wielu ludzi rannych na wojnie. Zamiast okularów używa pan szkieł kontaktowych. Przywołuje pan służącego nie dzwonkiem, lecz za pomocą radiotelefonu. Bez wątplenia ma pan w zanadrzu również inne sztuczki. Ale, doktorze No, nadal pozostaje pan człowiekiem, który sypia, je i załatwia się jak my wszyscy. Niech pan już skończy z tymi sztuczkami. Nie jestem jednym z pańskich wydobywców guana. Zresztą nie robią one na mnie wrażenia.

Doktor No pochylił lekko głowę.

- Śmiało powiedziane, panie Bond. Przyjmuję naganę. Bez wątplenia nabyłem irytujących manier żyjąc zbyt długo w otoczeniu małp. Ale proszę nie mylić tych manier z blefowaniem. Jestem technikiem. Dopasowuję narzędzie do tworzywa. Posiadam zestaw narzędzi do pracy z opornym materiałem. Przejdźmy jednak - doktor No uniósł o kilka centymetrów zaszyte rękawy i opuścił je z powrotem na kolana - do naszej rozmowy. Rzadko się trafia inteligentny słuchacz, z przyjemnością więc panu opowiem historię jednego z najbardziej wyjątkowych ludzi na świecie. Będzie pan pierwszym człowiekiem, który ją usłyszy. Nigdy wcześniej jej nie opowiadałem. Jest pan jedyną znaną mi osobą, która doceni moją historię, a zarazem - doktor No przerwał, żeby podkreślić wagę ostatniego słowa - zachowa ją dla siebie. To stwierdzenie odnosi się również do dziewczyny.

A więc to tak. Bond nie miał co do tego wątpliwości, odkąd przywitał ich tu spandau, a nawet wcześniej, na Jamajce, gdzie próby zamachu na niego dalekie były od żartów. Bond od początku zakładał, że ten człowiek jest mordercą, że szykuje się pojedynek na śmierć i życie. Jak zwykle ślepo wierzył, że wygra ten pojedynek, aż do chwili, gdy wymierzono w niego miotacz ognia. Wówczas ogarnęły go wątpliwości. Teraz zyskał pewność. Ten człowiek był zbyt silny, zbyt dobrze uzbrojony.

- Dziewczyna wcale nie musi tygo wysłuchiwać - powiedział Bond. - Nie ma ze mną nic wspólnego. Spotkałem ją wczoraj na plaży. Pochodzi z Zatoki Morgana na Jamajce. Zbiera muszle. Pańscy ludzie zniszczyli jej łódź, więc musiałem ją zabrać. Niech pan ją teraz puści, a potem odeśle do domu. Nie będzie mówić. Może panu przysiąc.

Dziewczyna przerwała gwałtownie.

- A właśnie, że będę mówić! Powiem wszystko. Nie ruszę się stąd. Zostanę z tobą.

Bond spojrział na nią. - Wcale cię tu nie chcę - rzekł lodowato.

- Nie ma co się silić na bohaterstwo - powiedział łagodnie doktor No. - Nikt, kto trafił na tę wyspę, już jej nigdy nie opuścił. Rozumie pan? Nikt, nawet najbardziej prosty rybak. Taką mam politykę. Proszę się ze mną nie spierać ani nie blefować. To zupełnie bezcelowe.

Bond przyjrzał się jego twarzy. Nie było w niej gniewu ani zawziętości - jedynie władcza obojętność. Wzruszył ramionami. Spojrział na dziewczynę i uśmiechnął się.

- Dobrze, Honey - powiedział. - Nie o to mi chodziło. Nie chcę, żebyś odeszła. Zostaniemy razem i wysłuchamy, co ten szaleniec ma do powiedzenia.

Dziewczyna skinęła uszczęśliwiona głową, jak gdyby jej ukochany groził, że odeśle ją z kina, a teraz ustąpił.

- Ma pan rację, panie Bond - powiedział doktor No tym samym łagodnym, wibrującym głosem. - Jestem szaleńcem. Wszyscy najwybitniejsi ludzie to szaleńcy. Są opętani manią, która popycha ich naprzód ku celowi. Wybitni naukowcy, artyści, filozofowie, przywódcy religijni - to wszystko szaleńcy. Bo przecież tylko ślepe dążenie do celu rodzi geniusz, wyznacza drogę? Szaleństwo, drogi panie Bond, jest równie bezcenne jak geniusz. Marnotrawstwo energii, rozproszenie wizji, utrata rozpędu, brak konsekwencji to wady stada. - Doktor No odchylił się nieco w fotelu. - Ja tych wad nie mam. Jestem, jak pan słusznie zauważył, szaleńcem, szaleńcem, panie Bond, opętany manią władzy. Taki jest - Bond dojrzał za szklami kontaktowymi obojętny błysk czarnych dziur - sens mojego życia. Dlatego tutaj jestem. Dlatego pan tu jest. Dlatego owo tutaj istnieje.

Bond podniósł kieliszek i go opróżnił. Napelnił go ponownie z karafki.

- Wcale mnie to nie dziwi - powiedział. - Historia stara jak świat. Ktoś sobie roi, że jest królem Anglii, prezydentem Stanów Zjednoczonych lub Bogiem. Domy wariatów są pełne takich ludzi. Jedyna różnica polega na tym, że zamiast dać się zamknąć, zbudował pan własny dom wariatów i się w nim zamknął. Ale czemu pan to zrobił? Czemu sam fakt siedzenia w tej celi daje panu złudzenie władzy?

Irytacja mignęła w kącikach wąskich ust.

- Panie Bond, władza to niezależność. Pierwszą zasadą Clausewitza było zapewnić sobie bezpieczną bazę. Dopiero wtedy można przejść do swobody działania. Jedno z drugim, daje niezależność. Zapewniłem sobie to wszystko, a nawet o wiele więcej. Nikt na świecie nie ma tego w takim samym stopniu. Bo i nie może mieć. Świat jest nazbyt publicznym miejscem. To wszystko można sobie zapewnić tylko w odosobnieniu, Mówi pan o królach i prezydentach. Ile oni mają władzy? Tyle, na ile pozwoli im lud. Kto na świecie ma nad swoim ludem władzę życia i śmierci? Teraz, gdy Stalin nie żyje, czy potrafi pan wskazać kogoś takiego poza mną? A dzięki czemu mam taką władzę, tę niezależność? Dzięki odosobnieniu. Dzięki temu, że nikt nie wie. Dzięki temu, że nie muszę się przed nikim opowiadać.

Bond wzruszył ramionami.

- To tylko złudzenie władzy, doktorze No. Każdy człowiek z nabitym pistoletem ma władzę nad życiem i śmiercią swojego bliźniego. Inni ludzie prócz pana mordowali w ukryciu i uchodziło im to na sucho. W końcu spotyka ich to, na co zasłużyli. Bo społeczeństwo ma nad nimi większą władzę niż ta, jaką sami posiadają. Również i pana to spotka, doktorze No. Zapewniam pana, że pańskie dążenie do władzy jest złudzeniem, bo sama władza jest złudzeniem.

- Podobnie jak piękno, panie Bond - odparł spokojnie doktor No. - Podobnie jak sztuka, jak pieniądze, jak śmierć. I prawdopodobnie, jak życie. To pojęcia względne. Pańskie żonglowanie słowami nie robi na mnie wrażenia. Znam filozofię, znam etykę, znam logikę, i to, pozwolę sobie rzec, lepiej od pana. Ale dajmy spokój tej jałowej dyskusji. Wróćmy do tego, od czego zacząłem, od mojej manii władzy, czy jeśli pan woli, do złudzenia władzy. I proszę, panie Bond - niewzruszony uśmiech wyłobił mu na twarzy kolejną zmarszczkę - proszę sobie nie wyobrażać, że półgodzinna rozmowa z panem zmieni tor mojego życia. Niech pan się raczej zajmie historią mojej pogoni za tym, że się tak wyrażę, złudzeniem.

- Proszę mówić.

Bond zerknął na dziewczynę. Ich oczy się spotkały. Zakryła dłonią usta, jak gdyby chciała ukryć ziewanie. Bond uśmiechnął się do niej. Zastanawiał się, kiedy doktor No zechce złamać tę pozę obojętności.

- Postaram się pana nie nudzić - powiedział dobrotliwie doktor No. - Zgodzi się pan chyba, że fakty są o wiele bardziej interesujące niż teorie.

Doktor No nie oczekiwał odpowiedzi. Skierował wzrok na pięknego tulipanowatego mięczaka na zewnątrz, który doszedł już do połowy okna. Małe srebrne rybki śmignęły przez czarną otchłań. To tu, to tam przebijał niebieskawy, fosforyzujący odbłask. Ale jaśniejsze było światło gwiazd przeświecające przez szkło sufitu.

Sztuczność sceny w pokoju - troje ludzi siedzących w fotelach, alkohole na kredensie, puszysty dywan, przyćmione światła - nagle wydała się Bondowi absurdalna. Nawet dramatyzm sytuacji, samo niebezpieczeństwo, były niczym wobec przesuwającego się za szkłem tulipanowatego mięczaka. A co by było, gdyby szkło pękło? Gdyby w wyniku błędu projektanta źle obliczono obciążenie? Gdyby tak morze trochę silniej napařło?

- Byłem jedynym synem niemieckiego misjonarza metodysty i Chinki z dobrej rodziny - zaczął doktor No. - Urodziłem się w Pekinie, tyle że, jak się to mówi, z nieprawego łoża. Stałem się zawadą. Ciotce matki zapłacono za moje wychowanie - doktor No przerwał. Widzi pan, panie Bond, brak miłości. Brak opieki rodzicielskiej - ciągnął. - Ziarno zostało zasiane. Zacząłem pracować w Szanghaju. Związałem się z tongami i z ich nielegalną działalnością. Podobaly mi się spiski, włamania, morderstwa, podpalanie ubezpieczonego mienia. Stanowiły wyraz buntu przeciw ojcu, który mnie zdradził. Upajałem się śmiercią i zniszczeniem ludzi oraz rzeczy. Stałem się, jeśli tak wolno rzec, fachowcem w technice przestępstw. Wtedy popadłem w tarapaty. Musiałem zostać usunięty. Ale moje życie było zbyt cenne dla tongów. Przeszmuglowano mnie więc do Stanów Zjednoczonych. Zamieszkałem w Nowym Jorku. Dostałem zaszyfrowany list polecający do jednego z dwóch najbardziej wpływowych tongów w Ameryce, do Hip Singa. Nigdy się nie dowiedziałem, co było w liście, ale przyjęli mnie od razu na zaufanego pracownika. W swoim czasie, gdy miałem trzydzieści lat, zostałem kimś w rodzaju skarbnika. W skarbcu znajdowało się ponad milion dolarów. Chciałem mieć te pieniądze. Potem rozpoczęły się wielkie wojny tongów końca lat dwudziestych. Dwóch wielkich tongów nowojorskich, mój pracodawca, Hip Sing, i nasz rywal, On lee Ongs, zaczęło ze sobą walczyć. W ciągu kilku tygodni po obu stronach zginęły setki ludzi, a ich domy i majątki puszczono z dymem. Był to okres udręku, morderstw i podpalania, do

których z radością się przyłączyłem. Potem wkroczyły oddziały specjalne. Zmobilizowano niemal wszystkie siły policyjne Nowego Jorku. Rozdzielono dwie podziemne armie, wkroczone do siedzib tongów, a przywódców wysłano do więzienia. Zostałem uprzedzony o obławie na mojego tonga, Hip Singa. Kilka godzin przed obławą, otworzyłem sejf, zrabowałem milion dolarów w złocie, uciekłem do Harlemu i ukryłem się. Byłem głupi. Powiniennem był opuścić Amerykę, udać się na kraniec świata. Tongowie nawet siedząc w celach więzienia Sing Sing zdołali mnie osiągnąć. Mordercy przyszli nocą. Torturowali mnie. Nie zdradziłem, gdzie było złoto. Znęcali się nade mną całą noc. A gdy im się nie udało mnie złamać, obcięli mi dłonie jak złodziejowi, postrzelili serce i odeszli. Ale nie wiedzieli jednego. Należę do tych ludzi, którzy mają serce po prawej stronie. Nie ma nas takich wielu. Jeden na milion. Przeżyłem. Dzięki sile woli przetrwałem operację i wiele miesięcy w szpitalu. I wciąż tylko snulem plany, jak by tu utrzymać przy sobie te pieniądze, jak je zachować, co z nimi zrobić. Doktor No przerwał. Krew napłynęła mu do skroni. Ciało w kimonie opanowała nerwowość. Wspomnienia go podnieciły. Na chwilę zamknął oczy, próbując się uspokoić. Bond pomyślał: teraz! Skoczyć na niego i go zabić? A może roztrzaskać kieliszek i dźgnąć wyszczerbioną nóżką?

Doktor No otworzył oczy.

- Nie nudzę pana? Na pewno? Przez chwilę miałem wrażenie, że pana uwaga osłabła.

- Nie.

Okazja minęła. Czy będą inne? Bond wyliczył w centymetrach długość skoku; zauważył, że żyła szyjna jest w całości widoczna nad rozcięciem kimona.

Wąskie fioletowe wargi rozchyliły się i opowieść potoczyła się dalej.

- To był czas, panie Bond, na podjęcie, stanowczych decyzji. Kiedy zwolnili mnie ze szpitala, poszedłem do Silbersteina, największego handlarza znaczków w Nowym Jorku. Zaczęłem skupować najrzadsze znaczki pocztowe na świecie. Zmieściły się w jednej jedynej kopercie, chociaż żeby je zebrać musiałem objechać cały świat. Ale nie zważałem na cenę w Nowym Jorku, Londynie, Paryżu, Zurychu. Chciałem dobrze ulokować swoje złoto. W całości zainwestowałem je w znaczki. Przewidywałem wojnę światową.

Wiedziałem, że nadchodzi inflacja i że to, co najlepsze będzie zwyżkować lub przynajmniej utrzyma wartość. Tymczasem zmieniałem wygląd. Dałem sobie usunąć wszystkie włosy, zwęzić nos, poszerzyć usta, zoperować wargi. Nie mogłem ująć sobie wzrostu, starałem się więc go powiększyć. Nosilem buty na grubych podszwach. Tygodniami leżałem na wyciągu, żeby rozciągnąć kręgosłup. Zmieniłem swój chód. Zdjąłem protezy i przyprawiłem sobie dłonie z wosku, obciążone rękawiczkami. Zmieniłem imię i nazwisko na Julius No - Julius po ojcu, a No na znak buntu przeciwko niemu i wszelkim autorytetom. Wyrzuciłem okulary i zacząłem nosić szkła kontaktowe - jedno z pierwszych, jakie wyprodukowano. Następnie pojechałem do Milwaukee, gdzie nie ma Chińczyków, i zapisałem się na medycynę. Ukryłem się w akademickim świecie bibliotek i laboratoriów, sal wykładowych i kampusów. I tam, panie Bond, oddałem się badaniom nad ludzkim ciałem i umysłem. Dlaczego? Ponieważ chciałem wiedzieć, do czego zdolny jest człowiek. Musiałem poznać swoje narzędzia, zanim ich użyję do realizacji kolejnego celu - chciałem się mianowicie w pełni zabezpieczyć przed słabością ciała, fizycznymi zagrożeniami i niebezpieczeństwami życia. Następnie, panie Bond, mając tę bezpieczną bazę, chronioną przed przypadkowymi nawet kulami i strzałami świata, postanowiłem dążyć do zdobycia władzy, władzy, panie Bond, żeby odplacać innym oko za oko, ząb za ząb, władzy życia i śmierci, władzy wydawania decyzji, sądów, władzy pełnej niezależności od władzy z zewnątrz. Bo, panie Bond, czy się to panu podoba, czy nie, na tym polega istota władzy doczesnej.

Bond sięgnął po karafkę i nalał sobie trzeci kieliszek. Spojrzał na Honeychile. Miała spokojną i obojętną minę, jak gdyby myślała o czymś innym. Posłała mu uśmiech.

- Podejrzewam, że oboje jesteście głodni - powiedział dobrotliwie doktor No. - Proszę o cierpliwość. Będę się streszczał. A, więc, jak pamiętacie, byłem w Milwaukee. W przepisowym terminie ukończyłem studia, ruszyłem z Ameryki i stopniowo objechałem cały świat. Używałem tytułu "doktora", ponieważ lekarzom powierza się tajemnice i mogą oni zadawać pytania nie budząc podejrzeń. Szukałem własnego, bezpiecznego kąta na wypadek ewentualnej wojny. Musiała to być wyspa, musiała się znajdować na odludziu i musiała zapewniać warunki do rozwijania przemysłu. W końcu nabyłem Crab Key. I tu spędziłem czternaście lat. To były spokojne i owocne lata, bez jednej chmury na horyzoncie. Spodobał mi się pomysł przerabiania ptasiego nawozu na złoto, i z pasją zabrałem się do rozwiązania tego problemu. Zwęszyłem w tym doskonały interes. Na produkt ten był nieustanny popyt. Ptaki nie wymagają żadnej opieki, wystarczy je tylko zostawić w spokoju. Każdy z nich to prosta fabryczka do przerobu ryb na nawóz. Wydobywanie guana wymaga tylko ostrożności, żeby nie zepsuć produktu przez nadmierną eksploatację. Jedynym problemem jest koszt siły roboczej. Był rok 1942. Prości robotnicy z Kuby i Jamajki zarabiali dziesięć szylingów tygodniowo przy ścinaniu trzciny cukrowej. Sprowadziłem stu na wyspę płacąc dwanaście szylingów tygodniowo. Przy cenie guana po pięćdziesiąt dolarów za tonę mogłem dobrze prosperować. Ale pod jednym warunkiem - że zarobki nie ulegną zmianie. Zagwarantowałem to sobie izolując swoją społeczność od światowej inflacji. Czasami trzeba było stosować surowe metody, ale moi ludzie są zadowoleni z zarobków, bo nigdy nie znali wyższych. Sprowadziłem w charakterze nadzorców tuzin Chinonegrów z rodzinami. Płacę im funta tygodniowo na głowę. Są brutalni i można na nich polegać. Czasami musiałem być wobec nich bezwzględny, ale szybko nauczyli się posłuchu. Automatycznie wzrosła liczba moich ludzi. Zatrudniłem też kilku inżynierów i budowniczych. Zaczęliśmy pracę nad górą. Od czasu do czasu sprowadzałem za wyższe płace ekipy specjalistów. Byli odizolowani od innych. Mieszkali we wnętrzu góry, a kiedy skończyli pracę, odpłynęli statkiem. Złożyli oświetlenie, wentylację i dźwig. Zbudowali ten pokój. Zapasy i wyposażenie nadeszły z całego świata. Ci ludzie zbudowali fasadę sanatorium, która miała zamaskować moją działalność na wypadek ewentualnej katastrofy okrętu czy wizyty gubernatora Jamajki. - Na jego ustach pojawił się uśmiech. - Musi pan przyznać, że jeśli chcę, potrafię zapewnić gościom nader mile przyjęcie - to mądry środek ostrożności na przyszłość. I stopniowo, systematycznie powstawała moja forteca, a ptaki srały na jej szczyt. To nie było łatwe, panie Bond. - Czarne oczy nie szukały współczucia ani pochwały. - Ale pod koniec zeszłego roku prace zakończono. Miałem bezpieczną, dobrze zamaskowaną bazę. Mogłem przejść do następnego etapu: rozciągnięcia swojej władzy na świat zewnętrzny.

Doktor No przerwał. Uniósł odrobinę ręce, po czym opuścił je z rezygnacją na kolana.

- Panie Bond, powiedziałem, że podczas tych czternastu lat nie pojawiła się żadna chmura na niebie. Ale przez cały czas jedna taka chmura czaiła się za horyzontem. I wie pan, co to było? To był ptak, śmieszny ptak zwany warzęchą różową! Nie będę pana męczył szczegółami, panie Bond. Zna już pan z grubsza sytuację. Dwóch strażników, stacjonujących na środku jeziora o wiele kilometrów stąd, przybyło motorówką z Kuby, tą samą motorówką przesłali swoje raporty. Od czasu do czasu przybywali ornitolodzy z Ameryki i spędzali pewien czas w obozie. Nie miałem nic przeciwko temu. Ten obszar jest niedostępny dla moich ludzi. Strażnikom nie wolno się było zbliżać do mojego terenu. Nie mieliśmy żadnego kontaktu. Od początku dałem do zrozumienia Towarzystwu Audubona, że nie spotkam się z jego przedstawicielami. I co się dzieje? Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, łódź przybijająca tu co miesiąc przywiozła list.

Warzęcha różowa stała się ptasim cudem świata. Towarzystwo poinformowało mnie oficjalnie, że zamierza zbudować hotel na dzierżawionej przez nich ziemi, nad rzeką, którą pan przyplłynął. Będą się tu zjeżdżać z całego świata miłośnicy ptaków, żeby je obserwować. Będą kręcić filmy. Crab Key, jak napisano mi w pełnym pochlebstwie, entuzjastycznym liście, stanie się sławna.

- Panie Bond - unióś ręce, a potem je opuścił. W kącikach zastygłego uśmiechu czaiła się ironia. - Czy pan uwierzy? Zapewniłem sobie takie odosobnienie! Miałem na przyszłość takie plany. I wszystko to miało runąć z powodu gromady starych kobiet i ich ptaków. Sprawdziłem warunki dzierżawy. Odpisałem z propozycją wykupu ziemi za bająską sumę. Odmówili. Zacząłem więc badać te ptaki. Poznałem ich zwyczaje. I nagle znalazłem rozwiązanie. W dodatku wcale nie takie trudne. Człowiek był zawsze największym ich wrogiem. Warzęchy są wyjątkowo bojaźliwe, łatwo się płoszą. Zamówiłem na Florydzie specjalną amfibię - pojazd używany do poszukiwania ropy naftowej, który porusza się w każdym terenie. Przystosowałem go tak, żeby odstraszał i palił, nie tylko ptaki, ale i ludzi, bo trzeba było usunąć też strażników. Pewnego grudniowego wieczora moja amfibia pokonała z wyciem jezioro. Zniszczyła obóz; podano, że zginęło dwóch strażników - chociaż jeden, jak się okazało, zbiegł i zginął dopiero na Jamajce - spaliła gniazda i wywołała histerię wśród ptaków. Pełen sukces! Warzęchy wpadły w popłoch. Zaczęły ginąć tysiącami. Wówczas otrzymałem prośbę o pozwolenie na lądowanie samolotu na moim pasie startowym. Zamierzano przeprowadzić dochodzenie. Postanowiłem wyrazić zgodę. Tak mi podpowiadał rozsądek. Zaaranżowałem wypadek. Gdy samolot zbliżał się do lądowania, ciężarówka na pasie zjechała z drogi. Samolot się rozbił. Usunięto wszelkie szczątki ciężarówki, a ciała złożono godnie w trumnach. Potem powiadomiłem o tragedii. Zgodnie z moimi przewidywaniami, podjęto dalsze dochodzenie. Przybywa niszczyciel. Witam uprzejmie kapitana. On i jego oficerowie zostają przewiezieni na ląd. Pokazuje się im szczątki obozu. Moi ludzie sugerują, że strażnicy oszaleli z samotności i wymordowali się nawzajem. Jedyny, który ocalał, podłożył w obozie ogień, a sam uciekł w łodzi rybackiej. Przybysze oglądają pas startowy. Moi ludzie stwierdzają, że samolot nadlatywał zbyt szybko. Opony nie wytrzymały zetknięcia z ziemią. Przekazujemy im ciała. To prawdziwe nieszczęście. Oficerowie są zadowoleni. Okręt odpływa. Znowu panuje spokój. Doktor No lekko zakaszał. Przeniósł wzrok z Bondy na dziewczynę i z powrotem.

- Oto, przyjaciele, moja historia, czy raczej pierwszy rozdział opowieści, która, jak ufam, zapowiada się na długą i ciekawą. Odzyskaliście odosobnienie. Nie ma już warzęchy różowej, więc nie pojawią się strażnicy. Bez wątpienia Towarzystwo Audubona zdecyduje się przyjąć moją propozycję dotyczącą dalszej dzierżawy. Zresztą nie ma to znaczenia. Jeśli znowu rozpoczną swoje małostkowe działania, spotkają ich nowe nieszczęścia. To była dla mnie przestroga. Nikt mi już więcej nie przeszkodzi.

- Interesujące - powiedział Bond. - Interesujący przypadek. A więc dlatego trzeba było usunąć Strangwaysa. Co zrobiliście z nim i z jego dziewczyną?

- Spoczywają na dnie zbiornika Mona. Wysłałem swoich trzech najlepszych ludzi. Mam na Jamajce małą, ale sprawną organizację. Jest mi potrzebna. Roztoczyłem obserwację nad działalnością wywiadowczą na Kubie i na Jamajce. To konieczne dla moich dalszych działań. Pański Strangways stał się podejrzliwy, zaczął za bardzo myszkować. Na szczęście, znałem już wówczas jego rozkład zajęć. Śmierć jego i dziewczyny była więc tylko sprawą wyboru odpowiedniej chwili. Pana zamierzałem się pozbyć równie sprawnie. Miał pan szczęście. Ale z kartoteki w King's House dowiedziałem się, jakim jest pan człowiekiem. Miałem nadzieję, że mucha przyjdzie do pająka. Byłem przygotowany na pańskie przybycie, kiedy więc łódź pojawiła się na ekranie radaru, wiedziałem, że nie uda się panu wywinąć.

- Pański radar nie jest zbyt sprawny - powiedział Bond. - Były dwie łodzie. Pan zauważył łódź dziewczyny, a ona, jak już panu mówiłem, nie miała ze mną nic wspólnego.

- W takim razie ma pecha. Tak się składa, że potrzebna mi biała kobieta do małego eksperymentu. Jak ustaliliśmy wcześniej, panie Bond, człowiek na ogół zdobywa to, na czym mu zależy.

Bond spojrział zamyślony na doktora No. Zastanawiał się, czy warto się przebić do tego nieprzeniknionego człowieka. Czy warto się wysilać, żeby grozić lub blefować. Bond miał w rękawie jedynie marną dwójkę trefl. Niemal nudziła go myśl o jej wykorzystaniu. Niedbale, obojętnie rzucił tę kartę na stół.

- No to pan ma pecha, doktorze No. W Londynie są już pańskie akta. Moje uwagi na temat tej sprawy, dowody w postaci zatrutych owoców, stonogi i rozbitego samochodu zostały wciągnięte do akt. Podobnie jak nazwiska panny Chung i panny Taro. Ktoś na Jamajce posiada instrukcje, gdybym w ciągu trzech dni nie wrócił z Crab Key, że należy otworzyć mój raport i podjąć stosowne działania. Bond zamilkł. Twarz doktora No była nadal kamienna. Oczy i usta ani drgnęły, tylko żyła szyjna pulsowała równo. Bond pochylił się.

- Ale z powodu dziewczyny, i tylko z jej powodu, doktorze No, proponuję pewien układ - powiedział spokojnie. W zamian za nasz bezpieczny powrót na Jamajkę damy panu tydzień czasu. Będzie pan mógł zabrać kopertę ze znaczkami i uciec samolotem. Wyprostował się. - Czy to pana interesuje, doktorze No?

ROZDZIAŁ 16 NA WIDNOKRĘGU MĘCZARNI

- Podano kolację - powiedział cicho jakiś głos za plecami Bonda. Bond się odwrócił. To był członek ochrony. Obok niego znajdował się drugi mężczyzna, bliźniaczko do niego podobny. Stali tak, dwóch muskularnych osiłków, z rękami ukrytymi w rękawach kimon i spoglądali ponad głową Bonda na doktora No.

- A, już dziewiąta. - Doktor No powoli wstał. - Proszę za mną. Możemy kontynuować naszą rozmowę w bardziej zacisznym otoczeniu. To bardzo miło z waszej strony, że słuchaliście mnie z taką przykłądną cierpliwością. Mam nadzieję, iż moja skromna kuchnia i piwnica dadzą wam odpocząć po tym wysiłku.

Za plecami dwóch mężczyzn w białych marynarkach otworzyły się podwójne drzwi w ścianie. Bond i dziewczyna weszli za doktorem No do małego, ośmiokątnego, wyłożonego mahoniem pokoju, który oświetlony był zawieszonym na środku srebrnym żyrandolem z przeciwsztormowym szkłem wokół świec. Pod nim stał okrągły mahoniowy stół nakryty na trzy osoby. Srebro i szkło rzuciły ciepły blask. Prosty granatowy dywan był zbyt koźownie puszysty. Doktor No zajął środkowe krzesło z wysokim oparciem i głową wskazał dziewczynie krzesło po swojej prawej stronie. Wszyscy troje usiedli i rozłożyli serwetki z białego jedwabiu.

Ta czcza ceremonialność i wykwintny pokój rozwścieczyły Bonda. Miał ochotę zburzyć to wszystko własnymi rękami - owinać jedwabną serwetkę na gardle doktora No i zaciskać ją, dopóki szkła kontaktowe nie wypłyną z czarnych, nienawistnych oczu. Dwaj strażnicy mieli na rękach białe bawełniane rękawiczki. Podawali jedzenie z uprzejmą sprawnością, którą pobudzało co jakiś czas słowo rzucane po chińsku przez doktora No.

Z początku doktor No wydawał się zajęty kolacją. Powoli konsumował różne zupy z trzech miseczek, jadł łyżką z krótkim trzonkiem, która tkwiła dobrze między szponami. Bond za wszelką cenę starał się ukryć przed dziewczyną własne obawy. Siedział odprężony, jedząc i pijąc z udawanym dobrym apetytem. Opowiadał dziewczynie wesoło

o Jamajce, o ptakach, zwierzętach i kwiatach, czyli na jej ulubione tematy. Od czasu do czasu trącał pod stołem jej stopę. Dziewczyna wpadła niemal w dobry humor. Bond pomyślał, że doskonale udają parę narzeczonych, którą znieawidzony wuj podejmuje kolację.

Bond nie wiedział, czy ten kiepski blef skutkuje. Nie sądził, że mieli wiele szans. Zarówno doktor No, jak i jego opowieść były nieprzeniknione. Niezwykła biografia wydawała się prawdziwa. Każde jej słowo brzmiało wiarygodnie. Niewykluczone, że na świecie żyli inni ludzie posiadający prywatne królestwa z dala od utartych szlaków, gdzie bez świadków mogli robić, co im się podoba. Jakże doktor No ma dalsze zamiary, kiedy już zgładzi natarczywe muchy, które przybyły go tu nękać? A jeśli już zgładzi, to czy po ich śmierci Londyn odnajdzie nici, które uchwycił Bond? Prawdopodobnie tak. Jest przecież Pleydell-Smith. Dowody w postaci zatrutych owoców. Ale czy następcą Bonda wiele wskóra z doktorem No? Raczej nie. Doktor No wzruszy ramionami na wieść o zniknięciu Bonda i Quarrela. Nigdy o nich nie słyszał, i nie będzie śladu prowadzącego do dziewczyny. W Zatoce Morgana pomyśla, że utonęła podczas jednej ze swych wypraw. Chyba niewiele może przeszkodzić doktorowi No w pisaniu drugiego rozdziału życia, bez względu na to, jakkolwiek mógłby on wyglądać.

Flirtując z dziewczyną, Bond przygotował się na najgorsze. Przy talerzu leżał cały arsenał potencjalnej broni. Kiedy podano doskonale przyrządzone kotlety, Bond chwilę się decydował, czym je jeść, w końcu wybrał noże do chleba. W trakcie jedzenia i rozmowy przysunął powoli do siebie duży stalowy nóż do mięsa. Szerokim ruchem prawej ręki przewrócił kieliszek z szampanem i w ułamku sekundy lewą ręką wsunął nóż w szeroki rękaw kimona. Podczas przeprosin Bonda i zamętu, gdy wspólnie ze strażnikiem wycierał rozlany szampan, Bond uniósł lewą rękę i poczuł, jak nóż zsuwa się poniżej pachy i dalej za kimono na wysokości żeber. Po zjedzeniu kotletów, zacisnął jedwabny pas w talii, przesuując nóż na brzuch. Nóż przylegał teraz do ciała, stopniowo stał rozgrzała się.

Podano kawę, posiłek dobiegł końca. Nadeszli dwaj strażnicy i stanęli tuż za krzesłami Bonda i dziewczyny. Stali tak z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, z kamiennymi twarzami, nieruchomo jak oprawcy.

Doktor No odstawił delikatnie filiżankę na talerzyk. Położył swoje stalowe szpony na stole. Nieco się wyprostował, po czym zwrócił nieznacznie ciało w stronę Bonda. Teraz jego twarz nie zdradzała żadnego przejęcia. Twarde oczy patrzyły przed siebie. Wąskie usta zmarszczyły się i otworzyły.

- Smakował panu obiad, panie Bond?

Bond wyjął papierosa ze stojącego przed nim srebrnego pudełeczka i zapalił. Bawił się srebrną stołową zapalniczką. Czuł, że zbliża się coś niedobrego. Musi jakoś ukryć zapalniczkę. Ogień może posłużyć jako kolejna broń.

- Tak, był wyśmienity - odparł swobodnie i spojrzał na dziewczynę. Pochylił się do przodu w krzesło i oparł łokciami na stole. Skrzyżował je, przykrywając zapalniczkę. Potem uśmiechnął się do dziewczyny. - Mam nadzieję, że zamówiłem to, co lubisz.

- Och, tak, wszystko było pyszne. - Dla niej przyjęcie jeszcze się nie skończyło.

Bond palił z uwagą, manipulując rękami, by stworzyć wrażenie ruchu. Odwrócił się do doktora No. Zgasił papierosa i usiadł głębiej w krzesło. Założył ręce na piersi.

Zapalniczka tkwiła już pod jego lewą pachą. Uśmiechnął się promiennie.

- A co teraz, doktorze No?

- Możemy przejść do poobiednich rozrywek, panie Bond. - Słaby uśmiech rozwiął się i znikł. - Rozważyłem pańską propozycję pod każdym względem. Nie przyjmuję jej.

Bond wzruszył ramionami.

- Jest pan nierozsądny.

- Nie, panie Bond. Podejrzewam, że pańska propozycja jest oszustwem. Ludzie w pańskiej profesji nie zachowują się tak, jak pan sugeruje. Składają okresowe raporty w centrali. Informują szefa o postępach w dochodzeniu. Znam się na tym. Tajni agenci nie postępują tak, jak pan rzekomo postąpił. Czytał pan zbyt wiele powieści sensacyjnych. Pańska mała przemowa zalatywała szminką. Nie, panie Bond, nie wierzę w pańską opowieść. Jeśli mówił pan prawdę, jestem gotów ponieść konsekwencje. Stawka jest zbyt duża, żebym mógł się cofnąć. Powiedzmy, że zjawi się policja, że zjawi się wojsko. Gdzie jest ten człowiek i ta dziewczyna? Jaki człowiek, jaka dziewczyna? Nie wiem o niczym. Proszę mnie zostawić i nie przeszkadzać w wydobywaniu guana. Jakie macie dowody? Gdzie nakaz przeszukania? Prawo angielskie jest precyzyjne, panowie. Wracajcie do domu i zostawcie mnie w spokoju z moimi ukochanymi kormoranami. Widzi pan, panie Bond? A przyjmijmy nawet, że dojdzie do najgorszego. Jeden z moich agentów zacznie mówić, co jest wysoce nieprawdopodobne (Bond pamiętał hart ducha panny Chung). Co mam do stracenia? Dwie śmierci więcej w akcie oskarżenia. A człowieka, panie Bond, można powiesić tylko raz. - Wysoka gruszkowata głowa kiwała się z boku na bok. - Czy ma coś jeszcze do powiedzenia? Jakieś pytania? Oboje macie przed sobą pracowitą noc. Pozostało wam już niewiele czasu. A ja muszę iść spać. Jutro przyplywa okręt, przybywający tu co miesiąc, czeka mnie nadzór załadunku. Będę musiał spędzić cały dzień na nabrzeżu. No, więc jak, panie Bond?

Bond przyjrzał się dziewczynie. Śmiertelnie zbladła. Patrzyła na niego, oczekując z jego strony cudu. Spojrzał na swoje dłonie. Obejrzał paznokcie.

- A co potem? - spytał, grając na zwłokę. - Po pracowitym dniu przy ptasim nawozie, co ma pan dla nas w programie? Jaki następny rozdział chce pan napisać?

Bond nie podniósł wzroku. Głęboki, spokojny, apodyktyczny głos dotarł do niego, jak gdyby spłynął z nocnego nieba.

- Och, tak. Musiał się pan nad tym zastanawiać, panie Bond. Jest pan na ogół dociekliwy. Ta cecha towarzyszy panu do końca, do ostatniego tchnienia. Podziwiam takie cechy u człowieka, któremu zostało tylko kilka godzin życia. A więc powiem panu. Odwrócę następną kartę. Będzie to dla pana pocieszeniem. Nie ograniczamy się tutaj do ptasiego nawozu. Instynkt pana nie zawiódł. - Doktor No zrobił pauzę dla większego efektu. - Ta wyspa, panie Bond, zostanie przekształcona w najbardziej cenny, techniczny ośrodek wywiadowczy na świecie.

- Naprawdę? - Bond nie odrywał wzroku od swoich dłoni.

- Niewątpliwie orientuje się pan, że wyspa Turks, o pięćset kilometrów stąd w kierunku cieśniny Windward, jest najważniejszym w Stanach Zjednoczonych ośrodkiem zajmującym się testowaniem zdalnie sterowanych rakiet.

- Tak, to ważny ośrodek.

- Być może czytał pan o rakietach, które zbaczaly ostatnio z toru? Jak na przykład wieloczołowy WIZG, który wylądował w puszczech Brazylii zamiast w głębinach południowego Atlantyku?

- Tak.

- Pamięta pan, że WIZG nie posłuchał przekazanych telemetrycznie instrukcji nakazujących zmianę toru, a nawet samozniszczenia. Zupełnie jakby posiadał własną wolę?

- Pamiętam.

- Były też inne niepowodzenia, poważne niepowodzenia, na długiej liście prototypów - ZUNI, MATADOR, PETREL, MYSIKRÓLIK, BOMARK - ileż nazw, ile zmian, nie jestem w stanie wszystkich spamiętać. Cóż, panie Bond. - Doktor No nie potrafił ukryć dumy w głosie - może to pana zainteresuje, że ogromna większość tych niepowodzeń została spowodowana przez Crab Key.

- Naprawdę?

- Nie wierzy mi pan? Nie szkodzi. Inni wierzą. Inni, którzy byli świadkami całkowitego wycofania jednej z serii, MASTODONTA, z powodu ciągłych pomyłek nawigacyjnych i niezdolności do kierowania się wskazówkami radiowymi z wyspy Turks. Ci inni to Rosjanie. Rosjanie są moimi partnerami w tym przedsięwzięciu. Wyszkolili sześciu moich ludzi, panie Bond. Dwóch z nich jest teraz na służbie - monitorują częstotliwość fal radiowych, za pomocą których steruje się tymi raketami. W korytarzach skalnych nad nami znajduje się, panie Bond, wyposażenie wartości miliona dolarów, które swymi czujkami sięga do wyższych warstw, czeka na sygnały, zagłusza je, zastępuje jedne fale innymi. I od czasu do czasu rakietę wzbija się i leci sto pięćdziesiąt, osiemset kilometrów daleko w Atlantyk. A my śledzimy jej lot równie precyzyjnie jak robią to w sali operacyjnej na wyspie Turks. Potem, nagle, nasze impulsy docierają do rakiety, w jej mózgu powstają zakłócenia, zaczyna wariować, spada do morza, ulega zniszczeniu, zbacza całkowicie z toru. Kolejny test się nie udaje. Obwinia się sterujących, projektantów, producentów. W Pentagonie wybucha panika. Trzeba spróbować czegoś innego, innych częstotliwości, innych metali, innego radiowego mózgu. Oczywiście, my też mamy swoje trudności - przyznał uczciwie doktor No. - Monitorujemy wiele próbnych lotów i nie potrafimy dotrzeć do mózgu nowej rakiety. Ale wówczas porozumiewamy się natychmiast z Moskwą. Tak, dali nam maszynę z zakodowanymi częstotliwościami i operacjami. I Rosjanie zaczynają myśleć. Podsuwają nam sugestie. Wypróbujemy je. A potem, panie Bond, pewnego dnia, jest tak, jakby udało się nam przyciągnąć uwagę człowieka w tłumie. Wysoko w stratosferze rakietę odbiera nasz sygnał. Nawiązuje z nami kontakt, możemy więc do niej przemawiać, zmieniać jej decyzje. - Doktor No zrobił przerwę. Czy to moje zajęcie uboczne, które prowadzę oprócz interesu z guanem, nie wydaje się panu interesujące, panie Bond? Jest, zapewniam pana, bardzo intratne. A może stać się jeszcze bardziej. Na przykład, jeśli komunistyczne Chiny dadzą więcej? Kto wie? Wysłałem już ludzi, którzy badają grunt. Bond podniósł oczy. Spojrzał zamyślony na doktora No. A więc miał rację. Kryło się w tym wszystkim więcej, o wiele więcej, niż zdawało się na pierwszy rzut oka. To była wielka gra, gra która wszystko tłumaczyła, gra, która z pewnością na światowym rynku szpiegowskim miała wysoką cenę. No, no! Teraz wszystkie elementy łamigłówek zaczęły pasować do siebie. Dla takiego przedsięwzięcia z pewnością warto było odstraszyć kilka ptaków i wykończyć kilku ludzi. Odosobnienie? Oczywiście doktor No będzie musiał zabić jego i dziewczynę. Władza? To było to. Doktor No znalazł sobie niezły interes. Bond spojrzął z nowym szacunkiem w dwie czarne dziury.

- Będzie pan musiał zabić jeszcze wielu ludzi, żeby utrzymać ten interes, doktorze No - powiedział. - Jest wart masę pieniędzy. Zgromadził pan tu niezły majątek, większy, niż podejrzewałem. Ludzie zechcą ukroić sobie kawałek tego tortu. Zastanawiam się, kto pierwszy dobierze się do pana i pana wykończy. Czy ci ludzie tam - wskazał na sufit - wyszkoleni w Moskwie? To technicy. Zastanawiam się, jakie rozkazy otrzymują z Moskwy. Nie ma pan pojęcia, co?

- Nadal mnie pan nie docenia, panie Bond - odrzekł doktor No. - Uparty z pana człowiek, w dodatku głupszy, niż sądziłem. Jestem przygotowany na taką ewentualność. Jednego z tych ludzi zrobiłem niezależnym kontrolerem. Ma duplikaty szyfrów i maszyny szyfrowej. Mieszka w innej części góry. Pozostali sądzą, że nie żyje. Obserwuje wszystkie operacje. Przekazuje mi kopię wszystkich przekazów radiowych. Jak dotąd, sygnały z Moskwy nie wskazują na żaden spisek. Nieustannie mam to na uwadze, panie Bond. Stosuję środki ostrożności i będę je wciąż ulepszał. Jak powiedziałem, nie docenia mnie pan.

- To nieprawda, że pana nie doceniam, doktorze No. Jest pan bardzo ostrożnym człowiekiem, ale pana nazwisko figuruje w zbyt wielu aktach. W moim zawodzie jestem w podobnej sytuacji. Znam to uczucie. Ale pańskie notowania są naprawdę nie najlepsze. Na przykład, u Chińczyków. Nie chciałbym, żeby coś takiego mi się przytrafiło. Akta w FBI to jeszcze pół biedy - rabunek i fałszywa tożsamość. Ale czy zna pan Rosjan równie dobrze jak ja? Jest pan chwilowo "najlepszym przyjacielem". Ale Rosjanie nie uznają partnerstwa. Zechcą przejąć pański interes, wykupić go za cenę jednej kulki. Kolejną kartotekę założono panu w moim wywiadzie. Czy chce pan, żeby dzięki mnie rozrosła się? Na pana miejscu nie robiłbym tego, doktorze No. Mój wywiad składa się z mnóstwa nieustępliwych ludzi. Jeśli cokolwiek stanie się mnie lub dziewczynie, zobaczy pan, że Crab Key to malutka i niegościnna wyspa.

- Nie można grać o wysoką stawkę bez ryzyka, panie Bond. Biorę pod uwagę ewentualne zagrożenia, i jak dotąd, udawało mi się przed nimi zabezpieczyć. Widzi pan, panie Bond - w głębokim głosie pobrzmiwała zachłanność - jestem w przededniu jeszcze większych przedsięwzięć. Rozdział drugi, o którym wspomniałem, niesie zapowiedź nagród, które jedynie głupiec odrzuciłby z powodu strachu. Powiedziałem panu, że mogę zmieniać kierunek fal sterujących tymi raketami. Mogę zmieniać ich kurs i sprawiać, że są nieczułe na własne sygnały radiowe. Co by pan powiedział, panie Bond, gdybym posunął się dalej? Gdybym sprowadzał je do morza w pobliżu wyspy i badał tajemnice ich konstrukcji. Obecnie amerykańskie niszczyciele, daleko na południowym Atlantyku, tropią te pociski, a kiedy kończy się im paliwo, spuszcza je na spadachronach do morza. Czasem spadachron się nie otworzy. Czasem urządzenia służące do samozniszczenia rakiety zawodzą. Nikt by się na wyspie Turks nie zdziwił, gdyby od czasu do czasu prototyp nowej serii przerwał lot i spadł koło Crab Key. Przede wszystkim, przypisywano by to mechanicznemu uszkodzeniu. Potem może odkryliby, że inne sygnały radiowe poza ich własnymi sterują lotem rakiet. Rozpoczęłaby się wojna polegająca na zagłuszaniu fal. Staraliby się zlokalizować źródło fałszywych sygnałów. Gdybym się dowiedział, że wpadli na mój trop, miałbym jeszcze jedno wyjście. Ich rakiety zaczęłyby wariować. Lądowałyby w Hawanie, w Kingston. Zmieniałyby kierunek i nadlatywały nad Miami. Nawet bez głowic bojowych, panie Bond, pięć ton metalu nadlatujących z prędkością tysiąca sześćset kilometrów na godzinę może wyrządzić wielkie spustoszenie w zatłoczonym mieście. I co wówczas? Wybuchłaby panika, opinia publiczna byłaby oburzona. Eksperymenty musiałyby się skończyć. Baza na wyspie Turks zostałaby zamknięta. A ile zapłaciłaby Rosja, żeby do tego doszło? Ile za każdy z przechwyconych prototypów? Powiedzmy, dziesięć milionów dolarów za całą operację? Dwadzieścia milionów? Byłoby to bezcenne zwycięstwo w wyścigu zbrojeń. Sam mógłbym wyznaczyć sumę. Prawda, panie Bond? Zgodzi się więc pan chyba, że w tych okolicznościach pańskie argumenty i groźby zdają się małostkowe.

Bond nic nie odrzekł. Nie było nic do powiedzenia. Nagle przeniósł się myślami do cichego pokoju wysoko nad Regent's Park. Słyszał deszcz zacinający miękko o szyby i głos M niecierpliwym, uszczypliwym, mówiący: - Och, jakaś cholerna historia z ptakami... wakacje w słońcu dobrze ci zrobią... rutynowe dochodzenie. - No więc on, Bond, wziął łódź, rybaka oraz zapasy jedzenia jak na piknik i wyruszył - ile dni, ile tygodni temu - "żeby się rozejrzeć". Czyli udało mu się wreszcie zajrzeć do puszek Pandory. Odkrył odpowiedzi, powierzono mu tajemnicę. I co teraz? Teraz miano go grzecznie złożyć do grobu, wraz z tajemnicami i tą sierotą, którą przygarnął i wciągnął ze sobą w tę szaleńczą przygodę. Gorycz podeszła mu do ust, tak iż przez chwilę myślał, że zwymiotuje. Sięgnął po szampana, wychylił kieliszek.

- Dobrze, doktorze No - rzekł opryskliwie. - A więc zacznijmy ten kabaret. Jaki będzie program: nóż, kula, trucizna, sznur? Ale proszę się pośpieszyć, bo nie mogę już na pana patrzeć.

Usta doktora No zwięzły się w cienką fioletową kreskę. Oczy były twarde jak onyks pod czołem i czaszką przypominającymi kulę bilardową. Pryśła maska grzeczności. W krześle z wysokim oparciem siedział Wielki Inkwizytor. Wybiła godzina peine forte et dure.

Doktor No wyrzekł jakieś słowo, na co dwóch strażników postąpiło w przód i chwyciło dwie ofiary powyżej łokci, wykręcając im w tył ręce, by docisnąć je do oparcia krzesel. Nie napotkali oporu. Bond skupił się na utrzymaniu pod pachą zapalniczki. Obciążone białymi rękawiczkami dłonie na jego bicepsach ścisnęły niczym stalowe obręcze.

Uśmiechnął się do dziewczyny.

- Przykro mi, Honey. Chyba niestety nie będziemy się mogli razem bawić.

Oczy dziewczyny w pobladłej twarzy były ciemnogrnatowe ze strachu. Drżały jej wargi.

- Czy to będzie boleć? - zapytała.

- Milczeć! - głos doktora No był niczym trzask bicia. - Dostyc tych idiotyzmów!

Oczywiście, że będzie bolało. Interesuje mnie ból. Interesuje mnie również to, ile jest w stanie znieść ludzkie ciało. Od czasu do czasu robię eksperymenty na tych spośród moich ludzi, którzy mają zostać ukarani. I na takich przybyszach jak wy. Sprawiliście mi oboje wiele kłopotu. Dlatego zadam wam straszliwy ból. Zanotuję jak długo wytrwacie.

Zarejestruję fakty. Pewnego dnia ogłoszę światu swoje wyniki. Wasza śmierć posłuży celom naukowym. Nigdy nie marnuję ludzkiego materiału. Przeprowadzone podczas wojny niemieckie eksperymenty na żywych ludziach miały wielkie znaczenie naukowe. Minął rok, odkąd uśmierciłem kobietę metodą, którą wybrałem dla ciebie, kobieto. Była Murzynką. Wytrzymała trzy godziny. Umarła z przerażenia. Potrzebowałem dla porównania białej kobiety. Wcale się nie zdziwiłem, kiedy doniesiono mi o twoim przybyciu. Zawsze dostaję to, czego pragnę.

Doktor No usiadł z powrotem na krześle. Jego oczy skupiły się teraz na dziewczynie: obserwował jej reakcje. Odwzajemniła jego spojrzenie, na wpół zahipnotyzowana, niczym leśna mysz naprzeciw grzechotnika.

Bond zacisnął zęby.

- Pochodzisz z Jamajki, więc mnie zrozumiesz. Ta wyspa nazywa się Crab Key. Nosi taką nazwę, ponieważ pełno na niej krabów, krabów lądowych, zwanych na Jamajce "czarnymi krabami". Znasz je. Każdy z nich waży około pół kilograma i ma wielkość spodka. O tej porze roku wychodzą tysiącami z dziur przy brzegu i wspinają się na górę. Tam, na koralowej wyżynie z powrotem chowają się w skalnych dziurach, by wydać potomstwo. Maszerują armiami liczącymi setki sztuk. Pokonują każdą przeszkodę. Na Jamajce przechodzą przez domy, które znajdują się na ich drodze. Są jak norweskie lemingi. To przymusowa migracja. - Doktor No przerwał, po czym dodał. - Ale istnieje pewna różnica. Kraby pożerają to, co napotkają na swej drodze. A właśnie obecnie, kobieto, są w okresie wędrówki. Dziesiątkami tysięcy wspinają się teraz na górę, wielkimi czerwonymi, pomarańczowymi i czarnymi falami, przemykając, pędząc i ocierając się o skałę nad nami. A dziś wieczorem, na środku swej drogi, znajdują przymocowane kołkami nagie ciało kobiety... przygotowaną dla siebie ucztę... dotkną najpierw ciepłego ciała pokarmowymi szczypcami, po czym jeden z nich zrobi pierwsze nacięcie szczypcami bojowymi, a potem... a potem...

Dziewczyna wydała jęk. Jej głowa opadła bezwładnie na piersi. Zemdlała. Bond uniósł się w krześle. Potok przekleństw wydobył się z sykiem spomiędzy zaciśniętych zębów.

Olbrzymie dłonie strażnika paliły jak ogień wokół ramion. Nie mógł nawet poruszyć nóg

krzesła. Po chwili zaniechał prób. Poczekał, aż głos mu się uspokoi, a potem powiedział, z całym jadem, na jaki go było stać:

- Ty draniu. Będziesz się za to smażył w piekle.

Doktor No uśmiechnął się lekko.

- Panie Bond, nie wierzę w istnienie piekła. Proszę się uspokoić. Może zaczną od gardła albo od serca. Przyciągnij je bicie pulsu. Wtedy to już nie potrwa długo.

Potem powiedział jedno zdanie po chińsku. Strażnik stojący za krzesłem dziewczyny pochylił się i uniósł ją, jak gdyby była dzieckiem, a potem zarzucił nieruchome ciało na ramię. Pomiędzy zwisającymi rękami włosy spływały złotą kaskadą. Strażnik otworzył drzwi, i wyszedł zamykając je bezszelestnie za sobą.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza. Bond myślał tylko o nożu przy brzuchu i o zapalniczce pod pachą. Jaką krzywdę może wyrządzić za pomocą dwóch kawałków metalu? Czy uda mu się dostać w pobliże doktora No?

Doktor No siedział spokojnie.

- Powiedział pan, że władza jest złudzeniem, panie Bond. Nie zmienił pan zdania? Moja władza, pozwalająca mi wybrać tę właśnie śmierć dla dziewczyny, z pewnością nie jest złudzeniem. Przejdźmy jednak do pańskiej ostatniej drogi. Ta również ma pewne nowe aspekty. Widzi pan, panie Bond, interesuje mnie anatomia odwagi, siła przetrwania ludzkiego ciała. Ale jak mierzyć ludzką wytrzymałość? Jak wyrysować krzywą woli przetrwania, tolerancji na ból, panowania nad strachem? Poświęciłem temu problemowi wiele uwagi, i sądzę, że go rozwiązałem. Jest to, oczywiście, jeszcze wstępna i niedopracowana metoda, ale będę się uczył i ulepszał stopniowo, poddając badaniu kolejnych ludzi. Przygotowałem pana do doświadczenia najlepiej, jak potrafiłem. Podąłem panu środek uspokajający, żeby ciało było rozluźnione i nakarmiłem dobrze dla wzmocnienia pana sił. Przyszłym, że tak powiem, pacjentom, będą przysługiwały te same przywileje. Wszyscy będą równi pod tym względem. Potem to już tylko kwestia indywidualnej odwagi i wytrzymałości. - Doktor No zrobił pauzę, obserwując twarz Bonda. - Widzi pan, panie Bond, właśnie skończyłem ustawiać trasę wyścigu z przeszkodami, kurs samoobrony przed śmiercią. Nie powiem nic więcej, ponieważ element zaskoczenia jest jedną ze składowych strachu. Najgorsze są nieznanne niebezpieczeństwa, i to one najbardziej uszczuplają zasoby odwagi. Pochlebiam sobie, że tortury, jakie pana czekają, obejmują całą gamę tego, co nieoczekiwane. To bardzo interesujące, panie Bond, że człowiek o pańskich warunkach fizycznych będzie moim pierwszym rywalem. Bardzo jestem ciekaw, jaką odległość pokona pan na tym torze przeszkód. Powinien pan ustanowić dobry wynik z myślą o przyszłych zawodnikach. Wiążę z panem wysokie oczekiwania. Powinien pan pokonać spory dystans, ale kiedy, nieuchronnie, potknie się pan na przeszkodzie, pańskie ciało zostanie wydobyte, a ja bardzo dokładnie zbadam stan fizyczny pańskich zwłok. Zanotuję wszelkie dane. Będzie pan pierwszym punktem na krzywej. To przecież zaszczyt, prawda, panie Bond? Bond nic nie odpowiedział. Co, u diabła, to wszystko znaczyło? Na czym mógł polegać sprawdzian? Czy można go przetrwać? Czy uda mu się uciec i dotrzeć do dziewczyny, zanim będzie za późno, nawet gdyby miał ją zabić, żeby oszczędzić jej tortur? W duchu Bond gromadził zasoby odwagi, uzbrajał się w żelazną siłę wobec strachu przed niewiadomą, który już chwycił go za gardło, koncentrując całą swoją wolę na przetrwaniu. Przede wszystkim nie wolno mu porzucić broni.

Doktor No wstał z krzesła. Zbliżył się wolno do drzwi i odwrócił. Przeróżające czarne dziury spoglądały na Bonda tuż spod framugi drzwi. Głowa była nieco przychylna. Fioletowe wargi znów się zacisnęły.

- Niech pan dobrze pobiegnie, panie Bond. Myślami, jak się to mówi, będę z panem.

Doktor No się odwrócił. Drzwi zamknęły się cicho za długimi, szczupłymi, spizowymi plecami.

ROZDZIAŁ 17 LABIRYNT BÓLU

W windzie stał mężczyzna. Otwarte drzwi czekały. Jamesa Bonda, z rękoma nadal przyciśniętymi do boków, wprowadzono do środka. Jadalnia będzie teraz zamknięta. Jak szybko wrócą strażnicy, zaczną sprzątać po obiedzie, zauważą, że czegoś brakuje? Drzwi zamknęły się z sykiem. Windiarz zasłaniał sobą guziki, toteż Bond nie widział, który z nich nacisnął. Jechali do góry. Bond usiłował oszacować odległość, Winda zatrzymała się z sapnięciem. Tak na wycucie jazda wydała mu się krótsza niż wtedy, kiedy zjeżdżał z dziewczyną. Drzwi otworzyły się na nagi korytarz, nie pokryty dywanem, kamienne ściany pomalowane szorstką szarą farbą. Korytarz ciągnął się jakieś dwadzieścia metrów.

- Poczekaj chwilę, Joe - rzucił strażnik Bonda windziarzowi. - Zaraz wracam.

Przeprowadził Bonda korytarzem mijając drzwi oznakowane literami alfabetu. Słychać było cichy szum maszynierii, a zza jednych drzwi dobiegał chyba skrzek zakłóceń radiowych. Sądząc po odgłosach mogli się znajdować w maszynowni obsługującej górę. Dotarli do ostatnich drzwi. Widniało na nich czarne Q. Były uchylone. Strażnik popchnął Bonda, pod naporem jego ciała otwarły się na oścież. Za drzwiami znajdowała się pomalowana na szaro kamienna cela około półtora metra kwadratowego. Stało tam tylko jedno drewniane krzesło, na którym leżały uprane i złożone równo czarne dżinsy Bonda i jego niebieska koszula.

Strażnik puścił ręce Bonda. Bond odwrócił się i spojrział na szeroką żółtą twarz tamtego wyzierającą spod kręconych włosów. W wodnistych piwnych oczach dostrzegł błysk ciekawości i zadowolenia. Mężczyzna stał z ręką na klamce.

- To by było na tyle, przyjacielu - rzekł. - Jesteś na pasie startowym. Możesz albo tu sterceć i gnić, albo znaleźć właściwy kurs. Milego lądowania.

Bond uznał, że warto spróbować. Spojrział przez ramię strażnika na windziarza, który stał przy otwartych drzwiach, przyglądając się całej scenie. Spytał cicho:

- Nie chciałbyś przypadkiem zarobić dziesięciu tysięcy dolarów, pewna forsa i bilet do dowolnego zakątka świata?

Obserwował twarz tamtego. Usta mu się rozwarły w szerokim uśmiechu, ukazując zbrązowiałe zęby, nierówno spilowane od lat żucia trzciny cukrowej.

- Piękne dzięki. Jeszcze mi życie mile.

Mężczyzna już miał zamknąć drzwi. Bond rzucił szeptem:

- Moglibyśmy stąd uciec razem. Pulchne usta aż prychnęły.

- Wypchaj się! - padła odpowiedź.

Drzwi zamknęły się z głośnym trzaskiem.

Bond wzruszył ramionami. Zlustrował pobieżnie drzwi. Żelazne, od wewnątrz żadnej klamki. Nawet nie próbował nadwierać sobie barku. Podszedł do krzesła, usiadł na równej kostce własnych ubrań i rozejrzał się po celi. Ściany były zupełnie nagie, pominawszy grubą drucianą kratę wentylatora w jednym kącie pod samym sufitem. Była szersza od jego ramion. Z pewnością tędy wiodła droga na ścieżkę próby. Poza nią był tu jeszcze jeden otwór w ścianie, gruby szklany świetlik, nie większy od głowy Bonda, tuż nad drzwiami. Wpadało przezeń światło z korytarza I na tym koniec. Nie ma co mitrzyć czasu. Pewnie jest już pół do jedenastej. Na zewnątrz, gdzieś na zboczu góry, dziewczyna pewno już leży w oczekiwaniu na chrzest kleszczy po szarym koralu. Bond zaciął zęby na myśl o jej bladym ciele rozpostartym tam pod gwiazdami. Zerwał się na

równe nogi. Czemu, do diabła, siedzi tak beczynnie. Cokolwiek go czeka po drugiej stronie drucianej kraty, czas ruszać.

Wyjął nóż, zapalniczkę i zrzucił kimono. Wskoczył w spodnie i w koszulę, włożył zapalniczkę do tylnej kieszeni. Sprawdzał kciukiem nóż. Bardzo ostry. Byłby jeszcze lepszy, gdyby miał na czubku szpic. Bond ukląkł na podłodze i zaczął ostrzyć na kamieniu zaokrąglony czubek. Ułynął cenny kwadrans, zanim Bond z zadowoleniem ocenił własny wysilek. Może to niezupełnie sztylet, ale da się nim dźgać, a także ciąć. Bond wsadził nóż w zęby, po czym przystawił krzesło pod kratę i na nie wszedł. Krata! Jeżeli zdoła ją wyrwać z zawiasów, ramę z drutu półcentymetrowej grubości można wyprostować i zrobić z niej harpun. Posłuży jako trzecia broń. Sięgnął zakrzywionymi palcami.

Zanim się zorientował, poczuł palący ból w ręce i lupnięcie głowy o kamienną posadzkę. Leżał tak ogłuszony, i tylko wspomnienie niebieskiej iskry, syku i trzasku elektryczności mówiło mu, co go powaliło.

Podniósł się na kolana i tak pozostał. Zwiesił głowę, pokręcił nią wolno na boki jak ranne zwierzę. Poczul swąd palonego ciała. Podniósł prawą rękę do oczu. Przez wszystkie palce od środka biegła czerwona pręga otwartej rany. Sam widok przywołał ból. Bond zaklął szpetnie. Pomału wstał na nogi. Zerknął spode łba na drucianą kratę, jak gdyby miała niczym wąż znów przypuścić na niego atak. Z niewzruszonym zamiarem ustawił krzesło pod ścianą. Podniósł nóż, odciął pas z porzuconego kimona i przewiązał nim sobie mocno palce; Następnie znów wspiął się na krzesło i przyjrzał kracie. Musi przez nią przejść. Wstrząs miał go tylko zmiękczyć - stanowił przedsmak czekającego go bólu. Z pewnością spalił to cholerstwo. Z pewnością wyłączono prąd. Patrzył tylko przez chwilę, po czym zagiął palce lewej ręki i wsadził je w bezosobową drucianą siatkę. Palce przeszły przez drucianą krawędź i chwyciły.

Nic! Nic, tylko drut. Bond odchrząknął. Poczul, że nerwy mu ochłonęły. Szarpnął drut. Ustąpił o kilka centymetrów. Szarpnął jeszcze raz, drut został mu w ręku, zwisał z dwóch żyłek miedzianego izolowanego kabla. Zszedł z krzesła. Tak, w ramie znajdowało się połączenie. Zabrał się do roboty, żeby rozplatać siatkę. Po czym używając krzesła jako młotka wyprostował solidny drut.

Po dziesięciu minutach Bond miał przeszło metrowy, zakrzywiony harpun. Jeden koniec, pierwotnie ucięty szczypcami, był teraz wystrzępiony. Nie przebije ubrania, ale przyda się na twarz i na szyję. Natężając się ze wszystkich sił, korzystając ze szczeliny u dołu żelaznych drzwi, Bond zagiął tępy koniec w niezgrabny hak. Przymierzył drut do nogi. Był za długi. Zgiął go we dwoje i wpuścił sobie harpun w nogawkę spodni. Teraz zwisał od pasa, kończąc się tuż nad kolanem. Wrócił do krzesła, znów się wspiął, sięgnął nie bez strachu do krawędzi szybu wentylacyjnego. Tym razem nie czekał go wstrząs. Bond podciągnął się do góry, przez wlot, położył na brzuchu i spojrzal w głąb szybu. Szyb był jakieś dziesięć centymetrów szerszy od ramion Bonda. Okrągły, z gładkiego metalu. Bond sięgnął po zapalniczkę, błogosławiąc natchnienie, które kazało mu ją zabrać, pstryknął. Owszem, blacha cynkowa, najwyraźniej nowa. Szyb ciągnął się prosto, bez żadnych cech szczególnych poza spojeniami łączącymi kolejne odcinki rury. Bond wsadził zapalniczkę do kieszeni i zaczął się czolgać naprzód.

Łatwo mu szło. Chłodne powietrze systemu wentylacyjnego dmuchało mu silnie w twarz. Nie niesło woni morza, raczej duszny zapach dolatujący z zakładów klimatyzacyjnych. Doktor No musiał przystosować jeden szyb do własnych celów. Jakimi jeszcze pułapkami go naszpikował, żeby poddać próbie swoje ofiary? Na pewno będą wymyślne i bolesne - zaprojektowane tak, żeby złamać opór jego ofiar. Na mecie, jeśli tak wolno rzec, będzie czekał coup de grace - jeżeli ofiara zdoła tak daleko dotrzeć. Będzie to coś ostatecznego, coś, od czego nie ma ucieczki, bo w tym wyścigu nie czeka

żadna nagroda prócz zapomnienia - zapomnienia, jak pomyślał Bond, które chętnie sobie zaskarbi. Chyba że doktor No sam się, rzecz jasna, przechytrzył. Chyba że nie docenił woli przetrwania. W tym, pomyślał Bond, jedyna nadzieja - spróbować przetrwać pułapki po drodze, wyczerpać przynajmniej możliwości do ostatka. Przed sobą zobaczył nikle światelko. Zbliżył się do niego ostrożnie, badając zmysłami niczym czułkami teren przed sobą. Teraz rozbłysło nieco żywiej. Był to refleks światła przy końcu poprzecznego szybu. Bond posuwał się do przodu, aż dotknął głową metalu. Przewrócił się na plecy. Tuż nad sobą, u szczytu pionowego pięćdziesięciometrowego szybu, dojrzał jednolity blask. Zupełnie jak gdyby patrzył przez długą lufę armatnią. Podciągnął się odrobinę do prostopadłego zagięcia i stanął na nogi. Czyli miał się wspierać tą błyszczącą metalową rurą bez żadnego oparcia dla nóg! Czy to możliwe? Bond naprężył ramiona. Owszem, wspierały się o boki. Dla nóg też się czasem znajdzie punkt oparcia, chociaż na ogół będą się ślizgać poza krawędziami spojeń, które dadzą mu małą podpórkę. Wzruszył ramionami, zrzucił buty. Nie ma co deliberować. Trzeba podjąć próbę. Pokonując za każdym razem po piętnaście centymetrów, ciało Bonda zaczęło się wspinać ruchem robaczkowym w górę szybu - naprężyć ramiona, żeby się wesprzeć o boki, podciągnąć nogi, zewrzeć kolana, zaprzeć się nogami o metal, a kiedy nogi ześlizgują się w dół pod ciężarem ciała, rozkurczyć ramiona i unieść je o kolejnych kilka centymetrów. Jeszcze raz, jeszcze i jeszcze i jeszcze raz. Przystanek przy każdym drobnym wybrzuszeniu, gdzie łączą się poszczególne odcinki, żeby wykorzystać milimetry występy dla zaczerpnięcia oddechu i wyliczenia kolejnego kroku. Poza tym nie patrzeć do góry, myśleć wyłącznie o tych centymetrach metalu, które trzeba jeden po drugim pokonać. Nie przejmować się błyskiem światła, które wcale się nie rozjaśnia ani nie przybliża. Nie przejmować się utratą oparcia ani upadkiem na dno szybu, gdzie czeka go połamanie nóg. Nie przejmować się skurczem. Nie przejmować się wyjąkami z bólu mięśniami ani puchnącymi siniakami na ramionach i po bokach stóp. Po prostu pokonywać srebrne centymetry jak leci, jeden za drugim.

Tyle że nogi zaczęły mu się pocić i ślizgać. Dwukrotnie Bond stracił cały metr, zanim ramiona, piekąc od tarcia, zdołały przyhamować. Wreszcie musiał zrobić sobie odpoczynek, żeby obsechł mu pot na wiejącym w dół podmuchu powietrza. Odczekał całe dziesięć minut, wpatrzony we własne słabe odbicie w gładkim metalu, w swoją twarz przepołowioną nożem między zębami. Ale wciąż wzdrygał przed spojrzeniem do góry, żeby zobaczyć, ile mu jeszcze zostało. Mógłby tego nie wytrzymać. Ostrożnie wytarł każdą stopę o nogawkę spodni i znów ruszył.

Teraz połowę jego myśli zaprzętały marzenia, tymczasem druga połowa toczyła walkę. Nie zauważył nawet, że podmuch powietrza się nasilił, a światło się rozjaśniło. Widział siebie jako ranną gąsienicę, która pełźnie rurą kanalizacyjną do otworu w wannie. Co zobaczy, kiedy przejdzie przez ten otwór? Nagą, wycierającą się dziewczynę? Gołącego się mężczyznę? Promienie słońca wpadające przez otwarte okno do pustej łazienki? Bond uderzył o coś głową. Czyli w otworze jest korek! Szok doznanego zawodu spowodował, że się ześlizgnął o metr w dół, zanim ramiona złapały znów oparcie. Wtedy zdał sobie sprawę. Jest u szczytu! Dopiero teraz zauważył jaskrawe światło i silny wiatr. Gorączkowo, aczkolwiek z jeszcze większą, desperacką rozważą, podciągnął się po raz drugi, aż znów dotknął czegoś głową. Wiatr wpadał mu do lewego ucha. Ostrożnie obrócił głowę. Kolejny boczny szyb. Nad nim przez gruby świetlik sączyło się światło. Wystarczy nieznacznie się przekręcić, uchwycić krawędzi nowego szybu i znaleźć w sobie tyle siły, żeby się tam podciągnąć. Wtedy będzie się mógł położyć. Ze zdwojoną delikatnością wynikłą ze strachu, żeby teraz czegoś nie zepsuć, nie popełnić błędu i nie runąć na dno szybu, gdzie wylądowałby jako miazga kości, Bond

zaparowując własnym oddechem metal wykonał ten manewr, ostatkiem sił rzucił się do otworu i padł całym ciężarem ciała na twarz.

Później - ciekawe, ile później? - oczy Bonda się otworzyły, ciało drgnęło. Chłód wyrwał go z obrzeży całkowitej nieprzytomności, w jaką zapadło jego ciało. Bond przewrócił się w udręce na plecy, stopy i ramiona aż wyły z bólu, i leżał tak dochodząc do siebie, zbierając dalsze siły. Nie miał pojęcia, która to godzina ani gdzie się znajduje wewnątrz góry. Uniósł głowę, obejrzał się na świetlik nad ziejącą otworem rurą, z której właśnie wylazł. Żółtawe światło, dość grube szkło. Przypomnił sobie świetlik w pokoju Q.

Tamten wydawał się nie do sforsowania, ten najprawdopodobniej też.

Naraz zobaczył za szkłem jakiś ruch. Kiedy tak patrzył, zza żarówki wychynęła para oczu. Oczy przystały, spojrzały na niego, a żarówka między nimi wyglądała jak żółty szklany nos. Przez chwilę gapily się obojętnie, po czym znikły. Bond aż warknął zza zaciśniętych zębów. Czyli ktoś będzie obserwował jego postępy, doniesie o nich doktorowi No!

Bond wyrzekł na głos zjadliwie: - A niech ich wszystkich... - po czym przewrócił się przygnębiony na brzuch. Uniósł głowę i spojrzał przed siebie. Tunel przechodził dalej w głęboką czerń. Naprzód! Nie ma co tu sterczeć. Podniósł nóż, znów wsadził go sobie w zęby i podjął swoją cierniową drogę.

Wkrótce światło znikło do reszty. Bond od czasu do czasu przystawał, pstrykał zapalniczką, ale przed nim rozpościerały się tylko i wyłącznie ciemności. Powietrze w szybie się ociepliło, a po dalszych pięćdziesięciu metrach stało się wyraźnie gorące.

Wokół unosił się zapach upału, metalicznego żaru. Bond zaczął się pocić. Niebawem całe ciało miał złane potem, musiał przystawać co kilka minut, żeby przetrzeć oczy. Dotarł do skrzyżowania w prawo. Za rogiem metal wielkiej rury parzył skórę. Zapach gorąca bardzo się teraz nasilił. Kolejny skręt w prawo. Kiedy wsadził tam głowę, prędko wyciągnął zapalniczkę, pstryknął, po czym odczłochał się w tył i leżał tak ciężko dysząc. Z rozgoryczeniem oszacował nową pułapkę, zbadał ją, przeklął. Płomyk zapalniczki oświetlił wyblakłą powierzchnię cynkową koloru ostrzygi. Kolejna pułapka to spiekota! Aż jęknął na głos. Jak to znieś jego poobcierane ciało? Jak zdoła ochronić skórę przed tym metalem? Nie ma jednak rady. Może albo wracać, albo zostać tam, gdzie jest, albo posuwać się naprzód. Nie ma tu miejsca na inną decyzję, inny krok czy usprawiedliwienie, i tylko jeden, jedyny okrucieństwo nadziei. Że ta spiekota go nie zabije, co najwyżej wymaltretuje. Że nie będzie to ostateczne pole śmierci, a jedynie kolejny sprawdzian, ile Bond może wytrzymać.

Bond pomyślał o dziewczynie i o tym, co też ona musi teraz przechodzić. No, cóż. Trzeba brnąć naprzód. Rozpatrzmy się więc...

Wyjął nóż, ciachnął przód koszuli, pocałował go na pasy. Jedyna nadzieja w owinięciu tych części ciała, które będą najbardziej narażone - czyli dłoni i stóp. Łokcie i kolana muszą się zadowolić pojedynczą osłoną materiału. Zabrał się mozolnie do roboty, klnąc przy tym pod nosem.

Wreszcie był gotów. Raz, dwa, trzy...

Skręcił za róg i ruszył naprzód w zatęchły żar.

Byle nie dotykać brzuchem podłoża! Zwierać ramiona! Ręce, kolana, palce nóg; ręce, kolana, palce nóg. Szybciej, szybciej! Suń tak szybko, żeby każdy kontakt z podłożem ustępował miejsca następnemu.

Najbardziej cierpiały przy tym kolana, bo musiały przyjmować na siebie brzemień całego ciała. Zaczęły się tlić ochraniacze na rękach. Najpierw jedna iskra, potem druga, a za chwilę robak czerwieni, kiedy iskry jęły pelgać coraz prędej. Dym palonego materiału piekł zażawione oczy. Boże, dłużej tego nie wytrzyma! Ani krztyny powietrza. Płuca mu pękały. Teraz już za każdym ruchem do przodu z obu rąk sypały się iskry. Materiał

zaraz spłonie. I wtedy zaczniesz się palić ciało. Bond stracił równowagę i uderzył poobcieranym ramieniem w metal. Aż zawył z bólu. Zaczął teraz regularnie wyc przy każdym zetknięciu ręki, kolana czy palców nóg z powierzchnią. To już jego ostatnie chwile. To już koniec. Teraz padnie na brzuch i usmaży się wolno na śmierć. Nie! Musi sunąć dalej, wyjąc, aż sobie spali mięso do kości. Na pewno już poszła skóra na kolanach. Za chwilę poduszki dłoni zetkną się z metalem. Tylko pot ściekający mu spod pach utrzymywał wilgoć w ochraniaczach. Wyj, wyj, ile wlezie! Wycie łagodzi ból. Przypomina ci, że żyjesz. Dalej! Dalej! To już napewno niedługo. Nie taka śmierć cię czeka. Wciąż jeszcze żyjesz. Nie poddawaj się! Teraz nie możesz!

Prawą ręką uderzył w coś, co ustąpiło. Owionął go strumień lodowatego powietrza. Następnie Bond uderzył drugą ręką, potem głową. Rozległ się blaszany dźwięk. Bond poczuł, że dolna krawędź azbestowej przegrody drapie go w plecy. Już po wszystkim. Usłyszał huk zatraskującej się przegrody. Ręce trafiły na litą ścianę. Obmacał ją w prawo i w lewo. Znow zakręcił w prawo. Ślepo posłuszne ciało ruszyło za róg. Chłodne powietrze dźgało go niczym sztylet w płuca. Ostrożnie dotknął palcami metalu. Był zimny! Bond upadł z jękiem na twarz i leżał bez ruchu.

Po jakimś czasie ocucił go ból. Bond przewrócił się niemrawo na plecy. Mgliście dostrzegł nad głową świetlik. Mgliście pochwycił spojrzenie gapiących się na niego oczu. Po czym znow dał się pochłonać czarnym falom.

W ciemnościach pomału wystąpiły bąble na skórze, zeszywniały po-ocierane stopy i ramiona. Pot zasechł na ciele i na strzępach ubrania, chłodne powietrze wsączyło się do przegrzanych płuc i rozpoczęło w nich swoją podstępłą robotę. Ale serce nadal biło silnie i regularnie w skatowanej powłoce, a magicznie uzdrawiający tlen i odpoczynek pompowały z powrotem życie w tętnice i żyły, naładowując ponownie system nerwowy. Minęło wiele lat, nim Bond się obudził. Poruszył się. Kiedy otworzył oczy, które ujrzały kilka centymetrów za szkłem drugą parę oczu, ból owładnął nim i potrząsnął jak szcurem. Czekał na dreszcz śmierci. Spróbował jeszcze raz i jeszcze raz:, aż ocenił siły przeciwnika. Wreszcie, chcąc się ukryć przed wzrokiem obserwatora, przewrócił się na brzuch i pograżył się w tym bólu bez reszty. Znow odczekał, wsłuchany w reakcje ciała, badając siłę własnej stanowczości pozostałą w akumulatorze. Ile jeszcze zdoła wytrzymać? Puścił zagryzione usta i warknął w ciemności. Był to głos zwierzęcia. Doszedł do końca ludzkich reakcji na ból i przeciwności losu. Doktor No zapędził go w kozi róg. Ale zostały przecież zwierzęce rezerwy desperacji, a u silnego zwierzęcia są one niemałe.

Powoli, w najwyższej udręce, Bond odczołgał się o kilka metrów od tamtych oczu, po czym sięgnął po zapalniczkę i pstryknął. W oddali jedynie czarny księżyc w pełni, okrągła rozwartą paszcza, która prowadziła wprost do brzucha śmierci. Bond odłożył zapalniczkę. Zacerpnął głęboki haust powietrza i wstał na czworaki. Ból wcale się nie nasilił, tylko zmienił. Powoli, sztywno ruszył naprzód.

Bawelniany materiał na kolanach i łokciach spalił się do cna. Bond beznamiętnie odnotował wilgoć z bąbli pękających w zetknięciu z chłodnym metalem. Brnąc do przodu zginał palce u rąk i nóg sprawdzając ból. Powoli wybadał, co może robić, a co boli najbardziej. Ból jest do zniesienia, przekonywał sam siebie. Gdybym się znalazł w katastrofie lotniczej, stwierdzono by jedynie powierzchowne obrażenia i oparzenia. Po kilku dniach wyszedłbym ze szpitala. Nic mi właściwie nie jest. Ocalałem z wypadku. Owszem, boli, ale to nic takiego. Pomyśl o szczątkach innych pasażerów. Bądź wdzięczny losowi. Wyrzuć to z głowy. Ale zza tych myśli napierała świadomość, że tak naprawdę nie uległ jeszcze wypadkowi - że najgorsze wciąż przed nim, a przecież maleje jego wytrzymałość, jego skuteczność. Kiedy to nastąpi? Jaką przybierze formę? Jak długo będą go jeszcze zmiękczać, zanim dotrze na pole śmierci?

Małeńkie czerwone ogniki majaczące przed nim mogły być jedynie omamem, płatkami wirującymi ze zmęczenia pod powiekami. Bond przystanął i przetarł oczy. Potrząsnął głową. Nie znikły. Wolno podczołgał się bliżej. Teraz zobaczył, że się ruszają. Znów przystanął. Nasłuchiwał. Nad cichym dudnieniem jego serca górował niezbyt głośny, delikatny szelest. Coraz więcej tych ogników. Teraz było ich już chyba ze dwadzieścia albo trzydzieści, przemieszczały się tam i z powrotem, jedne prędko, inne wolno, po całym kole czerni w przodzie. Bond sięgnął po zapalniczkę. Kiedy puszczał żółty płomyk, aż wstrzymał oddech. Czerwone ogniki zgasły. Natomiast metr przed nim bardzo cienka siatka, niemal tak wiotka jak muślin, blokowała szyb.

Bond podciągnął się odrobinę, przed sobą trzymał zapalniczkę. Była to klatka pełna małych stworzeń. Słyszał, jak pierzchają byle dalej od światła. O krok od siatki zgasił światło i odczekał, aż oczy przywykną do ciemności. Kiedy tak czekał, nasłuchując, dobiegł go szelest stworzeń zawracających w jego stronę, aż wreszcie znów się zebrał las czerwonych ogników wpatrzonych w niego przez siatkę.

Co to mogło być? Bond wsłuchał się w łomot własnego serca. Węże? Skorpiony? Krocionogi?

Ostrożnie przysunął oczy do małego rozjarzonego lasu. Podniósł zapalniczkę do twarzy i gwałtownie nacisnął dźwignię. Mignęły przed nim małe pazurki wczepione w siatkę, całe tuziny włochatych łapek i futrzaste workowate brzuszki zwieńczone wielkimi owadzimi głowami, które były jak gdyby pokryte oczyma. Stworzenia odskoczyły w popłochu od siatki na blaszaną podłogę, czmychnęły i zbiły się w szarobrazową futrzaną masę w końcu klatki.

Bond zerknął przez siatkę, przesuując płomyk w przód i w tył. Wreszcie zgasił zapalniczkę, żeby oszczędzać gaz i pozwolił sobie na ciche westchnienie przez zęby. Były to pająki, olbrzymie tarantule, osiem do dziesięciu centymetrów długości. W klatce znajdowało się ich ze dwadzieścia, i musiał się przez nie jakoś przedrzeć.

Leżał, odpoczywał i myślał, a czerwone oczka znów się zebrały przy jego twarzy.

Czy te stworzenia rzeczywiście zadają śmierć? Ile jest prawdy w opowieściach o nich, a ile mitu? Z pewnością mogą zabijać zwierzęta, ale czy te olbrzymie pająki o długim, miękkim, przytulnym futrze charta stanowią śmiertelne niebezpieczeństwo dla ludzi? Bond aż się wzdrygnął. Przypomnił sobie krocionoga. Dotyk tych tarantuli będzie o wiele delikatniejszy. Zupełnie jak łapy pluszowego niedźwiadka na skórze - dopóki nie ugryzą i nie wsączą w człowieka zawartości swoich gruczołów jadowych.

I znów, czyżby to było pole śmierci doktora No? Najwyżej jedno czy dwa ukąszenia, żeby zadać delikwentowi piekielny ból. Koszmar przedzierania się w ciemnościach przez tę siatkę - doktor No na pewno nie przewidział zapalniczki Bonda - aby się przebić przez las oczu, miażdżąc niektóre z tych miękkich ciał, ale też czując, jak szczęki innych wbijają się tam, gdzie trzeba. Po czym kolejne ukąszenia tych, które się zaplątały w ubranie. I wtedy powolne katusze działania trucizny. Z pewnością tak pracował umysł doktora No - żeby ofiara musiała wyć z bólu po drodze. Do czego? Do ostatniej przeszkody?

Bond miał jednak przy sobie zapalniczkę, nóż i druciany harpun. Trzeba mu było jedynie odwagi i nieskończonej, nieskończonej wprost precyzji.

Delikatnie uchylił wieczko zapalniczki, po czym kciukiem i paznokciem wyciągnął odrobinę knot, żeby uzyskać większy płomień. Zapalił, a kiedy pająki pierzchły w głąb klatki, przekłuł nożem cienką, drucianą siatkę. Tuż przy ramie przewiercił dziurę, po czym ciachnął na boki i dokoła. Złapał dyndającą siatkę i wyszarpnął ją z ramy.

Oderwała się niczym sztywny perkal i ustąpiła w jednym kawałku. Wsadził sobie z powrotem nóż w zęby, przeczolgał się przez otwór. Pająki zbiegły przed płomieniem ognia, stłoczyły się na kupie. Bond wyciągnął ze spodni druciany harpun i dźgnął tępym,

rozwidlonym drutem w sam ich środek. Dźgnął jeszcze i jeszcze raz, miażdżąc zapamiętałe ciała. Kiedy niektóre z pajaków usiłowały czmychnąć w jego stronę, machał tam zapalniczką i wybijał kolejno wszystkich zbiegów. Teraz pozostałe przy życiu pająki atakowały te martwe i ranne, Bond musiał więc tylko zadawać cios za ciosem w tę wijącą się, obrzydliwą aż do mdłości masę krwi i futra.

Z wolna wszelki ruch zamierał, aż w ogóle ustał. Czy wszystkie padły martwe? Czy może któreś udawały? Płomyk zapalniczki począł gasnąć. Bond będzie musiał zaryzykować. Sięgnął ręką i zmiotł martwe kłębowisko w jeden kąt. Następnie wyjął z zębów nóż, wyciągnął rękę i ciachnął na wylot drugą zaslonę z drutu, nakrywając nią stos zmiażdżonych ciał. Płomyk zamigotał, zaczął się jarzyć na czerwono. Bond zebrał się w sobie, przebił ciałem krwawą kupę trupów i wystrzępioną ramę.

Nie miał pojęcia, których kawałków metalu dotknął ani czy wsadził kolano lub stopę w masę pajaków. Wiedział tylko, że się przedostał. Podczołgał się kilka kroków szybem, następnie przystanął, żeby złapać oddech i uspokoić nerwy.

Nad nim zajaśniało nagle światelko. Bond zerknął do góry i w bok, wiedząc co zobaczy.

Zza grubego szkła przyglądały mu się badawczo żółte skośne oczy. Głowa za żarówką przesuwała się powoli z boku na bok. Powieki opadły w szyderym grymasie współczucia. Zaciśnięta pięść, kciuk skierowany do dołu na znak pożegnania i porażki wcisnął się między żarówkę a szkło. Po czym się wycofał. Światło zgasło. Bond obrócił się znów twarzą do dna szybu i przyłożył czoło do chłodnego metalu. Tamten gest oznaczał, że Bond dochodzi do ostatniego okrążenia, że widzowie już z nim skończyli, przyjdą tylko po jego zwłoki. Jeszcze bardziej upadł na duchu dlatego, że nie okazano mu najmniejszej pochwały, iż zdołał tak długo przeżyć. Ci Chinonegrzy musieli go doprawdy nienawidzić. Pragnęli tylko jego śmierci, i to jak najpodlejszej.

Bond zgrzytnął cicho zębami. Pomyślał o dziewczynie i ta myśl dodała mu siły. Jeszcze nie umarł. Cholera, i nie umrze! Dopóki nie wyrwą mu serca z ciała.

Napiął mięśnie. Czas ruszać. Ze zdwojoną ostrożnością rozmieścił na swoich miejscach broń i udręczony zaczął znów pełzać w głąb czerni.

Szyb jął się lekko staczać w dół. Łatwiej się było posuwać. Wkrótce jednak stał się tak stromy, że Bond mógłby się niemal ślizgać popychany ciężarem własnego ciała. Co za ulga, kiedy nie trzeba wysilać mięśni. Przed nim zamajaczyło szare światelko, tylko zelżenie ciemności, ale zawsze jakaś odmiana. Powietrze też się zmieniło. Poczul nowy, świeży zapach. Co to takiego? Czyżby morze?

Naraz zdał sobie sprawę, że zjeżdża w dół szybu. Rozwarł ramiona i rozcapierzył nogi, żeby trochę przyhamować. Zabolalo, a i tak nie udało mu się zbyt wytracić prędkości. Szyb się teraz rozszerzał. Bond nie mógł już się w nim zaprzeć! Pędził coraz szybciej.

Tuż przed nim zakręt. I to zakręt w dół!

Ciało wpadło w zakręt, odbiło się. Jezu, leciał teraz głową w dół! Rozpaczliwie zdołał rozpostrzeć ręce i nogi. Metal zdierał mu skórę. Bond stracił wszelką kontrolę, leciał, leciał teraz w głąb lufy. Daleko w dole majaczył krążek szarego światła. Otwarte powietrze? Morze? Pędziło na niego światło. Walczył o oddech. Pozostań przy życiu, ty idioto! Pozostań przy życiu!

Ciało Bonda wyprysnęło z szybu głową w dół i leciało w powietrzu wolno, wolniutko ku spiżowemu morzu, które czekało nań trzysta metrów poniżej.

ROZDZIAŁ 18 POLA ŚMIERCI

Ciało Bonda niczym bomba roztrzaskało lustro świtającego morza.

Kiedy leciał w dół srebrnego szybu ku rozszerzającemu się krążkowi światła, instynkt mu podpowiedział, żeby wyjąć nóż z zębów, wysunąć do przodu ręce, aby osłabić upadek, i trzymać głowę w dół, a całe ciało sztywne. W ostatnim ułamku sekundy, kiedy zobaczył pędzące na niego morze, zdołał nabrać łyk powietrza. Toteż runął do wody na podobieństwo skoczka, przebijając zaciśniętymi, wyciągniętymi pięściami dziurę na głowę i ramiona. Wprawdzie stracił przytomność, kiedy dał nura sześć metrów pod wodę, ale zderzenie z jej powierzchnią w tempie przeszło sześćdziesięciu kilometrów na godzinę nie rozerwało go na strzępy.

Powoli ciało wypłynęło na powierzchnię i leżało tak głową w dół, kołysząc się lekko na zmarszczkach wody po skoku. Zdławione wodą płuca zdołały jakoś przekazać ostatni impuls mózgowi. Nogi i ręce trzepotały niezdarnie. Głowa przekręciła się do góry, z otwartych ust chlusnął strumień. I znów się zapadła. Nogi jeszcze raz się szarpnęły próbując instynktownie wnieść ciało do pozycji pionowej. Tym razem z potwornym kaszlem głowa wyskoczyła na powierzchnię i tam została. Ręce i nogi zaczęły się niemrawo ruszać, wiosłując jak pies, natomiast przekrwione oczy dojrzały przez czerwono-czarną zasłonę linę bezpieczeństwa, nakazały więc ospałem mózgowi, żeby pokierował tam ciałem.

Polem śmierci była wąska, głęboka zatoczka u podnóża wyniosłej skały. Lina bezpieczeństwa, ku której Bond rozpaczliwie zmierzał, mimo że ruchy tamował mu nieporęczny harpun w nogawce spodni, to solidny druciany płot rozciągnięty od skalnych ścian zatoczki, odgradzający ją od otwartego morza. Z kabla zwisały metrowe kwadraty z grubego drutu dwa metry nad poziomem morza i niknęły, oblepione wodorostami, w głębinie.

Bond dotarł do drutu i zawisł na nim jak ukrzyżowany. Trwał tak piętnaście minut, od czasu do czasu ciałem wstrząsały wymioty, aż zebrał w sobie na tyle siły, żeby odwrócić głowę i zobaczyć, gdzie się znajduje. Zamglonym wzrokiem dojrzał nad sobą wyniosłą skałę, a w dole wąski trójkąt cicho szemrzącej wody. Całe miejsce było pogrążone w głębokim szarym cieniu, odcięte górą od świtu, ale dalej, na pełnym morzu majaczył perłowy blask pierwszego światła, który oznaczał dla reszty świata, że rozpoczyna się brzask. Tutaj zaś było ciemno, mroczno i posępnie.

Umysł Bonda zastanowił się ospale nad drucianym płotem. Czy postawiono go tu celowo, żeby odciąć tę ciemną szczelinę od morza? Czy miał uniemożliwić dostęp z zewnątrz, czy też dostęp na zewnątrz? Bond spojrział mgliście w dół na czarne głębiny dokoła. Pasma drutu niknęły w pustce pod jego wczepionymi kurczowo stopami. Wokół jego nóg, poniżej pasa roily się małe rybki. Co robiły? Zdawało się, że coś jedzą, śmigają w jego kierunku, po czym odpływały, porywając czarne pasemka. Pasemka czego? Bawełnianych strzępów jego ubrania? Bond potrząsnął głową, żeby mu się w niej przejaśniło. Znów spojrział. Nie, rybki karmiły się krwią.

Przeszedł go dreszcz. Tak, z jego ciała, z okaleczonych ramion, kolan, stóp, sączyła się do wody krew. Dopiero teraz poczuł ból ran i oparzeń w zetknięciu z morską wodą. Ból go ożywił, przyspieszy pracę umysłu. Jeżeli krew smakowała małym rybkom, co tu mówić o barakudach czy rekinach? Czyżby w tym celu zainstalowano tu druciany płot, żeby ludożercze ryby nie uciekły na otwarte morze? To dlaczego jeszcze go nie dopadły? A, do diabła! Przede wszystkim trzeba się wspiać na drut i przejść na drugą stronę. Żeby odgrodzić się płotem od stworzeń zamieszkujących to czarne akwarium.

Wycieńczony Bond wspiał się noga za nogą na siatkę, przelazł przez wierzch i szedł na dół, gdzie mógł odpocząć dość wysoko nad powierzchnią wody. Przełożył sobie grubą kabel pod pachami i wisiał tak niczym sztuka upranej bielizny na sznurze, patrząc mglistym wzrokiem w dół na rybki, nadal karmiące się krwią, która skapnęła mu z nóg.

Teraz niewiele już z niego zostało, niewielkie rezerwy sił. Ostatni ślizg w rurze, wstrząs upadku i niemal śmierć przez utopienie wycisnęły go jak gąbkę. Był na granicy poddania się, na granicy wydania z siebie jednego cichego westchnienia i osunięcia się na powrót w łagodne objęcia wody. Jak by to było cudownie skapitulować wreszcie i odpocząć - poczuć, jak morze łagodnie go bierze do swego łóża i gasi światło.

Raptowne czmychnięcie rybek z żerowiska wyrwało Bonda z marzeń o śmierci. Coś się poruszyło głęboko pod powierzchnią. Jakiś odległy błysk. Coś nadciągało powoli wzdłuż płotu od strony lądu.

Bond napiął całe ciało. Opuszczona szczeka powoli się zamknęła, odprężenie znikło z oczu. Niebezpieczeństwo poraziło go jak prądem, znów wpłynęło w niego życie, usuwając letarg, wpompowując na powrót wolę przetrwania.

Rozprostował palce, którym mózg dawno już temu polecił nie wypuszczać noża.

Zacisnął palce i uchwycił na nowo posrebrzany trzonek. Sięgnął w dół, dotknął haka drucianego harpuna, który nadal wisiał w nogawce. Mocno potrząsnął głową, skupił wzrok. I co teraz?

Woda pod nim zadrżała. Coś się ruszało w głębinach, coś wielkiego. Daleko w ciemnościach zamajaczył długi, lśniący szary kształt. Coś się zeń wyślizgnęło, bicz grubości ręki Bonda. Nabrzmiały czubek tego rzemienia kończył się wąskim owalem upstrzonym regularnymi plamami niby oczkami. To coś zakotłowało się w wodzie, tam gdzie przed chwilą pływały rybki, i cofnęło się w głąb. I znów tylko olbrzymi szary cień. Co to wyczyniało? Czyżby...? Czyżby smakowało krew?

Jak gdyby w odpowiedzi wypłynęło wolno dwoje oczu wielkich jak piłki futbolowe, tak że Bond mógł je dojrzeć. Zatrzymały się sześć, metrów poniżej linii jego oczu i spozierały w górę przez spokojną wodę na jego twarz.

Bondowi aż skóra ścierpła na grzbiecie. Cicho, zmęczonym głosem rzucił gorzkie przekleństwo. A więc to była ostatnia niespodzianka doktora No, koniec wyścigu!

Bond patrzył w dół, na poły zahipnotyzowany, w kołyszące się jeziora oczu daleko w otchłani. Czyli była to gigantyczna kalamarnica, legendarna bestia wciągająca statki w odmęty, piętnastometrowy potwór, który stawał do walki z wielorybami ważącymi ponad tonę. Co jeszcze o niej wiedział? Że ma dwie długie macki chwytające i dziesięć przytrzymujących. Że ma wielki, tępy dziób pod oczyma, które jako jedyne u ryb działają na zasadzie aparatu fotograficznego tak jak oczy człowieka. Że ma bardzo sprawny mózg, że siłą napędu strugowodnego potrafi wystrzelić w wodzie do tyłu z prędkością trzydziestu węzłów. Że wybuchowe harpuny rozrywają się w jej galaretowatym płaszczu nawet go nie naruszając. Że... ale oto uniosły się ku niemu wytrzeszczone czarno-białe tarcze oczu. Powierzchnia wody zadrżała. Teraz Bond zobaczył las macek, które wykwiwały z paszczy stworzenia. Wiły się przed oczyma jak kłębowisko grubych węzów. Bond dostrzegł pod spodem kropki ssawek. Za głową otwierała się łagodnie i zamykała duża płachta płaszcza, a dalej galaretowaty połysk tułowia ginął w otchłani. Boże, ten potwór jest co najmniej tak duży jak parowóz! Spokojnie, rozważnie Bond przełożył stopy, następnie ręce przez kwadraty w siatce, wplótł się w nią, tak do niej przywarł, że macki musiałyby go albo rozerwać na strzępy, albo zedrzyć wraz z nim całą drucianą barierę. Zerknął w prawo i lewo. Z każdej strony było dwadzieścia metrów wzdłuż siatki do lądu. Każdy zaś ruch, nawet gdyby Bond się nań zdobył, mógłby być śmiertelny w skutkach. Musi zachować całkowity spokój i się modlić, że potwór straci zainteresowanie. Bo jeżeli nie... Palce Bonda zacisnęły się na lichym nożu.

Oczy przyglądały mu się zimno, cierpliwie. Jedna z długich chwytliwych macek przebiła delikatnie powierzchnię niczym szperająca trąba słonia i wymacała sobie drogę do góry po drucie ku nodze Bonda. Dotknęła jego stopy. Bond poczuł twardy pocałunek ssawek.

Nawet nie drgnął. Nie śmiał rozluźnić uścisku rąk na siatce, żeby sięgnąć w dół. Ssawki łagodnie pociągnęły, badając ile im się podda. Za mało. Macka niczym wielka oślizgła gąsienica powędrowała z wolna w górę nogi. Dotarła do zakrwawionej, pokrytej bąblami rzepki kolanowej i tam przystanąła zaciekawiona. Bond zacisnął zęby z bólu. Już sobie wyobrażał impuls przekazany przez grubą mackę do mózgu: - Tak, to się nadaje do jedzenia! - A mózg odpowiada sygnałem: - To do roboty! Dawaj mi to! Ssawki powędrowały w górę uda. Czubek macki był spiczasty, dalej tak się rozszerzał, że pokrywał niemal całą szerokość uda Bonda, po czym zwęzał się w przegub. To był cel Bonda. Musi znieść strach i ból, i poczekać, aż przegub znajdzie się w jego zasięgu. Bryza, pierwsza łagodna bryza wczesnego poranka szemrała po metalowej powierzchni zatoczki. Poruszyła drobne fale, które trzepotały delikatnie o nagie ściany skały. Z guanery wzbil się pięćdziesiąt metrów nad zatoczką klucz kormoranów i klekocząc cicho ruszył w kierunku morza. Kiedy ptaki przeleciały, do uszu Bonda dotarł hałas, który je spłoszył - potrójny ryk syreny statku oznaczający, że statek jest gotów do załadunku. Dobiegł z lewej strony. Molo musi się znajdować tuż za rogiem północnej odnogi zatoczki. Wpłynął tankowiec z Antwerpii. Antwerpia! Część zewnętrznego świata - świata oddalonego o miliony mil, poza zasięgiem Bonda - zapewne na zawsze poza jego zasięgiem. Tuż za rogiem mężczyźni w kuchni okrętowej jedzą pewno śniadanie. Pewno też gra radio. Skwierczenie boczków i jaj, zapach kawy... szykuje się śniadanie. Ssawki dotarły do biodra. Bond mógł zajrzeć w rogowate kubki. Doleciał go zapach spokojnego morza, kiedy ręka z wolna zakolysała się do góry. Jak silna jest ta cętkowana szarobrazowa galareta za ręką? Czy powinien dźgnąć? Nie, to musi być jeden szybki, mocny cios na wylot, jakby przecinał linę. Nawet gdyby miał sobie sam drasnąć skórę.

Teraz! Bond spojrział szybko w dwoje futbolowych oczu, jakże cierpliwych, jakże obojętnych. Tymczasem druga chwytna ręka przebiła się przez powierzchnię i wyprysnęła wprost ku jego twarzy. Bond szarpnął się do tyłu, ręka zacisnęła się w pięść na drucie tuż pod jego nosem. Za sekundę podniesie się do jego ręki albo ramienia, i to już będzie koniec. Teraz!

Pierwsza ręka spoczęła na jego żebrach. Prawie nie celując Bond ciachnął nożem w dół i po przekątnej. Poczul, jak ostrze wdzierają się w budyniowe ciało, zraniona macka padając ze świstem do wody omal mu nie wyrwała noża z garści. Przez chwilę morze się wokół niego zagotowało. Teraz druga ręka puściła drut i pacnęła go w brzuch. Spiczasta ręka przywarła niczym pijawka, rażąc zapamiętała całą siłą ssawek. Bond krzyknął, kiedy ssawki wżarły mu się w ciało. Ciachnął na oślep, raz i drugi. Boże, ten potwór wyrzywa mu brzuch! Siatka aż się zatrzęsała od walki. Poniżej woda gotowała się i pieniała. Będzie się musiał poddać. Jeszcze jedno dźgnięcie, tym razem w grzbiet ręki. Udało się! Ręka oswobodziła się gwałtownym ruchem, ześlizgnęła w dół, pozostawiając na jego skórze dwadzieścia czerwonych krążków okolonych krwią.

Nie miał czasu się nimi przejmować. Teraz głowa kalamarnicy wychynęła na powierzchnię, a wielki falujący płaszcz bił morze wokół na pianę. Oczy, czerwone, zjadliwe, piorunowały go spojrzeniem, las ramion pokarmowych czepiał się jego nóg, odrywając strzępy materiału i mlóćąc wodę. Centymetr po centymetrze ramiona ściągały Bonda w dół. Siatka wrzynała mu się w pachy. Czuł dosłownie, jak mu się rozciąga kręgosłup. Gdyby nic nie robił, zostałby rozerwany na dwoje. Teraz oczy i wielki trójkątny dziób wysunęły się z wody, a dziób sięgał do jego stóp. Pozostała tylko jedna, jedyna nadzieja!

Bond wepchnął sobie nóż w zęby, sięgnął ręką po hak drucianego harpuna. Wyrwał go, złapał oburącz i jednym szarpnięciem niemalże rozprostował podwójny drut. Będzie się

musiał puścić jedną ręką, żeby się pochylić i dostać potwora. Jeżeli chybi, zostanie rozerwany przy tym płocie na strzępy.

Teraz, zanim skona z bólu! Teraz, teraz!

Pozwolił ciału ześlizgnąć się po drucianej drabinie i pchnął z całej mocy w dół.

Mignął mu czubek harpuna, który wbijał się w sam środek czarnej galki ocznej, po czym całe morze powstało ku niemu fontanną czerni. Bond upadł i zawisł do góry nogami na kolanach, z głową o kilka centymetrów nad powierzchnią wody.

Co się stało? Czyżby oślepl? Nic nie widział. Oczy go piekły, w ustach miał obrzydliwy rybi smak. Czuł jednak, że drut wrzyna mu się w ścięgna pod kolanami. Czyli żyje!

Nieprzytomnie wypuścił harpun z opuszczonej ręki, sięgnął do góry, wymacał najbliższy drut. Złapał, sięgnął drugą ręką i powoli, z bólem, podciągnął się do góry, tak że usiadł na płocie. Promyki światła wpadły mu do oczu. Przetarł twarz ręką. Teraz widział.

Obejrzał sobie rękę. Była czarna i lepka. Spojrzał na swoje ciało. Pokryte czarnym śluzem, czerń splamiała też morze w promieniu dwudziestu metrów. Wtedy Bond zrozumiał. Ranna kałamarnica wypuściła na niego zawartość swojego worka atramentowego.

Tylko gdzie ona teraz jest? Czy wróci? Bond przeczesał wzrokiem morze. Nic, nic tylko rozlewająca się czarna plama. Ani cienia ruchu. Ani jednej zmarszczki na wodzie. Na co czekasz? Zmykaj stąd! I to szybko! Rozejrzał się nerwowo w prawo i w lewo. Z lewej strony był statek, ale był też doktor No. Z prawej natomiast nie było nic. Żeby wznieść ten drucziany płot ludzie musieli nadejść z lewej, od strony mola. Czyli będzie tam jakaś ścieżka. Bond sięgnął po górny kabel i gorączkowo zaczął pelzać po chwiejnym płocie ku skalistemu cypłowi oddalonemu o dwadzieścia metrów.

Śmierdzący, okrwawiony, czarny strach na wróble pracował rękami i nogami niemal automatycznie. Mechanizm myślenia i czucia przestał należeć do ciała Bonda. Działał jak gdyby poza jego ciałem albo unosił się nad nim, zachowując przy tym wystarczającą łączność, żeby pociągać sznurkami, które wprawiały kukielkę w ruch. Bond przypominał teraz przeciętą na dwoje dżdżownicę, której obie połówki podrygują do przodu, chociaż życie już uszło, ustąpiło miejsca atrapie życia impulsów nerwowych. Tyle że w wypadku Bonda połówki nadal żyły. Po prostu życie trwało w zawieszeniu. Trzeba mu było jedynie krztyny nadziei, krztyny pokrzepienia, że nadal warto próbować walczyć o życie.

Dotarł do czoła skały. Powoli spuścił się do dolnego drutu siatki. Spojrzał mglistym wzrokiem na kołyszącą się łagodnie, lśniąca taflę wody. Była czarna, nieprzenikniona, głęboka jak wszędzie. Czy powinien ryzykować? Musi! Nic nie wskóra, dopóki nie zmyje z siebie tego krzepnącego śluzu i krwi, obrzydliwego smrodu zatechłej ryby. Markotnie, z ciężkim sercem zdarł z siebie strzępy koszuli i spodni, rozwiesił na drucie. Spojrzał na swoje brunatno-białe ciało, całe w pręgach, obsypane czerwonymi plamami. Instynkt kazał mu zmierzyć tętno. Wolne, ale regularne. Miarowe pulsowanie życia przywróciło mu hart ducha. Czym on się, do diabła, martwi? Przecież żyje. Rany i sińce na ciele to nic takiego - po prostu nic. Wyglądały okropnie, ale przynajmniej nie miał złamań. Pod tą podartą powłoką cała maszyna tykała spokojnie, jednostajnie. Powierzchowne draśnięcia i otarcia, koszmarnie wspomnienia, śmiertelne wyczerpanie - to obrażenia, które na urazówce by tylko wyśmiano. Dalej, draniu! Do roboty! Ogarniaj się trochę i obudź. Bądź wdzięczny losowi. Pomyśl o dziewczynie. Pomyśl o człowieku, którego musisz jakoś odnaleźć i zabić. Pilnuj życia tak jak pilnowałeś noża w zębach. Przestań się nad sobą użalać. Niech diabli porwą to, co się właśnie stało. Włóż do wody i się umyj! Po dziesięciu minutach Bond w mokrych szmatach oblepiających mu wymyte, piekące ciało, z włosami ulizanymi na głowie, wszedł na cypel.

Domysły go nie zawiodły. Wąski skalisty szlak udeptany przez robotników wiódł w dół na drugą stronę za róg wybrzuszenia skalnego.

Z niedaleka dolatywały go różne odgłosy i echa. Pracował dźwig. Bond słyszał modulowany warkot silnika. Wokół rozlegały się żelazne dźwięki statku i chlupot wody rozpryskiwanej do morza przez pompę zęzową.

Bond spojrział w niebo. Było bladoniebieskie. Chmury zabarwione złocistoróżowym kolorem odpływały ku horyzontowi. Wysoko nad jego głową kormorany zataczały koła wokół guanery. Wkrótce odlecą na żer. Może nawet teraz obserwowały grupy zwiadowców daleko w morzu, usiłując wytropić ławice ryb. Mniej więcej szósta nad ranem, świt pięknego dnia.

Znacząc drogę kroplami krwi, szedł ostrożnie ścieżką u podnóża ocienionej skały. Za zakrętem ścieżka wila się przez labirynt wielkich, przewróconych głazów. Hałasy się nasiliły. Bond podkradł się cicho naprzód, patrząc pod nogi na obłuzowane kamyki. Zaskakująco blisko rozległ się głos: - Można jechać? - I odpowiedź z daleka: - Można. - Silnik dźwigu przyspieszył obroty. Jeszcze kilka metrów. Jeszcze jeden głaz. I jeszcze jeden. Teraz!

Bond rozpląszczył się na skale i ostrożnie wysunął głowę za róg.

ROZDZIAŁ 19

ŚMIERTELNY PRYSZNIC

Bond obrzucił teren jednym długim, badawczym spojrzeniem, po czym się wycofał. Oparł się o chłodną ścianę skały i czekał, aż wróci mu normalny oddech. Podniósł nóg do oczu i dokładnie sprawdził ostrze. Zadowolony, wsunął go za pasek spodni w okolicy krzyża. Tam będzie pod ręką, a zarazem na nic się nie nadzieje. Przypomniała mu się zapalniczka. Wyjął ją z tylnej kieszeni. Mogłaby się przydać najwyżej jako kawałek metalu, bo już się więcej nie zapali, no i może zgrzytać o skałę. Odłożył ją na ziemię z daleka od nóg.

Następnie usiadł i skrupulatnie przyjrzał się fotografii, jaką zarejestrował w mózgu. Za rogiem, nie więcej niż dziesięć metrów od niego, stał dźwig. Kabina nie miała pleców. Przy pulpicie siedział mężczyzna. Był to szef Chinonegrów, kierowca łazika terenowego. Przed nim wcinało się w morze dwudziestometrowe molo zakończone w kształcie litery T. U jego szczytu stał przycumowany leciwy tankowiec, najpewniej dziesięcioletni. Wystawał sporo z wody, pokłady miał chyba ze cztery metry nad poziomem nadbrzeża. Tankowiec nosił nazwę "Blanche", a na rufie miał wypisane Ant od Antwerpia. Na pokładzie ani śladu życia, pominąwszy jedną postać opartą przy sterze na ogrodzonym mostku. Reszta załogi znajduje się zapewne pod pokładem, schowana przed proszkiem guano. Tuż na prawo od dźwigu ze skały wychodził napowietrzny pas transportowy w obudowie z blachy falistej. Podtrzymywały go wysokie wsporniki nad mołem, urywał się tuż przed tankowcem. Jego gardziel kończyła się wielkim brezentowym workiem, blisko dwa metry średnicy. Dźwig miał za zadanie podnosić obramowaną drutem gardziel worka, żeby wisiała dokładnie nad ładownią tankowca i jeździła w prawo i w lewo sypiąc równo towar. Z gardzieli worka jednym ciągłym strumieniem leciało z prędkością kilku ton na minutę sproszkowane guano koloru jajeczniczy wprost do ładowni tankowca.

Poniżej, na molo, na lewo, po zawietrznej od rozwiewanego dymu z proszku guano stała wysoka, czujna postać - doktor No.

To wszystko. Poranna bryza muskała głębinowy port, nadal na pół zasnuty cieniem wyniosłych skał, transporter dudnił cicho na rolkach, silnik dźwigu dyszał miarowo. Nie było żadnego innego dźwięku ani ruchu, żadnej żywej duszy poza wachtowym przy

sterze statku, najemnikiem pracującym przy dźwigu i doktorem No doglądającym, czy wszystko dobrze idzie. Po drugiej stronie góry zapewne pracują ludzie ładując guano na transporter, który z hurgotem przedziera się przez wnętrzości skały, ale na tę stronę nikogo nie wpuszczano, nikt zresztą nie był tu potrzebny. Poza nakierowywaniem brezentowej gardzieli transportera nic tu nie było dla nikogo do roboty.

Bond usiadł i pomyślał. Szacował odległości, odgadywał kąty, przypominał sobie dokładnie, gdzie spoczywają ręce i nogi maszynisty na drążkach i pedalach. Powoli nikły, zacięty uśmiech wypełził na tę wymizerowaną, ogorzałą od słońca twarz. Tak! Wszystko przed nim! Można tego dokonać. Ale powoli, łagodnie, delikatnie! Czekala za to niewiarygodnie miła sercu nagroda.

Bond obejrzał dokładnie ręce i podeszwy stóp. Wytrzymają. Będą musiały. Sięgnął za siebie i wymacał trzonek noża. Podniósł go o kilka centymetrów. Wstał, zaczerpnął kilka głębokich oddechów, przecesał dłońmi zlepione potem i solą włosy, przetarł szorstko twarz, po czym wytarł ręce o wyświechtane boki czarnych dżinsów. Zaciśnął po raz ostatni palce. Był gotów.

Wspiął się na skałę, obrzucił teren wzrokiem. Nic się nie zmieniło. Dobrze oszacował odległości. Maszynista dźwigu skupiony, zajęty. Szyja nad rozpiętą koszulą khaki świeciła nagością, kusila, czekała. Dwadzieścia metrów dalej doktor No, również odwrócony plecami do Bonda, sprawował wartę nad szeroką, imponującą zaporą białawożółtego proszku. Wachtowy na mostku zapalał papierosa.

Bond zlustrował wzrokiem dziesięć metrów ścieżki prowadzącej na tył dźwigu. Wybrał kolejne miejsca, na których postawi nogi. Po czym wychylił się zza skały i puścił się biegiem.

Dobiegł do prawego boku dźwigu, do uprzednio wybranego miejsca, gdzie bok kabiny zasłoni go od maszynisty i od mola. Dotarł tam i stanął, przykucnął, słuchał. Silnik pracował dalej, transporter wypływał miarowo z góry za jego plecami. Wszystko bez zmian.

Dwa żelazne stopnie z tyłu kabiny o kilka centymetrów od twarzy Bonda wyglądały solidnie. Tak czy owak huk silnika zagłuszy cichsze odgłosy. Trzeba jednak działać szybko, żeby rzucić ciało mężczyzny z siodełka i samemu umieścić ręce i nogi na dźwigniach kontrolnych. Jedno pchnięcie nożem musi zadać śmiertelny cios. Bond sięgnął do własnego obojczyka, wymacał miękki trójkąt na skórze, pod którym tętniła żyła szyjna, przypomniał sobie kąt doskoku zza pleców mężczyzny, odnotował w głowie, że musi z całej siły wrazić ostrze i je przytrzymać.

Ostatnia sekunda nasłuchu, po czym sięgnął za siebie po nóż, ze skrytością i zwinnością pantery wspiął się po żelaznych stopniach do kabiny.

W ostatniej chwili nie musiał się spieszyć. Stanął za plecami mężczyzny, wdychając jego zapach. Miał czas unieść rękojeść noża prawie pod dach kabiny, czas, żeby zebrać całą siłę, zanim pchnął ostrze w dół w kwadrat gładkiej, brązowawożółtej skóry.

Ręce i nogi mężczyzny odskoczyły od dźwigni. Twarz obróciła się ku Bondowi. Wydało mu się, że dojrzał błysk rozpoznania w wytrzeszczonych oczach, zanim wyszły na wierzch białka. Doszedł go zduszony dźwięk z otwartych ust tamtego, wielkie ciało stoczyło się na bok z żelaznego siodełka i runęło na podłogę.

Bond nawet nie odprowadził go wzrokiem na ziemię. Już siedział na siodełku, już sięgnął do pedalów i drążków. Wszystko wymknęło się spod kontroli. Silnik pracował na jałowym biegu, drucziana lina darła bęben, czubek dźwigu zginał się pomalą w dół niczym szyja żyrafy, brezentowa gardziel transportera zwisała bezwładnie, sypiąc teraz strumień proszku między molo a statek. Doktor No zadarł głowę do góry. Miał otwarte usta. Zapewne coś krzyczał.

Bond niewzruszenie okiełznał maszynę, powoli opuścił dźwigi i pedały pod tym samym kątem, pod jakim trzymał je maszynista. Silnik przyspieszył obroty, biegi zaskoczyły i znów zaczęły pracować. Lina na bębnie obrotowym zwolniła i cofnęła się, przesuając brezentową gardziel znów nad statek. Czubek dźwigu podniósł się i zatrzymał. Wszystko było jak przed chwilą. Teraz!

Sięgnął do żelaznej kierownicy, którą trzymał maszynista, kiedy Bond zobaczył go po raz pierwszy. W którą stronę ją obrócić? Spróbował w lewo. Czubek dźwigu wahał się nieznacznie na prawo. A więc tak. Bond pokręcił kierownicą w prawo. Tak, na Boga, reagowała, dźwig sunął po niebie, unosząc gardziel transportera.

Bond rzucił okiem na molo. Doktor No zmienił pozycję. Podeszedł kilka kroków do słupka, który Bond przeoczył. W rękę trzymał telefon. Porozumiewał się z drugą stroną gór. Bond widział, jak No wywija gorączkowo słuchawką, żeby zwrócić na siebie uwagę. Pokręcił kierownicą. Jezu, czy ona nie może się prędzej obracać? Za kilka sekund doktor No dostanie połączenie i będzie za późno. Pomału czubek dźwigu zakreślił łuk na niebie. Teraz gardziel transportera wypluwała strumień proszku przy boku statku. Żółta hałda zaczęła wędrować po molo. Pięć lat, cztery, trzy, dwa! Nie oglądaj się teraz, draniu! Ha, mam cię! Zatrzymać kierownicę! Teraz twoja kolej, doktorze No!

Przy pierwszym smagnięciu cuchnącego strumienia proszku doktor No się odwrócił. Bond zobaczył, że tamten rozpościera długie ręce, jakby chciał objąć spadającą z hukiem masę. Jedno kolano wznosił do biegu. Otworzył usta i Bonda doleciał zdławiony krzyk przebijający się przez warkot silnika. Po czym mignięcie jakby tańczącego bałwana ze śniegu. A potem już tylko kopiec żółtego łajna ptasiego, który rósł coraz to wyżej.

- Boże! - głos Bonda odbił się żelaznym echem o ściany kabiny. Bond pomyślał o krzyczących płucach zapychanych obrzydliwym proszkiem, o ciele uginającym się, a następnie padającym pod tym ciężarem, o ostatnim bezradnym szarpnięciu nóg, o ostatnim błysku myśli - złości, trwogi, porażki? - po czym zapadła cisza cuchnącego grobowca.

Teraz żółta hałda piętrzyła się już na sześć metrów. Proszek przesypywał się po bokach mola do morza. Bond zerknął na statek. W tej samej chwili rozległy się trzy gwizdki syreny. Hałas odbił się o skałę. Nastąpił czwarty gwizd, który nie ustawał. Bond widział, jak wachtowy trzyma się talrepu, wychyla z okna na mostku, spogląda w dół. Bond zdjął ręce z dźwigni i przestał się nimi zajmować. Czas uciekać.

Ześlizgnął się z żelaznego siodełka, pochylił nad martwym ciałem maszynisty. Wyjął z kabury rewolwer, obejrzał. Uśmiechnął się pośępnie - smith & wesson kaliber 0,38, typowy model. Wsunął go sobie za pas. Miło było poczuć dotyk ciężkiego, zimnego metalu na skórze. Podeszedł do drzwi kabiny i zeskoczył na ziemię.

Za dźwigiem w górę skały prowadziła żelazna drabina do miejsca, z którego wychodził pas transportera. W osłonie z blachy falistej znajdowały się małe drzwiczki. Bond wspiął się po drabinie. Drzwi otworzyły się łatwo, wypuszczając obłok proszku guano. Wdrapał się do środka.

Wewnątrz panował ogłuszający hurgot transportera na rolkach, ale u kamiennego sufitu tunelu paliły się przyćmione lampki kontrolne, a wzdłuż pędzącej rzeki proszku biegł wąski pomost ciągnący się w głąb góry. Bond szybko podążył tym pomostem, oddychając płytko, żeby jak najmniej czuć rybi amoniakowy zapach. Za wszelką cenę musi dotrzeć do końca, zanim znaczenie syreny statku i nie odbieranego telefonu weźmie górę nad strachem strażników.

Bond na wpół biegł, na wpół potykał się przez dudniący echem, cuchnący tunel. Jak to daleko? Dwieście metrów? I co dalej? Nie ma innego wyjścia, trzeba się przedostać na drugą stronę tunelu i zacząć strzelać - wywołać panikę i żywić nadzieję na zwycięstwo.

Złapie jednego z ludzi, wydusi z niego wiadomość, gdzie jest dziewczyna. A co potem? Kiedy dotrze na miejsce po drugiej stronie góry, co tam zastanie? Co z dziewczyny zostało?

Biegł coraz szybciej, ze spuszczoną głową, obserwując wąskie deski, rozważając, co by się stało, gdyby stracił równowagę i wpadł do rwącej rzeki proszku guano. Czy zdołałby zeskoczyć z pasa, czy ten porwałby go ze sobą, by wreszcie wypluć na kopiec pochówkowy doktora No?

Kiedy uderzył głową w miękki brzuch i poczuł czyjeś ręce na swoim gardle, było za późno, żeby myśleć o rewolwerze. Instynktownie rzucił się na ziemię pod nogi tamtej osoby. Podciął je własnym barkiem i tylko usłyszał przenikliwy krzyk, kiedy ciało runęło mu na plecy.

Próbował się dźwignąć, żeby zrzucić napastnika na bok, na pas transportera, kiedy rodzaj krzyku, lekkość i miękkość padającego ciała sparaliżowały mu mięśnie.

Nie do wiary!

Jak gdyby w odpowiedzi ostre zęby wpiły mu się głęboko w prawą łydkę, a łokieć dźgnął zapamiętałe, celnie w pachwinę.

Bond zawył z bólu. Usiłował wywinąć się na bok, żeby uniknąć ciosu, ale nawet, kiedy zawołał: - Honey! - łokieć znów go rąbnął w przyrodzenie.

Świst rozdzierającego bólu dobył się spomiędzy zębów Bonda. Był tylko jeden sposób, żeby ją powstrzymać nie rzucając jej na transporter. Złapał mocno za łydkę i dźwignął się na kolana. Stał na nogi, trzymając ją przewieszoną za jedną nogę przez ramię. Druga stopa kopała go w głowę, ale jakby bez przekonania, jakby i dziewczyna się zorientowała, że coś tu nie gra.

- Honey, przestań! To ja!

Mimo loskotu transportera krzyk Bonda wreszcie do niej dotarł. Bond usłyszał gdzieś znad podłogi okrzyk: - James! - Poczuł, jak jej ręce chwytają go za nogi.

- James, James!

Powoli opuścił ją na ziemię. Odwrócił się, ukląkł i wyciągnął do niej ręce. Objął ją, przytulił.

- Och, Honey, Honey. Nic ci nie jest?

Z rozpaczą, z niedowierzaniem przyciągnął ją do siebie.

- Nic, James! Nic! - Poczuł jej ręce na swoich plecach i we włosach. - Och, James, kochany! - Upadła na niego zanosząc się szlochem.

- Już dobrze, Honey. - Bond przyglądał sobie włosy. - A, doktor No nie żyje. Ale teraz musimy brać nogi za pas. Musimy stąd uciec. Chodź! Jak się wydostać z tunelu? Jak się tu sama dostałaś? Musimy się spieszyć!

Jakby w charakterze komentarza transporter szarpnął i stanął.

Bond poderwał dziewczynę na nogi. Miała na sobie brudny niebieski kombinezon roboczy. Rękawy i nogawki podwinięte. Kombinezon był sporo na nią za duży.

Wyglądała jak dziewczyna w męskiej piżamie. Cała była obsypana na biało proszkiem guano poza śladami po łzach na policzkach. Powiedziała bez tchu:

- To tu zaraz! Jest tu boczny tunel, który prowadzi do warsztatów i do garażu. Czy oni będą nas ścigać?

Nie było czasu na rozmowy. Bond tylko rzucił: - Biegnij za mną! - i puścił się pędem. Za nim w głuchej ciszy szurały cicho jej nogi. Dobiegli do rozwidlenia, gdzie boczny tunel prowadził do wyjścia z góry. Którędy ktoś nadbiegnie? Czy bocznym tunelem, czy wąskim pomostem w głównym tunelu? Odpowiedział mu dźwięk głosów dudniących z oddali w bocznym tunelu. Bond pociągnął dziewczynę za sobą kilka kroków głównym tunelem. Przytulił ją blisko do siebie i szepnął:

- Przykro mi, Honey. Niestety, będę ich musiał zabić.

- Oczywiście.

Jej szept w odpowiedzi był opanowany. Ścisnęła Bonda za rękę i odstąpiła krok do tyłu, żeby mu zrobić miejsce. Zatkąła sobie dłońmi uszy.

Bond wyciągnął zza pasa broń. Cicho obrócił bęben i sprawdził kciukiem, czy wszystkie sześć komór jest naładowanych. Wiedział, że nie ma ochoty zabijać tak z zimną krwią, ale ci mężczyźni to na pewno Chinonegrzy, bandyci, muskularni strażnicy, którzy odwalają brudną robotę. Z pewnością wielokrotni mordercy. Może nawet ci sami, którzy zabili Strangwaysa i tamtą dziewczynę. Zresztą nie ma co teraz uspokajać sumienie. Albo zada śmierć, albo sam ją poniesie. Musi to po prostu zrobić sprawnie. Głosy się zbliżały. Nadchodziło trzech mężczyzn. Rozmawiali głośno, nerwowo. Może przez wiele lat nie przyszło im nawet do głowy zapuszczać się w ten tunel. Bond zastanawiał się, czy się rozejrzą, kiedy wejdą do głównego tunelu. Czy też będzie musiał strzelać w plecy?

Byli już bardzo blisko. Słyszał szurgot ich butów na ziemi.

- Czyli razem będziesz mi winien dziesięć dolców, Sam.

- O, na pewno nie po dzisiejszym wieczorze. Rzucamy kości, chłopie. Rzucamy kości.

- Ja tam dziś nie gram, stary. Strzelę sobie numerek z tą białą cizią.

- Cha, cha, cha.

Wszedł pierwszy mężczyzna, po nim drugi, po nim trzeci. Wszyscy w prawych rękach trzymali niedbale rewolwery.

- Nic z tego - rzucił ostro Bond.

Trzej mężczyźni okręcili się na piętach. W rozdziawionych gębach błysnęły białe zęby. Bond strzelił ostatniemu w głowę, drugiemu w brzuch. Broń faceta z przodu była uniesiona. Kula świsnęła obok Bonda i odbiła się w głównym tunelu. Huknął rewolwer Bonda. Mężczyzna chwycił się za szyję, okręcił wolno dokoła i padł na pas transportera. Echo strzałów zadudniło o sufit i o podłogę tunelu. Wzbił się w powietrze obłok drobnego pyłu, po czym opadł. Dwa ciała leżały nieruchomo. Mężczyzna z postrzelonym brzuchem wił się w konwulsjach.

Bond zatknął sobie gorący rewolwer za pas. Odezwał się szorstko do dziewczyny: -

Chodźmy. - Sięgnął po jej rękę, pociągnął ją za sobą do wlotu bocznego tunelu. Dorzucił jeszcze: - Przykro mi, Honey - i zaczął biec, ciągnąc ją za sobą.

- Nie wygłupiaj się - odparła.

Po czym ustały wszelkie odgłosy poza tupotem ich bosych stóp na kamiennej posadzce.

Powietrze w bocznym tunelu było czyste, łatwiej im się biegło, ale po napięciu spowodowanym strzelaniną ból znów się wzmógł i owładnął ciałem Bonda. Biegł automatycznie. Prawie nie myślał o dziewczynie. Całym ciałem skoncentrował się na wytrzymaniu bólu i na problemach, jakie czekały przy końcu tunelu.

Nie wiedział, czy ktokolwiek usłyszał strzały ani jacy przeciwnicy mu jeszcze zostali. Miał tylko jeden plan - strzelać do każdego, kto wejdzie mu w drogę oraz dostać się do garażu i do łazika. To ich jedyna nadzieja, żeby uciec z dala od tej góry na wybrzeże. Przyćmione żółte żarówki na suficie jarzyły się nad głowami. Tunel ciągnął się dalej. Biegająca za nim Honey potknęła się. Bond stanął przeklinając się w duchu za to, że o niej nie pomyślał. Wyciągnęła rękę i oparła się o niego zdyszana.

- Przepraszam, James. Tylko jestem...

Bond przytulił ją do siebie. Spytał z troską w głosie:

- Jesteś ranna, Honey?

- Nie, nic mi nie jest. Tylko jestem tak straszliwie zmęczona. Pokaleczyłam sobie nogi na tej górce. Często upadałam w tych ciemnościach. Gdybyśmy tak mogli choć kawałek nie biec. Jesteśmy już prawie na miejscu. A przed wejściem do warsztatu są drzwi do garażu. Może byśmy tam weszli?

Bond przycisnął ją do siebie.

- Właśnie o to mi chodziło, Honey. To nasza jedyna nadzieja ucieczki. Jeżeli wytrzymasz, aż tam dotrzemy, mamy spore szanse.

Objął ją w pasie i przejął jej ciężar na siebie. Nie ufał sobie na tyle, żeby obejrzeć jej stopy. Wiedział, że muszą być w oplakanym stanie. Nie ma co się teraz roztkliwiać nad sobą nawzajem. Jeżeli chcą pozostać przy życiu, nie ma na to czasu.

Znowu ruszyli. Twarz Bonda wykrzywiona od dodatkowego wysiłku, nogi dziewczyny zostawiały krwawe ślady na ziemi. Zaraz szepnęła mu coś żarliwie. W ścianie tunelu były drewniane drzwi, lekko uchylone, nie dobiegały zza nich żadne dźwięki.

Bond wyjął rewolwer i delikatnie pchnął drzwi na oścież. Długi garaż był pusty. W neonowym świetle złoto-czarny smok na kołach wyglądał jak pojazd-platforma gotowy na paradę burmistrza. Stał przodem do rozsuwanych drzwi, właz do opancerzonej kabiny miał otwarty. Bond modlił się, żeby bak był pełen, no i żeby mechanik wykonał rozkaz naprawienia szkód.

Naraz, gdzieś z zewnątrz, dobiegły ich głosy. Zbliżały się, należały do kilku osób rozprawiających z ożywieniem.

Bond chwycił dziewczynę za rękę i skoczył naprzód. Mieli tylko jedną kryjówkę - łazik. Dziewczyna wgramoliła się do środka. Bond za nią, cichutko zamykając za sobą drzwiczki. Przykucnęli w oczekiwaniu. Bond pomyślał: w magazynku zostały tylko trzy naboje. Za późno przypomniał sobie o stojaku z bronią na ścianie garażu. Teraz głosy były już na zewnątrz. Łoskot drzwi zamykanych za wchodzącymi i mętlik rozmowy.

- Skąd wiesz, że strzelali?

- To nie mogło być nic innego. Już ja się znam.

- Weźmy lepiej karabiny. Masz, Joe! I ty też, Lemmy! No i kilka granatów. Pudło jest pod stołem.

Rozległ się metaliczny szczęk zasuwanych zamków, trzask bezpieczników.

- Pewno jakiemuś facjowi odbiło. Ale chyba nie temu Angolowi.

A widziałeś to ścierwo w zatoczce? Chryste Panie! No i te inne sztuczki, jakie doktorzek mu wyszykował w rurze? A ta biała dziewczyna rano musiała być nie do życia. Zaglądał dziś do niej który?

- Ja nie.

- Nie.

- Nie.

- He, he. Zdziwiacie mnie, chłopaki. Przecież to taki kawał dupy na wybiegu dla krabów.

Znów brzęk, szurgot nóg o podłogę, po czym:

- Dobra, idziemy! Dwójkami, aż dojdziemy do głównego tunelu.

Strzelać pod nogi. Ktokolwiek wyprawia tu hocki-klocki, doktorzek na pewno go weźmie w obroty.

- Aha.

Tupot nóg po betonie odbił się głuchym echem. Bond wstrzymał oddech, kiedy tamci przechodzili dwurzędem obok. Czy zauważą zamknięte drzwi łazika? Ale mężczyźni wyszli z garażu do tunelu, ich hałasy z wolna ucichły.

Bond dotknął ręki dziewczyny, przyłożył palec do ust. Cichutko uchylił drzwi, nasłuchiwał. Nic. Zeskoczył na ziemię, obszedł łazik, zbliżył się do na wpół otwartego wejścia. Ostrożnie wysunął głowę. Nikogo w zasięgu wzroku. W powietrzu unosił się zapach smażonej ryby, aż Bondowi ślina napłynęła do ust. Z najbliższego budynku, oddalonego o jakieś dwadzieścia metrów, dobiegał brzęk naczyń i garnków, a z jednego z dalej stojących blaszaków dolatywał dźwięk gitary i męski głos śpiewający calypso. Psy

zaczęły ujadać bez większego przekonania, po czym umilkły. Rozpoznał doberman-pinczery.

Bond odwrócił się i skoczył w drugi koniec garażu. Żadnych odgłosów z tunelu. Cicho zamknął i zaryglował te drzwi. Podeszedł do stojaka z bronią na ścianie, wybrał kolejnego smith & wessona i karabinek remingtona. Sprawdził, czy są nabite, podeszedł do drzwi łazika i wręczył broń dziewczynie. Teraz drzwi wejściowe. Napał na nie ramieniem i delikatnie rozsunał na oścież. Blacha falista brzęknęła glucho. Bond podbiegł z powrotem, wdrapał się przez otwarty właz na miejsce kierowcy.

- Zamknij, Honey - szepnął ponagłając, nachylił się i przekręcił kluczyk w stacyjce. Wskaźnik paliwa skoczył na "pelen bak". Boże, spraw, żeby to draństwo szybko ruszyło. Niektóre diesle są wolne. Bond nadepnął rozrusznik.

Hurgot był wprost ogłuszający. Pewno go słycać na całym terenie! Bond przestał i spróbował jeszcze raz. Silnik warknął i zgasł. I jeszcze raz. Tym razem kochana maszyna zapaliła; kiedy Bond ją grzał, wstrząsały nią silne żelazne wibracje. A teraz delikatnie bieg. Tylko który? Spróbuj ten. Dobrze, zaskoczył. Noga z gazu, ty idioto! Jezu, omal się nie udławił. Ale teraz byli już na zewnątrz, na tarasie, Bond nacisnął gaz do dechy.

- Ktoś nas ściga? - Bond musiał przekrzykiwać loskot diesla.

- Nie. Czekaj! Tak, jakiś człowiek wyszedł z baraków! I drugi!

Machają do nas i coś krzyczą. Wybiegają dalsi. Jeden pobiegł na prawo. Inny wpadł z powrotem do baraku. Wraca z karabinem. Kładzie się. Strzela!

- Zamknij okienko! Połóż się na podłodze!

Bond zerknął na szybkościomierz. Trzydzieści. A zjeżdżali ze zbocza. Więcej nie dało się z tej maszyny wycisnąć. Skupił się na tym, żeby utrzymać wielkie koła na trakcie.

Kabina podskakiwała i huśtała na resorach. Z nie lada wysiłkiem utrzymywał ręce i nogi na dźwigniach. Żelazna pięść brzdęknęła o kabinę. I kolejna. Jaka to odległość?

Czteryście? Niezły strzał! Ale to chyba koniec.

- Spójrzyj, Honey - krzyknął. - Uchyl trochę okienko.

- Mężczyzna wstał. Przestał strzelać. Wszyscy patrzą za nami, cały tłum. Czekaj, jeszcze coś. Biegną psy! Nikogo z nimi nie ma. Pędzą za nami jak szalone. Dogonią nas?

- To już nie ma znaczenia. Chodź, usiądź przy mnie, Honey. Trzymaj się mocno. I uważaj na głowę. - Bond poluzował nieco przepustnicę. Dziewczyna siedziała koło niego. Uśmiechnął się do niej kącikiem ust. - Do diabła, Honey. Udało się. Kiedy dojedziemy do jeziora, zatrzymam się i zastrzelę psy. Jeżeli się znam na tych bestiach, wystarczy zabić jednego, a wtedy całe stado przystanie, żeby go pożreć.

Bond poczuł jej rękę na swojej szyi. Trzymała ją tak, kiedy teleпали się i podskakiwali na trasie. Dotarli do jeziora, Bond wjechał pięćdziesiąt metrów do wody, zawrócił maszynę, wrzucił jałowy bieg. Przez podłużne okienko widział stado wysypujące się zza ostatniego zakrętu. Sięgnął po karabin, wysunął go przez szczelinę. Teraz psy płynęły w wodzie.

Bond trzymał palec na cynglu i siał kulami w ich środek. Jeden znurkował machając w powietrzu nogami. Po nim następny i jeszcze następny. Bond słyszał ich jazgotliwe wycie ponad warkotem silnika. Woda zaróżowiła się od krwi. Walka się rozpoczęła. Zobaczył, jak jeden z psów skacze na drugiego, rannego, zatapia zęby w jego karku. Teraz wszystkie jakby oszalały. Kotłowały się w spienionej, krwawej wodzie. Bond wypróżnił na nie magazynek i rzucił karabin na podłogę. Powiedział: - To by było wszystko, Honey - wrzucił bieg, zawrócił i zaczął wolno sunąć przez płytkie jezioro ku odległej przecince wśród mangrowców, czyli ku ujściu rzeki.

Pięć minut jechali w milczeniu. Wreszcie Bond położył rękę na kolanie dziewczyny i powiedział:

- Już chyba wszystko będzie dobrze, Honey. Kiedy się zorientują, że szef nie żyje, wybuchnie panika. Pewno co bystrzejsi będą się starali zbiec samolotem albo motorówką na Kubę. Zaczną się martwić o własną skórę, a nie o nas. Mimo wszystko nie wsiądziemy do czołna, dopóki się nie ściemni. Chyba jest teraz dziesiąta. Za godzinę powinniśmy dotrzeć na brzeg. Tam odpoczniemy i przygotujemy się do podróży. Pogoda nieźle się zapowiada, w nocy wyjdzie pełniejszy księżyc. Dasz radę?

Ścisnęła go za szyję.

- Pewno, że dam, James. A ty? Twoje biedne ciało! Same sińce i oparzenia. I co to są te czerwone plamy na brzuchu?

- Później ci opowiem. Nic mi nie będzie. Ale ty mi musisz powiedzieć, co się z tobą działo w nocy. Jak, do diabła, udało ci się uciec od tych krabów? Gdzie nie wypalił plan tego lotra? Przez całą noc myślałem tylko o tym, jak one cię tam pożerają żywcem. Boże, co za szatański pomysł! No więc jak to było?

Dziewczyna roześmiała się serdecznie. Bond zerknął w bok. Złote włosy zmierzwiłone, niebieskie oczy podpuchnięte od braku snu, ale poza tym wyglądała, jak gdyby wracała do domu z nocnego pieczenia kielbasek na rożnie.

- Ten człowiek myślał, że pojadł wszystkie rozumy. Stary dureń. - Zupełnie jak gdyby mówiła o głupim nauczycielu. - Czarne kraby robią na nim większe wrażenie niż na mnie. Przede wszystkim nie przeszkadza mi dotyk żadnych stworzeń, a poza tym te kraby ani myślą skubać kogokolwiek, jeżeli ten ktoś się nie rusza i nie ma otwartej rany. Rzecz w tym, że one właściwie nie lubią mięsa. Żywią się głównie roślinami. Jeżeli mówię prawdę i rzeczywiście w ten sposób zabił tamtą czarną dziewczynę, to albo musiała mieć otwartą ranę, albo umarła ze strachu. Pewno chciał się przekonać, czy ja to wytrzymam. Obrzydliwy staruch. A ja zemdlalam wtedy przy obiedzie, bo wiedziałam, że tobie szykuje coś znacznie gorszego.

- Niech mnie diabli. Szkoda, na Boga, że nie wiedziałem tego wcześniej. Myślałem, że zjadają cię tam po kawałku.

Dziewczyna prychnęła.

- Oczywiście, wcale nie było mi przyjemnie, kiedy mnie rozebrano do naga i przywiązano do kołków w ziemi. Ale ci czarni mężczyźni nie śmieli mnie tknąć. Pożartowali tylko i sobie poszli. Nie było mi tam wygodnie na skale, ale myślałam o tobie i o tym, jak dopaść doktora No i go zabić. Wtedy usłyszałam, że nadbiegają kraby w swej wędrówce - bo tak się o nich mówi na Jamajce - wkrótce całe ich setki pędziły z chrzęstem. A ja tylko leżałam spokojnie i myślałam o tobie. Łaziły wokół mnie i po mnie. Dla nich mogłabym być równie dobrze skalą. Trochę mnie laskotały. Jeden nawet był bardziej dokuczliwy, bo usiłował mi wyrwać włosy. Ale one wcale nie śmierdzą ani nic takiego, czekałam więc tylko na świt, bo wtedy zaszywają się z powrotem w swoich jamach i idą spać. Nawet je polubiłam. Dotrzymywały mi towarzystwa. Potem robiło ich się coraz mniej, aż wreszcie znikły, mogłam się więc poruszyć. Szarpałam kolejno wszystkie kołki, po czym skoncentrowałam się na tym po prawej ręce. W końcu wyrwałam go ze szczeliny w skale, reszta poszła już łatwo. Wróciłam do budynków, zaczęłam myszkować. Dotarłam do warsztatu przy garażu. Znalazłam ten obrzydliwy stary kombinezon. Wtedy w pobliżu ruszył transporter. Domyśliłam się, że przewozi guano na drugą stronę góry. Byłam pewna, że już nie żyjesz - cichy głos zabrzmiał bardzo rzeczowo - pomyślałam więc sobie, że dostanę się jakoś do tego transportera, przejadę na drugą stronę góry i zabiję doktora No. Zabrałam w tym celu śrubokręt. - Zachichotała. - Kiedy wpadliśmy na siebie, wbiłabym go w ciebie, ale miałam go w kieszeni i nie zdążyłam po niego sięgnąć. Znalazłam drzwi na zapleczu warsztatu, tamtędy przeszłam do głównego tunelu. I to wszystko. - Pieściła tył jego szyi. - Biegłam patrząc pod nogi i zanim się zorientowałam, rąbnąłeś mnie głową w brzuch. - Znowu

zachichotała. - Kochany, mam nadzieję, że z nadto cię w tej szamotaninie nie skrzywdziłam. Niania mnie nauczyła, żeby zawsze tam walić mężczyzn.

Bond się roześmiał.

- Ach tak, niania cię nauczyła?

Sięgnął, złapał ją za włosy, przyciągnął jej twarz do swojej. Jej usta musnęły jego policzki i przywarły do ust.

Pojazd zatoczył się w bok. Koniec pocałunku. Uderzyli w korzenie pierwszego mangrowca przy ujściu rzeki.

ROZDZIAŁ 20 CZAS ZAPŁATY

- Jest pan najzupelniej pewien?

Zastępca gubernatora patrzył na niego z trwogą i niedowierzaniem. Jak coś takiego mogło się dzieć pod jego nosem, na terenie podległym Jamajce? Co na to powie Ministerstwo do Spraw Kolonii? Już miał przed oczyma długą, bladoniebieską kopertę z nadrukiem: "Poufne. Do rąk własnych", a w niej arkusz papieru kancelaryjnego z charakterystycznymi, szerokimi marginesami: "sekretarz stanu do spraw kolonii polecił mi, abym wyraził jego zdziwienie..."

- Owszem. Najzupelniej.

Bond nie żywił sympatii do tego człowieka. Nie podobało mu się przyjęcie, jakie mu zgotował podczas ostatniej wizyty w King's House, ani złośliwe uwagi na temat Strangwaysa i dziewczyny. Jeszcze bardziej go brzydziło to wspomnienie teraz, kiedy wiedział, że jego kolega i dziewczyna spoczywają na dnie zbiornika Mona.

- Hm., musimy zapobiec, żeby cokolwiek na temat tej sprawy dostało się do gazet. Pan mnie rozumie? Wyślę następną pocztą dyplomatyczną raport do sekretarza stanu. Z pewnością mogę polegać na pańskiej...

- Pan wybaczy. - Głównym dowódcą Karaibskich Sił Obrony był brygadier, nowoczesny, młody, trzydziestopięcioletni oficer. Mógł się poszczycić na tyle błyskotliwą karierą wojskową, że nie imponowały mu zbytnio relikty ery edwardiańskiej pośród kolonialnych gubernatorów, których określał jednym wspólnym mianem: "picusie-glancusie w kapeluszach z piórkami". - Możemy chyba założyć, że kapitan Bond raczej nie będzie się kontaktował z nikim poza swoim wydziałem. I jeżeli wolno mi coś zasugerować, wnoszę, żebyśmy podjęli kroki, aby oczyścić Crab Key, nie czekając na zgodę z Londynu. Mogę wystawić pluton gotów ruszyć do akcji jeszcze dziś wieczór. JKM "Narvik" wczoraj wpłynął do portu. Gdyby tak można przesunąć o czterdzieści osiem godzin program przyjęć i koktajli na cześć jego przyjazdu... - Brygadier pozwolił, żeby jego sarkazm zawisł w powietrzu.

- Zgadza się z panem brygadierem, panie gubernatorze. - W głosie nadinspektora policji wyraźnie przebijało zdenerwowanie. Szybka akcja mogłaby mu oszczędzić reprimendy, ale musiałaby być naprawdę szybka. - Tak czy owak, będę musiał natychmiast wszcząć postępowanie przeciwko różnym Jamajczykom, którzy są w to najwyraźniej zamieszani. Będę się musiał zająć nurkami pracującymi w Mona. Jeżeli mamy wyjaśnić tę sprawę, nie możemy sobie pozwolić na to, żeby czekać na Londyn. Wedle tego, co mówi pan... hm... kapitan Bond, większość tych czarnych bandytów jest już przypuszczalnie na Kubie. Muszę się skontaktować ze swoim odpowiednikiem w Hawanie i tam ich złapać, zanim schronią się w górach albo zejną do podziemia.

Uważam, że powinniśmy działać bezzwłocznie.

W chłodnym, ocienionym pokoju, w którym odbywało się spotkanie, zapadła cisza. Na suficie nad masywnym mahoniowym stołem konferencyjnym pojawiła się

nieoczekiwanie plama słońca. Bond się domyślił, że prześwieca przez listewki żaluzji, pewnie od fontanny albo od stawu z liliami w ogrodzie za wysokimi oknami. Z oddali dobiegał dźwięk odbijanych piłek tenisowych. Rozległ się daleki dziewczęcy głos: - Pięknie. Twój serw, Gladys. - Dzieci gubernatora? Sekretarki? Z jednego końca pokoju król Jerzy VI, z drugiego królowa spojerali łaskawie i dobrotliwie na stół.

- Co pan na to, panie sekretarzu? - głos gubernatora naglił.

Bond wysłuchał pierwszych kilku słów. Zrozumiał, że Pleydell-Smith zgadza się z dwoma pozostałymi panami. Przestał więc słuchać. Błądzącą myślą ogarnął świat kortów tenisowych, stawy z liliami, królów i królowe, Londyn, ludzi pstrykających sobie zdjęcia z gołębiami na głowach na Trafalgar Square, forsycje, które wkrótce opromienia runda na skrzyżowaniach, maj, nieocenioną gospodynię w jego mieszkaniu opodal King's Road, poranne wstawania, żeby sobie zaparzyć filiżankę herbaty (tutaj była jedenasta, czyli szósta rano w Londynie), pierwsze pociągi metra ruszające w miasto, od których drżała ziemia pod jego chłodną, ciemną sypialnią. Łagodny klimat Anglii: miękkie wiatry, fale "upału", ataki chłodu - "Jedyny kraj, w którym każdego dnia w roku można się wybrać na spacer" - z listów Chesterfielda? Następnie pomyślał o Crab Key, o zrywającym się ohydny, gorącym wietrze, o smrodzie błotnistych oparów z bagien mangrowców, o strzępiastych szarościach, o martwych koralach, w których zakamarkach przycupnęły teraz czarne kraby, ich czarno-czerwone oczka ruszają się szybko na szypułkach, kiedy jakiś cień - chmura, ptak - przerwie ich wąski horyzont. Dalej, w ptasiej kolonii, brązowe, białe i różowe ptaki brodzą zapewne na płycznach, walczą albo zakładają gniazda, tymczasem wyżej, na guanera, kormorany wracają hurmą ze śniadania, żeby złożyć swój miligramowy czynsz gospodarzowi, który go już nigdy nie odbierze. A gdzie się ten gospodarz teraz podziewa? Najprawdopodobniej odkopali go ludzie z S/S "Blanche". Obejrzeni ciało szukając oznak życia, po czym gdzieś złożyli. Czy obmyli go z żółtego proszku i ubrali w kimono, gdy kapitan łączył się drogą radiową z Antwerpią w oczekiwaniu na instrukcje? I dokąd uleciała dusza doktora No? Czy była to zła dusza, czy tylko szalona? Bond pomyślał o spalonym kłębku na moczarach, który niegdyś był Quarrelem. Przypomniał sobie delikatne obejście tego osiłka, niewinność w tych szarych, szukających horyzontu oczach, proste pragnienia i przyjemności, szacunek dla przesądów i instynktów, dziecinne błędy, lojalność, a nawet miłość, jaką Quarrel go darzył - ciepło, bo tylko tak to można nazwać, bijące od tego człowieka. Z pewnością nie mógł trafić tam, gdzie doktor No. Cokolwiek się dzieje z nieboszczykami, musi być jedno miejsce dla ludzi ciepłych, a inne dla zimnych. Dokąd zatem, gdy nadejdzie pora, uda się on, Bond?

Sekretarz kolonii wymienił nazwisko Bonda. Bond się ocknął.

- ... że przeżył, jest dość wyjątkowy. Uważam, panie gubernatorze, że powinniśmy okazać wdzięczność kapitanowi Bondowi i jego wywiadowi, przyjmując jego sugestie. Wygląda na to, że wykonał przynajmniej trzy czwarte pracy. Możemy więc chociaż ze swej strony zająć się tą pozostałą ćwiertcią.

Gubernator chrząknął. Spojrzał przez stół na Bonda. Gość najwyraźniej nie zwracał na nich uwagi. Ale z tymi ludźmi z tajnego wywiadu nigdy nic nie wiadomo. Niebezpiecznie mieć ich przy sobie, wszędzie węszą i myszkują. A ten cholerny szef ma spore chody w rządzie. Nie warto z nim zadzierać. Coś trzeba, oczywiście, powiedzieć o wysłaniu "Narviku". Wieść się zaraz, rzecz jasna, rozniesie. Cała światowa prasa zwali mu się na głowę. I wtedy gubernator zobaczył w myślach nagłówki: "GUBERNATOR PODEJMUJE NATYCHMIASTOWE KROKI... INTERWENCJA SILNEGO OJCA WYSPIY... MARYNARKA WOJENNA W AKCJI!". Może w końcu tak będzie lepiej. Wypada się nawet pofatygować i samemu wyprawić wojsko. Tak, na miły Bóg, tak będzie najlepiej. Cargill z "Gleanera" ma być u niego na obiedzie. Szepnie temu

gościowi słówko albo dwa, żeby cała historia dostała należyte nagłośnienie. Tak będzie najlepiej. Tak teraz należy rozegrać to rozdanie.

Gubernator uniósł ręce i pozwolił im opaść płasko na stół w geście poddania się. Na jego twarzy ukazał się wymuszony uśmiech kapitulacji.

- Czyli przegłosowali mnie panowie. No cóż - pobłażliwy głos, który powiada dzieciom, że wyjątkowo ten jeden raz... - przyjmuję werdykt panów. Panie sekretarzu, proszę wezwać dowódcę JKM "Narvik" i wyjaśnić naszą sytuację. Ma się rozumieć, w trybie ściśle tajnym. Panie brygadierze, pozostawiam decyzje wojskowe w pańskich rękach. Panie nadinspektorze, pan już będzie wiedział, co robić. - Gubernator wstał. Skłonił w królewskim geście głowę przed Bondem. - Pozostaje mi wyrazić jedynie uznanie panu, kapitanie... e... Bond za pański udział w rzeczonyj sprawie. Nie omieszkam wspomnieć o pańskiej pomocy sekretarzowi stanu.

Na dworze słońce prażyło zwirowany podjazd. Wnętrze hillmana minxa przypominało łaźnię turecką. Poranione ręce Bonda aż dostały skurczu, kiedy dotknęły kierownicy. Pleydell-Smith wychylił się z okna.

- Słyszał pan kiedyś wyrażenie z Jamajki "szpula"?

- Nie.

- "Szpula, człowieku" to wulgarny zwrot oznaczający... no... "wypchaj się". Jeżeli wolno mi się wtrącić, mógł go pan teraz użyć. Ale tak poważnie - Pleydell-Smith machnął ręką, żeby przeprosić Bonda za swojego szefa, a zarazem zbyć go w ten sposób - czy mógłbym coś jeszcze dla pana zrobić? Naprawdę chce pan wracać do Beau Desert? W szpitalu oświadczone bardzo stanowczo, że powinien pan tam zostać przez tydzień.

- Dziękuję - powiedział krótko Bond - ale muszę wracać. Sprawdzić, czy dziewczynie nic nie jest. Proszę powiedzieć w szpitalu, że jutro się tam stawię. Wysłał pan depeszę szyfrową do mojego szefa?

- W trybie natychmiastowym.

- Skoro tak - Bond nacisnął rozrusznik - to chyba wszystko. Skontaktuje się pan z ludźmi z Instytutu Jamajki w sprawie dziewczyny? Ona naprawdę cholernie dużo wie na temat naturalnej historii wyspy, i to nie z książek. Jeżeli mają dla niej odpowiednią pracę... Chciałbym ją jakoś urządzić. Sam ją zabiorę do Nowego Jorku i dopilnuję operacji. Po kilku tygodniach będzie już mogła podjąć pracę. Tak nawiasem mówiąc - na jego twarzy odmalowało się zakłopotanie - to wspaniała dziewczyna. Kiedy wróci... gdyby tak pan i pańska żona... Pan rozumie... Żeby ktoś nad nią czuwał.

Pleydell-Smith się uśmiechnął. Chyba pojął, w czym rzecz.

- Niech się pan nie martwi. Zajmę się nią. Betty jest w takich sprawach niezastąpiona. Chętnie weźmie dziewczynę pod swoje skrzydła. Nic więcej? W takim razie do zobaczenia za tydzień. Ten szpital to istne piekło w tym upale. Mógłby pan spędzić wieczór albo dwa u nas, zanim pan wyjedzie do do - ... to znaczy do Nowego Jorku. Chętnie się zobaczymy... z obojgiem państwa.

- Dziękuję. I dziękuję za wszystko inne.

Bond wrzucił bieg i ruszył aleją rozbuchanych tropikalnych krzewów. Jechał szybko, przyskając zwirowem na zakrętach. Chciał się znaleźć jak najdalej od King's House, od tenisa, od królów i królowych. Również jak najdalej od uprzejmego Pleydella-Smitha. Facet przypadł mu do gustu, ale teraz marzył tylko o tym, żeby wrócić Junction Road do Beau Desert, z dala od tego ulizanego świata. Przemknął obok posterunku przy bramie, wyjechał na szosę. Nacisnął gaz do dechy.

Nocny rejs pod gwiazdami obył się bez przygód. Nikt ich nie ścigał. Przez większość czasu dziewczyna prowadziła łódź. Bond nawet się z nią nie sprzeczał. Leżał na dnies łodzi, wyczerpany do cna, zupełnie jak trup. Obudził się raz czy drugi, słuchał chlupotu

morza ó burtę, obserwował łagodny profil dziewczyny pod gwiazdami. Po czym delikatne kołysanie fal znów go usypiało i przychodziły koszmary, które ścigały go z Crab Key. Nic sobie z nich nie robił. Teraz już z pewnością żaden koszmar nigdy go nie wytrąci z równowagi. Po wydarzeniach minionej nocy chyba naprawdę wyjątkowo mocna rzecz zdołałaby mu napędzić strachu.

Obudził go chrzęst koralowca o burtę. Wpływali przez rafę do Zatoki Morgana. Na niebie lśniła pierwsza kwadra księżyca, w środku rafy morze przypominało srebrną tafłę lustra. Dziewczyna przeprowadziła łódź pod żaglem. Przemknęli przez zatokę do małej lachy, dziób pod głową Bonda zarył się z cichym westchnieniem w piach. Dziewczyna musiała pomóc mu wyjść z łodzi, przeprowadzić go przez aksamitny trawnik do domu. Przyłgnął do niej i przeklął ją cicho, kiedy odcinała od niego ubranie i zabrała go pod prysznic. Nie odezwała się ani słowem na widok jego zmaltretowanego ciała w pełnym świetle. Odkręciła wodę na cały regulator, wzięła mydło i umyła go od stóp do głów, jak gdyby był koniem. Następnie wyprowadziła go spod strumienia wody, osuszyła delikatnie ręcznikami, które prędko nasiąkły krwią. Zobaczył, że sięga po butelkę środka dezynfekującego. Aż jęknął, chwycił się umywalki i czekał. Zanim zaczęła go przecierać, podeszła i pocałowała go w usta.

- Trzymaj się, kochany. I płacz. To będzie bolało - powiedziała czule. Kiedy polewała mu całe ciało tym morderczym płynem, łzy bólu tryskały mu z oczu i ścisnęły po policzkach bez cienia wstydu.

Potem pyszne śniadanie, kiedy świt opromieniał zatokę, następnie upiorna jazda do Kingston i biały stół operacyjny na ostrym dyżurze. Wezwano Pleydella-Smitha. Nie zadawano mu żadnych pytań. Zaaplikowano merthiolat na rany i tkaninę na oparzenia. Sprawny czarny lekarz wypisał skrętnie kartę choroby. Diagnoza? Zapewne tylko "liczne oparzenia i stłuczenia". Wreszcie po złożeniu obietnicy, że nazajutrz wróci do izolatki, Bond udał się z Pleydel-Smithem do King's House na pierwsze ze spotkań, które zakończyły się konferencją na szczycie. Bond zaszyfrował krótką depezę do M. za pośrednictwem Ministerstwa do Spraw Kolonii, kończąc ją buńczucznie w ten sposób: "ŻAŁUJĘ MUSZĘ ZNÓW PROSIĆ URLOP ZDROWOTNY STOP PRZESYŁAM RAPORT LEKARSKI STOP UPRZEJMIE INFORMUJĘ ZBROJMISTRZA SMITH WESSON NA NIC WOBEC MIOTACZY OGNI KONIEC."

Teraz, gdy Bond pędził małym samochodem pokonując niezliczone zakręty w kierunku północnego wybrzeża, pożałował tego żarciku. M. nie przyjmie go najlepiej. Był tani. Marnotrawstwo szyfrantów. A, zresztą! Bond skręcił, żeby wyminąć dudniący czerwony autobus z napisem "Smagła Dziewczyna" na tabliczce celu podróży. Chciał tylko zawiadomić M, że niezupełnie miał wakacje w słońcu. Przeprosi w pisemnym raporcie. Sypialnia Bonda była chłodna i ciemna. Przy rozkładanym łóżku stał talerz z kanapkami i termos pełen kawy. Na poduszce leżała kartka papieru zapelniona dużym, dzieciennym pismem. "Dzisiejszą noc spędzasz ze mną. Nie mogę zostawić swoich zwierzątek. Już się denerwowały. Ale nie mogę też zostawić ciebie. A poza tym nadszedł czas zapłaty. Przyjdę o siódmej. Twoja H."

Przyszła o zmierzchu przez trawnik, gdzie Bond siedział dopijając trzecią szklanę bourbona z lodem. Miała na sobie bawełnianą spódnicę w czarno-białe pasy i obcisłą cukierkoworóżową bluzkę. Złote włosy pachniały tanim szamponem. Wyglądała niewiarygodnie świeżo i ślicznie. Wyciągnęła rękę, Bond ją ujął, poszedł za nią podjazdem, a dalej wąską, wydeptaną ścieżką wśród trzciny cukrowej. Wiła się dość długo przez wysoką, szepczącą, słodko pachnącą dżunglę. Dalej splacheć schludnego trawnika pod grubymi, podniszczonymi kamiennymi murami i stopnie prowadzące do ciężkich drzwi, zza których obramowania błyskało światło.

Spojrzała na niego od drzwi.

- Nie bój się. Trzcina jest wysoka, zresztą większość z nich bawi na dworze. Bond sam nie wiedział, czego się spodziewał. Przemknęła mu myśl o płaskim klepisku i wilgotnych ścianach. Wyobrażał sobie, że będzie tam skąpe umeblowanie, połamane łóżko nakryte szmatami i silny odór zoo. Zamierzał mieć się na baczności, żeby nie zranić jej uczuć.

Tymczasem wewnątrz przypominało raczej olbrzymie, schludne pudełko od cygar. Podłoga i sufit z wypolerowanego cedaru, który tchnął tym zapachem pudełka od cygar, ściany wykładane szerokimi listwami z bambusa. Światło padało z tuzina świec w misternym srebrnym żyrandolu wiszącym na środku sufitu. Wysoko na ścianach trzy kwadratowe okna, przez które Bond widział granatowe niebo i gwiazdy. Wokół solidne dziewiętnastowieczne meble. Pod żyrandolem stół nakryty na dwoje kosztownymi, staroświeckimi srebrami i szkłem.

- Honey, jak tu pięknie. Po tym, co mówiłaś, sądziłem, że mieszkasz w czymś w rodzaju zoo.

Roześmiała się uradowana.

- Wyjąłem stare srebra i inne rzeczy. To wszystko, co mam. Czyściłam je przez cały dzień. Nigdy ich przedtem nie wyjmowałam. Ładnie to wygląda, prawda? Widzisz, na ogół pod ścianami stoi tu pełno klatek. Lubię je mieć przy sobie. To moje towarzystwo. Ale teraz, skoro tu jesteś... - urwała. - Sypialnia jest tam - wskazała ręką na drugi pokój. - Maleńka, ale pomieści nas oboje. Chodź. Niestety, mam tylko zimną kolację, homary i owoce.

Bond podszedł do niej. Wziął ją w ramiona i pocałował mocno w usta. Przytrzymał tak, spojrzał głęboko w lśniące niebieskie oczy.

- Honey, jesteś wspaniałą dziewczyną. Jedną z najwspanialszych, jakie kiedykolwiek poznałem. Mam nadzieję, że świat cię za bardzo nie zmieni. Naprawdę chcesz się poddać tej operacji? Kocham twoją twarz. Taką, jaka jest. To część ciebie. Część tego wszystkiego.

Zachmurzyła się i wyzwoliła z jego objęć.

- Nie bądź dziś taki poważny. Nie mów o tych sprawach. Nie chcę o nich mówić. To moja noc z tobą. Mów mi o miłości. Nie będę słuchać o niczym innym. Obiecujesz? A teraz chodź. Siadaj tutaj.

Bond usiadł. Uśmiechnął się do niej.

- Obiecuję - odparł.

- Tu jest majonez. Ale nie kupny. Sama go przyrządziłam. Tu masz chleb i masło. - Usiadła naprzeciwko niego i zaczęła jeść, nie spuszczać z niego wzroku. - A teraz możesz mi zacząć opowiadać o miłości. Wszystko. Wszystko, co wiesz.

Bond spojrzał na tę rozpromienioną, złocistą twarz. Oczy jarzyły się jasnym, ciepłym blaskiem w płomieniach świec, ale ten sam władczy błysk miały wtedy, kiedy zahaczył ją po raz pierwszy na plaży, a ona sądziła, że przyszedł jej ukraść muszle. Pełne czerwone usta rozchylone z podniecenia i niecierpliwości. Przy nim nie miała żadnych zahamowań. Byli parą zakochanych zwierząt. Wszystko tchnęło naturalnością. Nie знаła wstydu. Mogła go spytać o cokolwiek i oczekiwała odpowiedzi. Zupełnie jak gdyby byli już razem w łóżku, jak gdyby byli kochankami. Przez obcisłą bawełnianą bluzkę sterczały koniuszki jej piersi, twarde, naprężone.

- Jesteś dziewczyną? - spytał Bond.

- Mówiłam ci już, niezupełnie. Tamten mężczyzna.

- Widzisz... - Bond zrozumiał, że nie może dalej jeść. Aż mu zaschło w ustach na samą myśl o niej. - Honey, mogę albo jeść, albo się z tobą kochać. Nie mogę robić obu rzeczy naraz.

- Jutro jedziesz do Kingston. Tam dostaniesz mnóstwo do jedzenia. Mów o miłości.

Oczy Bonda zwięzły się w dzikie, niebieskie szparki. Wstał, ukląkł przed nią na jedno kolano. Podniósł jej rękę i ją obejrzał. U nasady kciuka przeżył się pysznie wzgórek Wenus. Bond wtulił głowę w tę ciepłą, delikatną rękę i bardzo łagodnie ugryzł ją w to wybrzuszenie. Poczuł jej drugą rękę w swoich włosach. Ugryzł mocniej. Ręka, którą trzymał, zacisnęła się wokół jego ust. Dziewczyna dyszała. Ugryzł jeszcze mocniej. Krzyknęła cicho i odciągnęła jego głowę za włosy.

- Co ty robisz?

Oczy miała ciemne, rozszerzone. Zbladła. Spuściła wzrok i spojrzała na jego usta. Wolno przyciągnęła jego głowę do swojej.

Bond położył rękę na jej lewej piersi i mocno ścisnął. Uniósł jej uwięzioną, skaleczoną rękę i oplótł nią sobie szyję. Usta spotkały się i zwarły, zgłębiając się nawzajem.

Nad ich głowami zaczęły tańczyć świece. Przez okno wpadła duża ćma zmierzchnica.

Furkotała wokół żyrandola. Dziewczyna otworzyła oczy, spojrzała na ćmę. Oderwała usta. Przyglądała mu włosy, po czym wstała bez słowa, zdjęła kolejno wszystkie świece i zdmuchnęła. Ćma wyleciała z furkotem przez okno.

Dziewczyna stała z daleka od stołu. Rozpięła bluzkę, rzuciła ją na podłogę. Następnie spódnice. W blasku księżycy ukazała się jej blada sylwetka z cieniem pośrodku. Podeszła do Bonda, wzięła go za rękę, podniosła ją. Rozpięła mu koszulę i powoli, ostrożnie ją zdjęła. Jej ciało tuż przy nim pachniało świeżo skoszonym sianem i słodką papryką. Poprowadziła go od stołu, przez drzwi. Sączące się promienie księżycy oświetlały pojedyncze łóżko. Na łóżku śpiwór rozchylony u góry.

Dziewczyna puściła jego rękę i wśliznęła się do śpiwora. Podniosła wzrok na Bonda.

Powiedziała rzeczowo:

- Kupiłam go dzisiaj. To podwójny. Sporo kosztował. Rozbieraj się i wchodź. Obiecałeś. Nadszedł czas zapłaty.

- Ale...

- Rób, co ci mówię.